

Arianie



EX*LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SMÓŁKI

W OPOLU

WALERY PRZYBOROWSKI

ARYANIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVII WIEKU

KATOWICE G.-Ś.

Nadrukładem „Górnosłazaka”, spółki wydawniczej z ogranicz. odpowiedzialnością.
Członkami „Katolika” sp. wyd. z ogr. odpow. w Bytomiu.

1910.



884-3

1899 §
~~A3357~~

ZBIORY ŚLĄSKIE

Akc U $\frac{54}{21}$ 67 C P



I.

Spotkanie.

Działo się to anno Domini 1655, onego roku, co takie olbrzymie klęski zwałił na Rzeczpospolitą, iż zdało się, że rozpadnie się w gruzy i popeka cała. Owoż roku tego w dzień św. Wawrzyńca a dnia 10 sierpnia przypadł wielki jarmark w mieście Kielcach, które, jak wiadomo, od wiek wieków należało do biskupów krakowskich, jako ci, co się znają na tem, mogą w starych dokumentach przeczytać. Zjazd też był wielki i ono miasto, co cały tydzień drzemało sobie spokojnie, teraz zaś było gwarne, ludne i huczne srodze. Więc uwijała się po rynku moc szlachty na podjezdkach, wozach i wózkach a zaś i pieszo, w kubrakach i żupanach, z czeladzią i bez, z szabelkami u pasa i czekanami w rękach. Po podsięniach domów żydostwo porozkładało swoje kramy i oszukiwało chłopów, ile że żydom nie wolno było w Kielcach kupczyć, jako miejscu poświęconem kościołowi, jeno w takie jarmarki. Gwar więc był srogi na kieleckim rynku, szlachta siedziała po wniarniach i piła, lub zaś stojąc kupą na rynku, gwarzyła o wieściach, jakie szły od Wielkopolski. Mówiono, że Szwed z okrutną potencją najechał dzielżawy Rzeczypospolitej, że hetmani tym wojskom sam

król jegomość szwedzki Karol Gustaw, że szlachta wielkopolska z kretesem poddała mu się pod Uściem, nie dobywszy szabli, ani krzty nie zepsowawszy prochu, że nieprzyjaciół zajął już Poznań, Wschowę, Gniezno, Kalisz i inne miasta, że idzie na Warszawę...

Jakoż każdy uważał, że ciężki przyszedł termin na Rzeczpospolitą. Jakiś szlachcic stał na rynku i perorował, a opowiadał gromadzącym się koło niego:

— Owo tak jest panowie bracia. Król jegomość, nie mając czem oprzeć się takiej haniebnej potencji Szwedów, ile że tam tego jest więcej jako gwiazd na niebie, mają też i okręty i armatę ze sobą, więc tedy król nasz miłościwy już wyjechał z Warszawy i stanął w Łowiczu, gdzie się zbiera wielkopolskie pospolite ruszenie. Jest też tam i pan Kasztelan kijowski ze swoją dywizją i hetman polny i stoczyć chcą ze Szwedem batalię. Aleć ja tam z tych Wielkopolaków nie wiele sobie tuszę, ile że to naród odwykły od oręża i pokój wielce sobie miłuje. Tedy ja rozumiem, moi miłościwi panowie bracia, żebyśmy uczynili z siebie konfederacyę, albo li też od razu siadłszy na koń, poszli na tego Szweda, a już to nas on w kaszy nie zje.

— Ale co to waść gadasz! — huknie drugi — cóż to, my mamy nasze żony, nasze dzieci, cały nasz dobytek tak rzucać i szukać wiatru po świecie? Jać wiem, że wojna to nie straszne rzeczy dla szlachty polskiej, gotowiśmy przez ognie i miecze, przez srogie burze i nawałności iść, gdzie należy, ale tu jest wcale co innego. Mamy my wojsko kwarciane, któremu płacimy, żeby się za nas biło, a ja też szarzać się nie będę...

— Dobrze mówi! — krzyknie szlachta — my nie ludzie służebni, my nie kwarciani, nie knechty, nie Wołosza!

Tedy tak ciągnął dalej ów oponent:

— Zważyć też należy, co słyhać od innych granic Rzeczypospolitej. Owo rebelia kozacka znowu podniosła głowę i pan Potocki rejteruje się pode

Lwów, owo Moskwa całą prawie Litwę trzyma w garści. Siedzmyż doma i pilnujmy swoich kopców, a jak nas najadą, hejże na nich.

Szlachta krzyknęła:

— Wiwat pan Pszonka, niech żyje, łebski człek, dobrze radzi.

— A to wy widzę nie jesteście polską, jeno jerozolimską szlachtą — mruknie pod nosem ów pierwszy orator — bodaj was zabito!

I machnął ręką, a nadziawszy czapkę na oczy, opuścił oną kupę i wszedł do winiarni, co podług się mieściła, a natłoczona była cała jak nabił.

Zaszedł tedy do drugiej izby, gdzie koło stołu na ławach siedziało dużo szlachty, a pili i gadali. Więc jeden tu rej wodził, a mąż to był wielki, ale gruby, pękaty i srodze tłustą miał głowę. Ubrany też był całe z pańską, więc miał na sobie lundyszowy, granałowy kontusz i buty żółte tekinowe. Mąż to był setny, a zwał się Gagatnickim, posiedziciel na Strawczyniu, Kostomłotach, SzydłóWKu, Dobrzeszowie i Sarbicach. Tedy zrobiła go szlachta wojskim i tak go tu nazywali.

Owoż ten pan wojski tak rozpowiadał, popijając z lampki przedniej małmazji i sapiąc srodze, bo dzień był okrutnie gorący i w izbie dużo natłoczyło się szlachty.

— Już to mospanie ja znam tych Szwedów i wiem o nich wiele, naród to jest taki, jakiego drugiego nie ma...

— Jakże to, a niechże nam pan wojski opowie, jaki to jest naród te Szwedy — prosił się ktoś.

— A no ja waszmość panom braciom to powiem ale najprzód trzeba wszystko dokumentnie wyłożyć. Tedy mnie o Szwedach zasie dużo rodzic nieboszczyk opowiadali, kiedy to jeszcze z nieboszczykiem królem Zygmuntem jako dworzanin tam jeździli. Przeto najprzód, co to jest za subjectum ten Karol Gustaw, co teraz niszczy Rzeczpospolitą. Owo pochodzi on z familii Palatynów. Za dobrowolnem ustąpieniem królowej Krystyny siadł on na tron szwedzki wydarł-

szy no naszemu bratowi. Słyszę, że to człek jest srogi.

— O, że srogi to srogi — ozwie się na to jakiś szlachcic — i ma też okrutnych pod sobą komendantów. Wittemberg jeden z jego jenerałów zabić oto kazał w Poznaniu sufragana poznańskiego ks. Braneckiego.

— E, jakże to było?

— A no tak: On Wittemberg wzięwszy Poznań, zaraz go haniebnie umacniać począł i zbroić i srodze morduje tam mieszkańców. Owo co gorsza jest, że Szwedowie jako heretycy, bluźniercy, chcieli odprawiać swe nabożeństwo w kościele naszym, tedy oparł się temu ks. sufragan. Cóż czyni Wittemberg? daje ordynans, by księdza wzięto i zabito. Jakoż, trzema kulami ugodzony, umarł męczeńską śmiercią.

Szlachta srodze się oburzyła i dalejże wygrażać, a kiwać palcem w bucie Szwedowi. Kiedy ten hu-czek nieco ustał, imćpan Gagatnicki tak rzecz swą prowadził:

— Owo pewna to rzecz jest, że Szwed jest naród srogi, ale też i to pewna, że całc inny. Ojciec mi powiadali, że wielka tam u nich jest obfitość miodów przasných, bo po polach lada gdzie przestronne mają pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach, jako to jest u nas. Ryb mają podostatkiem, bo to tam królestwo to z jednej strony morze Bałtyckie, a z drugiej okrutny ocean oblewa, chleba też u nich siła, jeno winisko jest złe, ale zaś petercymenty i miody dobre, drew mało, bo ziemię rzniętą a suszoną palą, z której węgle są takie, jak z drew dębowych wielce foremne.

Tedy szlachta poroździawiawszy gęby słuchała, a ktoś się odezwie:

— Jakże to ziemię palą?

— Ano tak, ziemia to całkiem inna jak u nas, żółta i kto nie zna, wziąłby ją za łajno, bo i śmierdzi okrutnie. Ale tam to już jaki jest obyczaj, a zimny też u nich srogi i mrozy wielkie i delia się odziejesz, a zimno ci jest. Powiadał mi ojciec, że

jak pluniesz, to ślina ci w powietrzu zamarźnie i jako bryła lodu padnie na ziemię. Tak to jest, a dalej w tym kraju, gdzie już jest morze lodowate, to i gadać nie możesz w zimie, bo ci słowa marzną w powietrzu. I cisza wielka jako w grobie tam jest w zimie. Dopiero tedy na wiosnę, kiedy słowa one odtają wszystkie, to taki gwar okrutny powstaje, że jeno uszy zatykaj. Tak mi to rodzic powiadali, a i prawda to być musi...

Srodze się temu dziwowała szlachta, a imćpan Gagalnicki odsapawszy nieco, rzecze:

— E, ja waszmość panom jeszcze dziwniejsze powiem rzeczy o tych Szwedach.

— Prosimy, prosimy! — wołała szlachta.

Tedy tak począł znowu wojski:

— Lud tam nadobny jest, białogłowy gładkie, jeno zbyt białe i w afekciach cale nie powściągliwe, bo lubo z razu jakąś niezwyčajną pokazują wstydlivość, ale zaś za jednym posiedzeniem i przemówieniem kilku słów, zbytecznie i zapamiętałe zakochają się i pokryć tego nie umieją, ojca, matki i posagu bogatego gotowiusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata.

Na to ozwie się jakiś młokos okrutnie szpetny:

— A toby tam dobrze było jechać do tych Szwedów.

Spojrzał się nań pan wojski z ukosa i rzecze:

— Nie dla psa kielbasa mości panie Wojski — i ciągnął dalej nie zważając, że ów młokos srodze się skonfundował.

— Sposób ich życia ucieszny bardzo, bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają. Wołu, wieprza albo barana kiedy zabiją, co już jest wielki festyn, to najmniejszej kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namieszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych, tem kiszki owego bydłecia nadziewają i razem w kotle uwarzą i jedzą za specyał. Mają też ucieszny bardzo sposób pieczenia gęsi.

Tu pan wojski przerwał i napiwszy się onej przedniej małmazyi, tak dalej rzecz swą prowadził:

— Gęś oną tak pieką, że jest całkiem żywa, i rarytna to potrawa, bom jej sam zażywał, spenetrowawszy jako się to robi z ojcowskiego gadania. Tedy tak to czynić należy: oskup wszystką gęś, albo kaczkę, albo które inne zwierzę trwale na śmierć, zostawiwszy w pierzu głowę z szyją. Uczyniże ogień w okrąg około onej gęsi, nie ciasny, żeby jej swąd nie umorzył i żeby nie gorzała, ani też bardzo przestronny, aby się mogła piec chodząc między ogniem. Wstaw w on okrąg kilka naczyń wody pełnych, namieszawszy w nie soli i miodu. Drugie naczynia wstaw z jabłkami warzonemi w kostki pokrajanemi, samą zasię gęś polewaj tłustością, zwłaszcza słoniną, żeby smaczniejsza była do jedzenia i żeby się prędzej upiekła. Ognia k'niej przykładaj, ale nie nagle, bo gdy się pocznie przypiekać, ona chcąc stamtąd ujść, będzie się miała ku ogniowi, jedno że ogrodzenie z ognia drogę jej zastąpi i tak innej pociechy nędzna nie będzie mogła mieć, tylko się piciem chłodzić a onemi jabłkami posilać. Ten zaś pokarm i napój serce i inne członki jej będzie chłodził, jelita ze wszystkich plugastw mocą swą lekarską wypróżni, wychędoży i wystruże a potem się w niej samo wewnątrz upiecze. Przeto pilnuj, abyś gąbkę morską ustawicznie w wodzie miał a tą jej głowę często maczał i przectwko sercu, aby się jej mózy i serce otrzeźwiało, co naostatek gdy obaczysz że się tacza i upadać poczyną, wyjmij ją z ognia i nieś przed goście, a ujrzysz jako ich uraczysz.

— Ale jakże to być może, żeby ta gęś żyła — przerwie ktoś ze szlachty.

— Jak to jest, to jest, ale że gęś żyje, to wiem, bom na to patrzył i sam takiej pieczeni zażywał! — odezwie się wojski — owszem, za każdym razem gdy jej kto sztukę ukroi, będzie wrzeszczała i gęgała, tak że niemal ją pierwszej zjedzą, niżli żywą przestanie być.

Tedy dziwowali się wszyscy, a jaki taki zaprosił się do wojskiego na ową gęś.

Kiedy w winiarni szlachta tak dyskuruje, ulicą zabudowaną w maleńkie dworki, jechał sobie na karym bachmacie a wypieszczonym, jakiś młody szlachcic. Był to całę piękny młodzieniec, acz niezwykle blady i smutny. Z oczów błękitnych jako niebo była taka jakaś młękkość i tęsknota, że raczej nie mężowi ale niewieścieby one przystały. Ubrany był zaś w podróżne suknie, jak to wówczas we zwyczaju było. Tedy miał na sobie kontusik krótki po kolana, z zielonego falendyszu nieco wytarty po szwach, a podbity czerwoną kitajką według obyczaju. Buty zaś miał wysokie, z szwedzka wykrojone z ostrogami, żółte od kurzu i zaschłego błota. Kontusik on przepasany był rzemieniem, u którego wisiała długa w żelaznej pochwie szabla. Jakoż widać było, że jechał z daleka, bo i koń był srodze zmęczony, a na pęcinach zaschłe błoto wskazywało, że długo już tak podróżują.

Owóz młodzieniec ów jadąc wolno, bo wieczór się już robił i cała ulica była nabita ludem, wozami i wózkami, dostał się w końcu do rogatek, kędy był już taki tłok i wrzawa, że ani kroku ruszyć naprzód nie można było. Woźnice ujadali się haniebnie ze sobą, a ten i ów smagnał po swym przeciwniku biczem, stąd nieraz bitwa i czubki.

Tedy młodzieniec ów wjechał w sam środek owego tumultu, przystanął, i czekając na swobodne wyjście spojrzał wokoło.

Na jednym z wózków przypartych do samej onej rogatki i nie mogącym ani naprzód ani wstecz ruszyć, siedziała młoda dziewczyna napół z chłopska ubrana, z gołą główką, którą stroiły bardzo piękne, jako złoto, włosy. Dziewczyna to była całę ładna, oczki miała czarne a figlarne jak u kotki. Siedziała na wózku i patrząc na bijatyki woźnic śmiała się serdecznie, zwyczajnie młoda i pusta dziewczyna.

Znajomy nam już jeździec patrząc wokoło obaczył i ową dziewczkę, a obaczywszy wlepił w nią oczy

i zaraz też ruszył koniem pchając się pomiędzy tłum. Dostawszy się tedy do wózka, stanął i rzeknie:

— Hej, jak się masz Marysiu!

Dziewczyna odwróciła głowę, porwała się zaczerwieniona i klasnąwszy w ręce, krzyknie:

— A mój Boże, to wielmożny pan, pan Zygmunt!

— Ano ja, jak się masz, cóż u was na zamku słyszać? — gadajże mi, zdrowi wszyscy?

— O zdrowi, zdrowi, i panna starościanka zdrowa, a powiem jej zaraz o wielmożnym panu... takżeśmy dawno pana nie widzieli, wielmożny pan się gdzieś zadział a tam u nas, był frasunek — szczebiotała dziewczyna.

— Ha! cóż czynić... byłem w Krakowie... owo teraz dopiero wracam.

— Wielmożny pan był w Krakowie, mój Boże! panna Zofia tak się frasowała, wielmożny pan ani znaczkę nie dał... owo co to są ci mężczyźni!

— Ale proszę ja ciebie, co słyszać na zamku? — pytał niecierpliwie młodzieniec.

— Co słyszać? a źle... wielmożny pan wie dokumentnie, co jest w myśli u panny Zofii, ale ten imćpan Strasz ciągle dojeżdża, pan starosta srodze go miłuje i upodobał sobie w nim Bóg wie co... ano, czy ja tam wiem, co będzie.

— Gadajże mi! więc imćpan Strasz ciągle bywa na zamku? — indagował młodzieniec a oczy mu się iskrzyły jak u kota.

— Ano tak... i jaśnie pan nakazuje pannie Zofii z afektami go przyjmować... owo co jest. O! paniusia jest srodze smutna, proszę wielmożnego pana.

Na to młodzieniec nie rzekł ani słowa, jeno pobladł okrutnie i odwróciwszy konia, dodał:

— No! bądźże mi zdrowa, Marysiu; pokłoń się pięknie pannie Zofii... i powiedz jej... żem już przyjechał... no! bądź zdrowa.

I już skręcał koniem, kiedy dziewczyna podniosła się na wózku i szepnęła czerwona cała iak alkiermas, spuściwszy oczęta...

— Proszę wielmożnego pana!...

— Czego chcesz? — zawołał niecierpliwie młodzieniec, ile że dyskurs ich zwrócił już na siebie oczy wokoło.

— Owo proszę wielmożnego pana, ja się chciałam spytać, o... o... tego pańskiego pachotka, tak je-
no przez ciekawość.

— Aa! — zaśmiał się młodzieniec — powiedzże mi, czego chcesz?

— Bo widzi wielmożny pan — szczebiotała już nieco śmieiej, uśmiechnięta i zalotna odgarniając z czoła złotych włosów zwoje — bo widzi wielmożny pan... ja tu już od czterech niedziel co wtorek jeżdżę do Kielc, bo rozumiałam, że go obaczę, i... panna Zofia mi nakazała jeździć, a jego hultaja niema. To sromotna rzecz jest... i żebym go teraz obaczyła, tobym mu ślepie wydrapała, taka gniewna jestem...

— To widzę szczęście, że go tu niema a i być nie może — rzeknie na to młodzieniec śmiejąc się — bo został w Krakowie.

— Ano to go wielmożny pan zabrał ze sobą?

— A jakże, sambym jechał?

— Skoro tak, to całe co innego, całe co innego — to on nie nie jest krzyw... ja ciągle gadam, że Janek dobry chłopak, jeno trochę wartoleb...

— No, bądź zdrowa... pokłoń się!

— Proszę wielmożnego pana jeszcze jedno słówko, a czemu on pozostał w tym Krakowie?

— A tobie co do tego; sługa tańczy jak pan każe!

— Ej, ja co innego rzec chciałam, jeno mi się tak wypsnęło, proszę wielmożnego pana nie mieć do mnie urazy, ja pannie starościance wszystko dokumentnie opowiem, jeno, czy on długo jeszcze będzie w tym szpetnym Krakowie?

— Za kilka dni wróci, bądź zdrowa, pamiętaj się kłaniać!

I obaczywszy wolny już przejazd przed sobą, spał ostrogami konia i dobrym klusem ruszył naprzód. Robił się już wieczór i podniósł się wiatr mocny a niebo poczęło czarnemi zachodzić chmura-

mi. W oddali słyhać było grzmoły przytłumione; zbliżała się burza. Na gościńcu tumany kurzu wybijając się z pod kałamaszek i wozów wiatr porywał i dalejże hasać po polach.

Jakoż nasz jeździec skłębwszy w bok z gościńca, nie ujechał i pół mili jeszcze, kiedy poczęła się burza. Niebo było czarne jako otchłań i na ziemi było ciemno. Deszcz lnął jak z cebra i pioruny zasię były ciągiem. Wokoło było pole, pusto i wcale schronić się nie było gdzie, więc jechał dalej.

Uplętnęło z dobre cztery pacierze, kiedy młodzieniec dostał się do lasu a tu było zaciszniej nieco. I nawałnica też poczęła ustawać. Przejechałszy on las stępa, bo ciemno było, choć oko wykol, i łącno było na pniaku jakim kark skłębć lub utknać na łeb, już na samym jego końcu zdybał się z jakimś szlachcicem na koniu. Tu było już widniej, ile że i częste błyskawice oświecały okolicę.

Owoż przy ich świetle migotliwem dojrzał, że on szlachcic był srodze zbrojny. Więc miał na łbie mi-siurkę żelazną a przy boku długi niemiecki miecz. Pod kontuszem zasię żelazna świeciła koszulka a tak wypolerowana, że światło błyskawic przeglądało się w niej jako we zwierciadle.

Tedy on szlachcic, dojrzałszy pana Zygmunta, bo tak się zwał nasz znajomy, pierwszy poczał:

— Mościpanie, racz mi powiedzieć, kędy tu droga do Chełmiec, bo przy tej haniebnej burzy i w tym paskudnym lesie błędę już od godziny a wyleźć z niego wcale nie mogę.

— Owo Chełmce przed nami — odrzekł młodzieniec, ukazując na światła błyszczące w dali z chałup chłopskich — ale jeśli wolno zapytać, racz mi waszmość powiedzieć, do kogo tam jedziesz?

A na to ów szlachcic:

— Ejże! widzi mi się znam ten głos!

To rzekłszy, zbliżył się do młodzieńca i zajrzał mu w oczy. Jakoż w tej chwili zagorzało całe niebo błyskawicą i widno było przez chwilę jak na dłoni.

— Łoś! dali Bóg Łoś! — krzyknie on szlachcic.

— Pracki! — zawołał młodzieniec.
 — Ano szukają wilka a wilk tu — rzecze on szlachcic — owo zdybałem cię przecie, bo do ciebie jadę.

— Do mnie! ano to jedźmy do wsi, ale co waść tu robisz? — zimno jakoś pytał Łoś.

— Owa co robię! jakiś ty gorączka; jedźmyż do domu, boć tu na świecie gołym gadać z tobą nie będę. Przemokłem też do suchej nitki.

— Ale proszę, proszę, już niedaleko.

I ruszył kłusem. W drodze rzecze Pracki:

— Skądże to waść jedziesz?

— Od Krakowa, mości panie.

— Od Krakowa? powiedźże mi, cóż tam gadają o sprawach publicznych?

— A cóż, źle jest i basta. Taka teraz padła na nas klęska, jakiej wieki nie pomną.

— Poczekajno, poczekaj! na dwoje babka wróżyła. Ale pogadamy o tem w domu.

Droga była już lepsza i jechali ostro, milcząc o badwa. Niedługo znaleźli się we wsi, przelecieli ją szybko i stanęli przed zamkiem Łosia.

II.

R o z m o w a.

Była to już noc i na ciemnem tle niebios, niby góra jakaś czarna, rysowało się stare, na pół zrujnowane zamczysko Łosia. Wał, co go niegdyś opasywał, rozsypał się w piasek, porósł zielkiem i trawą. Sam zaś zamek składał się ze środkowego dużego gmachu o jednym piętrze i z dwóch bocznych skrzydeł, na pół zrujnowanych i opustoszałych, całość tworzyła półkole. Z poza skrzydła lewego wystreślała w górę wielka okrągła baszta. Same skrzydła były wcale zrujnowane, okna jak czarne jamy, pośepnie przed się patrzyły, bez szyb i ram. Przez most niegdyś zwodzony a dziś leżący jak kościotrup bez desek, żelaziw, wjeżdżało się pod bramę, nad którą wielka wznosiła się baszta, takąż sama, jak ta, co w tyle zamku widniała, zabytek z Kazimierzowych cza-

sów może jeszcze... z blankami i strzelnicami, oberwana z tynku, czarna o półtoracznych murach... sama ta baszta mogła czasu potrzeby dzielną stawić obronę. Przez bramę nawskroś przechodzącą ona basztę, pod łukowatemi sklepieniami, obok drzwi opadłych z zawias i pod naciskiem wichru jęczących jak stado potępieńców, przejechali nasi jeźdźcy i wstąpili na obszerny dziedziniec zarosły trawą i zieliskiem, pełen kałuż i błota.

Zamek cały czerniał, na dziedzińcu było pusto, tylko gromady sów i nietoperzy wyfruwały z bocznych skrzydeł i łopocząc skrzydłami, latały po powietrzu. Było w tem wszystkiem coś dziwnie pośonnego i ponurego. Z poza murów zamczyska, cuchnącego zdała zgnilizną i trupem, wysuwały się gnane wichrem czarne chmury, resztki owej gromonośnej i burzliwej płachty, co niedawno grała szalonym tańcem po ziemi.

Z pod kupy gruzów wywlokło się jakieś psisko stare i chrapowatym głosem poczęło naszczekiwać...

— Cicho Bury! cicho! — zawołał Łoś, zsiadając z konia.

— Ano to tu ruina u waszmości — szepnął na pół do siebie Pracki, oglądając się wokoło.

Tymczasem Łoś, zarzuciwszy cugle koniowi na grzbiet, podstąpił pod drzwi wchodowe i uderzył w nie kilkakrotnie młotkiem w kształcie potwornej twarzy ze spiżu, u drzwi wiszącym. Głuche echo zagrało wśród murów i tonąc w dali ucichło.

Powoli dały się słyszeć ciężkie kroki po kamiennej posadzce i uchyliło się zakratowane nad drzwiami okienko i zagrzemiał drżący, choć silny głos:

— A kto tam?

— Otwieraj Marcinie, to ja... niech kto konia weźmie.

— A mój Boże, to jaśnie pan!... zaraz, zaraz!... anim się spodział. Zasnąłem sobie nieco, ot tu w gościnnej komnacie mosanie, bom nie wiedział, że jaśnie pan dziś przyjedzie. Ano chwataż ci Boże, bo choć człek nie dzisiejszy i tu większą połowę ży-

cia w tym zamku przepędził, ale taki zawsze smutno samemu... a, ta sekutnica, tfu, odpuść Panie, ta... przekłeta baba, Kurowska mosanie, wyniosła się na wieś...

— Ale otwierajże, prędzej Marcinie! — nalegał Łoś.

— Zaraz, zaraz, mosanie... ot młodość, krew gorąca... he, he, he! to się zdaje łatwo, a takie sztaby odsunąć, to trzeba siły... ano, już przecie...

Tu z wielkim hałasem rozwarły się drzwi i stanął w nich wysoki, choć nieco zgarbiony mąż z latarką w rękę i zdejmując czapkę, kłaniał się do kolan Łosiowi...

— Czołem jasnie panie.

— Jak się masz? Idź odbierz konie... proszę waszmości panie Pracki.

— A, gość — szepnął Marcin i wyprostowawszy się jak struna, gromkim głosem krzyknął:

— Hej kozaki, psie wiary, Semen, Iwan, Marek, Kuba!... sam tu do mnie! światła! hajduki...

Łoś zaśmiał się głośno i rzekł:

— No, no! Marcinie, nie szukaj wiatru po polu i nie psuj sobie po próżnicy gęby a skocz i odbierz konia.

Marcin ruszył ku Prackiemu, który wciąż siedział nieruchomy na koniu i nadśłuchiwał a patrzył milczący.

Tymczasem Marcin odbierając konia gwarzył.

— Bo to tak, proszę wielmożnego pana, ani jednego z tych hultajów w domu niema, albo śpią gdzie po kątach, ja już stary, a choć mosanie bizunami kropię i Bóg widzi ręki nie żałuję, ale to wszystko na nic, próżna turbacya i basta... już to z tych obwiesiów żadną miarą nic pocziwego uczynić nie będzie można.

Odebrawszy konia, kłaniał się i mówił:

— Niech wielmożny pan idzie na zamek, ja wraz poskoczę i posłużę, chociem stary i marszałkuje oto temu dworowi mosanie.

Gdy to mówił, Pracki szedł już ku gankowi z chrzęstem a brzękiem wielkim i ścisnął się za rękę z Łosiem, który staropolskim obyczajem witał go przed drzwiami.

Łoś świecąc latarką, prowadził gościa przez wielką sień o kamiennej posadzce i otworzywszy jakieś drzwi na prawo, wpuścił go przed sobą do wielkiej sali, w której na marmurowym niegdyś kominku, a dziś odrapanym i na pół zrujnowanym, leżało kilka polanek drzewa i gorzał ogień słabo oświetlający salę.

Sala ta miała trzy okna wychodzące na ogród z tyłu zamczyska położony i sama była wielka, i miała dębową posadzkę niegdyś w rozmaite desenie ułożoną, dziś jak wszystko w tym domu zrujnowaną. U jednej ze ścian widać było chórek, sala więc to była gościnna, za owych czasów, gdy tu jeszcze gości przyjmowano. Ognisko słabo gorzało, widocznie drzewo było mokre i fantastycznymi ciemnościami okrywało komnatę. Z całości wiała stęchlizna, i wilgoć, zwykle dowody upadku i nędzy...

Przy kominku stało wielkie skórą obite krzesło, nieco zrujnowane i obdarte. Łoś wszedłszy do komnaty wskazał takowe gościowi i rzekł:

— Siadaj waszmość, proszę — i milcząc odpasał szablę, rozpiął się i przysunął do ogniska, chcąc osuszyć na wskroś przemoczone ubranie.

Pracki tymczasem chodził wielkimi krokami po komnacie, z szumem i chrzęstem i milczał. W końcu zbliżył się do Łosia topiącego wzrok w purpurowych i złotych ogniska płomykach i w pełnej zbroi stanąwszy przed nim, niby rycerz ów, co ich widzimy na grobowcach kamiennych po kościołach, rzekł dziwnie żałośliwym tonem.

— I jakże się to stało Łosiu, że ja tu widzę taką ruinę?

Ale Łoś, jakby go kto ze snu zbudził, podniósł w górę głowę i patrzył milcząc w gościa.

Pracki zdjął misiurkę z głowy, położył ją na ławie a sam siadł w onem wielkim przed ogniskiem krześle. I na twarz mu padł blask od płomieni, ob-

łał ją całą niby karmazynem, tak że w tej czerwieni wyglądała jak twarz szatana lub archaniola. Była to bowiem twarz niepospolitej męskiej piękności, acz nie młoda i zmarszczkami poorana. Z tem wszystkiem strzelała z niej taka jakaś fantazja i siła rzekłabyś nieziemską, że przykuwała cię do siebie i patrzeć na się kazała... A przytem była to twarz polska i rycerska, jako to u nas, gdzie typem polskich rysów jest typ rycerskości i siły i majestatu...

Pracki siedząc w onem przed ogniskiem krześle, po chwili niemego przypatrywania się Łosiowi, znów rzekł:

— Powiedźże mi waszmość, jakże się to stało, żeś ono tak zbiedniał?

— Jak?... — porwał się Łoś — oto tak, żeś jest jako niewolnik, Spartakus drugi, w tej naszej Rzeczypospolitej, żeś jest jako człek wyklęty a zarażony, lub trędowaty zasie, bom innej wiary... ano tak, borykaliśmy się przez trzy pokolenia z losem i oto przyszlismy do tego, że siedzę teraz na trzech chłopach, ja, co rodzica mego rodzic 300 pługów za Zygmunów słał w pole... ale, co to o tem gadać, waszmość to dobrze wiesz...

I machnął ręką i siadł i wpatrywał się znów w ognisko:

— Słusznie waszmość mówisz — odezwał się Pracki — żeśmy w tej naszej Rzeczypospolitej gorzej niewolników położeni, że odsunięci od urzędów a godności stanowi rycerskiemu należnych, idziem oto w ruinę i możne niegdyś rody padają niby stare kolumny, a to dlatego wszystko, żeśmy Aryanie.

Łoś podparł twarz milczący i patrzył w oczy Prackiemu i mówił:

— Ano tak!

— Ale przez Boga żywego, myśmy taka dobra szlachta jak wszyscy w tej Rzeczypospolitej, a zasie każdemu do mojej wiary. Jam jest szlachcic, urodziłem się wolny i mam miecz oto przy boku.

To mówiąc Pracki dzwonił w szablę i gorzał ogniem wielkim, tak że mu żyły na czole krwią nabiegły jak postronki.

W tejże chwili rozwarły się drzwi z łoskotem i stanął w nich Marcin. Wąsy sobie srodze nastawił, a przyodziął się też odświeżnie. Więc miał na sobie długi kitajkowy kontusz, atembasem podbity i zwyczajem sług obie poly od onego kontusza założył za pas siatkowy. Stał we drzwiach i mówił:

— Jasnie panie, służby, nikogo nie ma w zamku, rozbiegło się hultajstwo, ale już ja ich jutro rzetelnie osiec każe. Dziś jasnie panom sam posłużę. Mam przynieść wina?

Łoś podniósł głowę i patrzył długo na służącego i zmarszczył brew i rzekł:

— Ejże! kpisz sobie czy co? wina? skąd weźmiesz wina, chyba ukradniesz...

— Jasnie panie... — przerwał Marcin i dając jakieś znaki rękami Łosiowi, mówił — ja sam zejść do piwnic i utoczę...

— No, no! dość tego... jeśli masz co jeść, to daj, a nie... no, to trudno. Nie mam już teraz czem gością przyjąć.

To mówiąc, powstał i począł chadzać wielkimi krokami po komnacie wszerz i wzdłuż, z rękami na tyle założonemi.

Marcin zbliżył się tymczasem do Prackiego i nachyliwszy się, szeptał:

— Niech wielmożny pan temu nie wierzy, taka to krotochwilna fantazyja u mego pana, ho, ho! mospa nie, stać nas jeszcze na ugoszczenie całego sejmiku, a cóż dopiero jednego gościa. Tylko, że służba, z przeproszeniem uszów pańskich, psie wiary, chamy, rozieciała się oto po karczmach i zaściankach, bo pana w domu nie ma a ja już stary i rady dać sobie nie mogę. Ale już ja ich jutro mospa nie urznę jak kotów... Zaraz zastawię wieczerzę.

I kłaniając się a poprawiając ławy, wyszedł. Po jego wyjściu Łoś rzekł:

— Poczciwy sługa, chce przed obcymi ukryć nędzę i jaśnieć dawnym splendorem domu... wyhodował mnie na swych rękach, zacna dusza.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je w końcu Pracki i rzekł:

— Bolesneć to wszystko, co tu widzę, jest dla mnie, ale i dziwne niepomatu.

— Jakże to dziwne? — spytał Łoś.

— Ano tak... boć waszmość przecie, jak ludzie mówią, masz tu w tym zamczysku jakieś skarby podobno, ukryte jeszcze przez prababkę, co to cały majątek Płomieńczyków Biechowskich wniosła w dom Łosiów i tu dla jakichś przyczyn ukryła... mają to być miliony, krezusowa fortuna.

— Furda panie bracie, wszystko wierutne kłamstwo, torby sieczki nie warte, skarby, skarby jak w bajce zaklęte, a toż to rodzic mój, pół zamczyska owo zburzył, szukając onego złota i do dziś gruzy jeszcze leżą, ot cała korzyść.

To mówiąc, Łoś stanął przed wielkiem oknem i patrzył milczący w świat.

— Tak ludzie mówią — ciągnął po chwili Pracki — i ja powtarzam, com słyszał. Aleć przecie tam coś w tem prawdy być musi, należy jeno dobrze szukać, ile że ślad jakiś pewno jest.

— A jest — odezwie się Łoś — ono taki, że w jednej z komnat tego zamczyska schowane być mają jakieś papiery, czy tam co innego.

— No i cóż?

— A i cóż, ojciec, ot, prawie każdą pędz muru, każdy kamień i cegłę przewiercili — i nic nie ma — funta kłaków nie warte to wszystko.

I machnął ręką i znów chodził po komnacie. Rozmowa ciągnęła się dalej:

— A jednak coś w tem być musi — mówił Pracki wyciągając przed się nogi i patrząc w gasnące prawie ognisko — i nie należałoby tego rzucać, zawsze to fortuna.

— A cóż czynić, jużci ostatniego kawałka dachu nad sobą nie zburzę dla tych sum neapolitańskich.

Powiadał mi ojciec, że tam coś zasie Biechowscy o tem wiedzą. pojechałem ot do nich. Biedota to teraz, siedzi ich trzech na jednej wioszczynie pod Krakowem, w Sleszowicach.

— I cóż waści panie bracie powiedzieli? — przerwał Pracki.

— Ba! żebyć oni co wiedzieli, toby tu już dawno byli. Coś oni tam o tem słyszeli, ale sami nic nie wiedzą. Zostawiłem czeladnika na wsi pod Krakowem, żeby ich miał na oku, bo jak przejrzą ojcowskie papiery, to może co znajdą... ot i wszystko...

Zapanowało głucho milczenie. Łoś chodził wciąż po komnacie a Pracki ciekawie patrzył w gasnące płomyki ogniska. Od płomyków tych komnata w dziwne fantastyczne stroiła się cienie i wyglądała niby stara gotycka świątynia. Na dworze po burzy onej wichur nie ustał, ale wciąż szalał i jęczał po pustem zamczysku jak duchy, co nocą z grobowców wstają. Rozmowę począł znowu Pracki:

— I gdzież to ta komnata, w której mają być te dokumenty jakieś o skarbach onych?

— A tu w zamczysku, na piętrze od ogrodu, w samym kącie, będziesz waść w niej nocował, bo najlepsza ze wszystkich. Ojciec nieboszczyk kazali ją po onej rujnacyi wyreperować trochę i jakoś się trzyma... całkiem to dziwna jest komnata.

— Dlaczego dziwna?

— Najprzód dlatego — mówił Łoś, składając wprost Prackiego przy kominku i poprawiając głównie ogniska — najprzód dlatego, że ma ekstra-ordynaryjne nazwisko.

— Jakie?

— Nazywają ją od dawien dawna mirtowym pokojem, niby od onej rośliny, co to do ślubu nowożeńcom głowy nią wieńczą.

— No, no! to dziwne nazwisko i od czegoż taka nazwa? musi tu być przecie jakaś tradycja.

— Jużćie tradycja jest, ale kto się tam prawdy dopatrzy w tem wszystkim. Ludzie mówią, że za onej prababki mojej Biechowskiej w komnacie tej było

mnóstwo mirtów w osobliwych statkach, bo się nie-wiasta owa wielce w tej roślince miłowała. I stąd to przezwisko.

— I to tam mają być te papiery schowane?

— A tam podobno.

Pracki umilkł i pogrążył się w zadumę głęboką; toż samo Łoś patrzył szklannemi oczyma w iskry gasnącego ogniska. I była znów cisza posepna na całym zamczysku, przerywana tylko jęklwym poświstem wichru, oddalonym szczekaniem psa i hukiem puszczyka od czasu do czasu.

Nagle z łoskotem rozwarły się drzwi i stanął w nich Marcin. Obadwaj panowie zadrżeli a Pracki aż się porwał na nogi.

— Bodaj cię zabiło — krzyknął — a to wchodzisz jak piorun!

— Niosę miód Jaśnie panom, bo wina mosanie...

— Co masz to dawaj a nie tłucz się jak Marek po piekle — zawołał Łoś.

Marcin milcząc, przysunął do ogniska wielki stół dębowy, popaczony i stoczony przez robactwo i postawił na nim dzban z miodem i półmisek z zinnem mięsiwem.

— No, czem chata bogata, tem rada — rzekł Łoś podnosząc się — rozgość się waść, zdejm zbroję.

— Chciałem utoczyć wina — wtrącił Marcin — ale tych hultajów niema a samemu już nogi nie starczą.

— Ot nie plóćbyś stary głupstw, a lepiej przynieś drew na ogień, bo gaśnie — rozkazywał Łoś.

Marcin ruszył ramionami rozpaczliwie i umilkł. Pracki odpasał miecz i zbroję i w skórzanym kaftanie siadł do onej nie lukullosowej uczty. Obadwaj byli głodni widocznie, bo jedli i pili w milczeniu... Marcin tymczasem rozpałił większe ognisko i jaśniej i rzeświej zrobiło się w komnacie.

Po zjedzeniu mięsiwa i wypiciu miodu Łoś przysunął się do Prackiego i spytał:

— No, a teraz pogadajmy de publicis. Jakż to interes masz waść do mnie i czego chcesz?

Pracki, wypiwszy resztę miodu ze dzbana, obtarł rękawem wąsy i spojrzał na Łosia.

— At! co to o tem gadać — rzekł, opierając się o poręcz krzesła obiema rękami — waść widzę na niewiele się zdasz.

— A skądże to panie bracie wiesz o tem? — mruknął Łoś marszcząc brew — jakże ja się to na niewiele zdam? cóż to waść wiesz, co u mnie w głowie siedzi?

— Ej, nie sroż się waść, boć ja cię obrazić nie chcę, ani też zwady nie szukam... aleć dobrze ja wiem, co u waści w głowie, a raczej w sercu... a to źle!

— A bodajże cię! — porwał się Łoś — co to będziesz mi gadał, źle czy dobrze... cóżes ty za kaznodzieja!

— Ot nasza polska krew! — rzekł Pracki, opierając się obu łokciami na stole i patrząc tak na Łosia — byle krzyne kiepskiego miodu w czub wlać, tak i awantura gotowa. Siadajno waść, siadaj... jesteś gospodarz a jam gość.

— A to żeś gość, to mi tu masz po nosie jeździć, o, niedoczekanie twoje.

— Ale uspokójże się człowieku, jam starszy od ciebie i u mnie krew nie woda. Z twoim ojcem byliśmy w przyjaźni i przybyłem do ciebie aż z Rusi, żeby pogadać a nie wadzić się.

Łoś siadł i sapiąc rzekł:

— No, mów waść.

— O, gorączka widzę z waści.

— Ale bo waść nie wiesz, a tu mnie wszystko po sercu tak gra, jakby mnie kto nożem krajał, przychodzą na mnie takie godziny, że omal łba sobie o mur nie rozbiję.

— Ha, wiemci ja o tem — rzekł dziwnie rzewliwym głosem Pracki — mów waść, może co poradzimy.

— Ej, co mi waść doradzisz, co? Może zwołać panów braci, kto mi życzliwy, ugościć i po staremu, pannę szablą z zamku wziąć, ale, ja tego nie chcę,

zresztą jam Aryanin, a nas tu mało, sami papiści gdzie okiem rzucisz.

— Nie radzę ja tego waści wcale, w statucie jest wyraźny artykuł o gwałtach, i gardłem to pachnie, co tem srożejby na tobie dochodzono, żeś Aryanin, a wiadomo, że Starosta Chęciński jest silny i u króla ma plecy, ale powiedzno mi waść, jak to tam jest, oświadczyłeś się, he?

— Ale nie, a po cóż? Przecież widzę jak mnie przyjmują, gorzej psa, i byliby mi już dawno czarną polewkę pod nos podstawili, gdyby nie pocziwy pan Łukasz z Czarnowa.

— Cóż to za pan Łukasz?

— Rodzony starosta, a przyjaciel mój od serca. Dysymiluje te rzeczy jak może i tyle zrobił, że mi drzwi przed nosem dotąd nie zamknęli, ale mi wprosi powiada, że mi dziewczeczki nie dadzą.

— I czemuż to panie bracie?

— Czemu? I waść się pytasz o to! — rzekł Łoś zakrywając twarz rękami — oto dlatego, że jest biedny jako ów Łazarz w Biblii, że jest Aryanin, a zatem bez przywilejów szlacheckich w tej Rzeczypospolitej.

— A gdybyś znalazł one skarby prababki?

— Ba, gdybym znalazł, to możeby było inaczej, ale co to o tem gadać!

Urwał i umilkł, tedy rzeknie Pracki:

— A panna waści nie krzywa?

— Jużci że nie, gdyby nie to złote serce, które przylgło do mnie jak magnes do żelaza, gdyby nie te oczy ot jak dyamenty, świetne i łzawe, toby tam noga moja na tym zamku nie powstała.

— Wiesz waść co — rzekł Pracki po chwili milczenia — oświadczyć się i basta.

— Drwiesz waść czy co? — porwał się Łoś i spojrział srodze na Prackiego.

Ale ten patrzył spokojnie w oczy Łośa.

— Nie, nie drwię Łośu, jeno prawdę mówię.

— Jakże to ja się mam oświadczać, kiedy wiem że rekuzę dostanę.

— A skądże to wiesz?

— Ano wiem, bo to widoczne. Wreszcie tam oświadczył się Strasz, ojciec go przyjął, a panna dla mnie zwłóczy, ale jak tak będzie dalej, to ją zmuszą.

— A, więc jest i rywal.

To mówiąc Pracki powstał, obszedł wolnym krokiem stół on dębowy, zbliżył się do Łosia i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Kiedy tak, to pluń waść na to wszystko i basta!

Łoś na te słowa porwał się jak oparzony, przewrócił z łoskotem ławę i czerwony od gniewu huknął:

— Bodaj cię kat spalił z taką radą, cóżeś ty jest, kamień czy człowiek?

— A cóżeś ty jest, mąż czy dzieciuch? Cóż to, na to nam Przyszło, żeby jedna podwika zrobiła z męża babę, gorzej niż babę.

Ale Łoś chodził po izbie i zakrywając twarz obiema rękami jak nie ryknie płaczem, a łzy mu przez palce jako groch kapwały.

Pracki umilkł i patrzył na Łosia wielce zdziwiony. Pomału twarz jego mężka poczęła na się przybierać wielce rzewliwy wyraz i podszedłszy ku ognisku, szepnął:

— Ha, rozumiem cię ja to, rozumiem, serce skowyc jak pies na łańcuchu.

Poczem obracając się do Łosia, rzekł:

— Uspokój się waść, bo i mnie się ckliwo koło serca robi, pogadamy ze sobą, jać tu nie napróżno przyjechałem aż z Rusi do ciebie, dzieweczka może być twoja, jeno trzeba żebyś chciał.

Łoś stanął na środku izby i patrzył na gościa wielce zdziwiony, obcierając rękawem wąsy z łez.

— Jakto, żebyś chciał?

— A tak, waść wiesz przecie, że najjaśniejszy król szwedzki wszedł w granicę Rzeczypospolitej, że mu się szlachta Wielkopolska z kretesem poddała pod Uściem, że Warszawa jeno patrzeć jak wpadnie w jego ręce...

— Więc co waść chcesz?

— Co chcę? Oto tego chcę — mówił Pracki idąc do Łosia dziwnie wyprostowany — żeby u nas nie panował ten Kazipokój, to dyable weneckie, ani też ta francuzica Marya Ludwika.

— Oh, mości Pracki... to zbrodnia.

— A to nie zbrodnia, żeśmy tu niczem w tej Rzeczypospolitej, my Aryanie i inni dyssydenci? Dość tego, jam szlachcic i chcę być wolnym!...

To mówiąc, chodził wielkimi krokami po komnacie, wzburzony cały i gniewny.

— Patrz jeno waść końca a obaczysz, że nie długo, za lat parę, wygnają nas z tej ziemi i jak żydowie nocą będziemy musieli uchodzić, zabierając kości ojców naszych z trumien, ja to widzę dobrze.

— Prawdać to jest, co waść mówisz, ale jakaż rada?

— Owo taka, żebyśmy teraz, kiedy czas sprzyja nie siedzieli z założonemi rękami, ale oburącz chwycili się tej deski zbawienia, którą nam niewyciężony lew północy podaje, bo jeśli nie, to pójdziem pomiędzy Niemce i inne narody, na wieczne tułactwo.

Po chwili mówił dalej:

— Wiem, że u waści był tu umyślny podkancle-rzego i wiadomo ci dobrze, o co nam idzie...

— A mówił mi tam, ale wobec własnych nieszczęść to i człek zapomniał o tem, szeptał Łoś zniechęcony jakiś.

— Otóż to jest życie swe związać z losem jednej podwiki. A ja ci mówię Łosiu powstań i otrząś się, bo już godziny są policzone żywota tej Rzeczypospolitej. Jakże to, kiedy padają w gruzy gmachy takie olbrzymie i łamie się taka potencya co do Baltyku od Morza Czarnego cielskiem swem leżała, to ty członek tej Rzeczypospolitej łzy ronisz nad podwiką jedną, jak jaki Niemiec albo zasie Włoch, strzeż się Łosiu, bo kto nie jest z nami, jest przeciw nam.

— I czegoż waść chcesz ode mnie?

— Owo tak się rzecz ma. My Aryanie, Litwowie, Kalwinowie i inni dyssydenci, których teraz na-

mnożyło się w Polsce, chcemy wszyscy stanąć przy Najjaśniejszym Karolu Gustawie, i nasze życie, mienie i krew przelać za niego.

— Ale gwoli czemu?

— Gwoli temu, żeby on nam panował najmiłościwiej w tej Rzeczypospolitej. On sam jest Luter a przez to nie będzie nas o to gnębił, żeśmy nie papiści. A przyznasz waść, żeć zawsze lepiej będzie, kiedy on a nie ten Kazipokój będzie panował.

— Kiedy to Szwed.

— A Jan Kazimierz nie Szwed, tylko gorszy, bo papista. Owo szlachta Wielkopolska, gdzie dużo jest naszych, już się poddała, a niedługo cała Rzeczpospolita będzie jego. Więc do miecza i do krwi Ło-siu, zdepcz te sentymenta babskie, tę białą lilijkę co ci dłonie krępuje.

Łoś zakrył twarz rękami i milczał.

— Wreszcie, gdy staniesz przy najjaśniejszym królu Karolu Gustawie, łączo ci już będzie sięgnąć po pannę starościankę Chęcińską.

— I cóż ja mam robić? Powiedz waść, a wszystko zrobię.

— Pojedziem jutro po sąsiadach, po naszych braciach, których tu przecie kupa jest.

— A jest. Imć pan Bobrownicki w Oblegorze, Kalwin, imć pan Gogolewski w Żeliszławicach, Aryanin, imć pan Śląski w Szewcach i wielu innych drobniejszych.

— Otóż waść, jako syn prawdziwej ko umny naszej braciej, masz tu wielkie znaczenie, pojedziem jutro i konfederacyę podniesiem przy swobodach, religii i wolności szlacheckiej, pod protekcyą najjaśniejszego króla Karola Gustawa.

— Nie mam ja tak wielkiego znaczenia, boć oni są tu osiadli od wiek wieków, a mój dziad przecie przybył z ziemi Sanockiej, gdzie nawet dotąd stryjców, tylko, że oni papiści a my Aryanie.

— Ale co mi waść gadasz, nie masz znaczenia. Już ja wiem co mówię. Wszystko da się zrobić, tylko...

W tejże chwili szumiący wciąż wichier przyniósł odgłos bijącego zegaru, ale tak silny i bliski, że zdawało się, jakoby w samym zamku dzwoniła ta godzina. Wśród świstu wichru, ponury, śpiżowy ten dźwięk, dziwnie posępnie rozlegał się po zamczysku, powtarzającym go w tysiącnych echach, przerywany niekiedy wznoszącym się podmuchem burzy, to znów rosnący w nadzwyczajną siłę.

Pracki przerwał swą mowę i słuchał milczący, nieruchomy.

Zegar miarowo bił ciągle i wybił dwunastą.

— Północ — szepnął Pracki.

— A północ — powtórzył Łoś.

— I gdzież to ten zegar tak bije?

— A na wieży, na zamku.

— Jakże się to stało, żeśmy go dotąd nie słyszeli?

— Wichier przeszkadzał oczywiście.

— Ano to późno, trzeba iść spać, gdzież moje locum?

— Zaraz, hej Marcin! — krzyknął Łoś — zaprowadzimy waszmościa.

Marcin wszedł.

— Trzeba zapalić na kominku w mirtowej komnacie — rzekł Łoś.

Ale Marcin stał i patrzył dziwnymi oczami w twarz Łosia.

— Jaśnie panie, w mirtowej komnacie?

— Ano tak, nie rozumiesz czy co?

— Ale to być nie może, przecież tam...

— Co to być nie może? Tak być musi! — krzyknął Łoś.

Marcin umilkł, wziął garść drewna na ramię i łuczywo w ręce i poszedł, a za nim obaj panowie.

III.

Mirtowa komnata.

Przeszedłszy parę komnat, dostali się na długi korytarz, wiodący na schody kamienne i zniszczone srodze ręką czasu i zaniedbaniem ludzkim. Po ko-

rytarzu onem świszczał wicher zimny, przez popsute i połamane okna wlatujący i ku łuczywmu Marcina zbiegały się gromady nietoperzy i innego plugastwa. Dziwnie to posępne było miejsce on korytarz. Czarny, odrapany, niegdyś o posadzce w wielkie kamienne płyty ułożonej, dziś pełen dołów, miejscami gruzów i stęchlizny... Od krwawego łuczywa padały krwawe blaski na sklepienie żebrowate i pełne plam ciemnych.

Milcząc szli obaj ichmoście. Pracki, z mieczem pod pachą, stąpał ostrożnie i co chwila wołał na Marcina:

— Hej, nie lećże tak prędko; nic nie widzę, a o złamanie karku tu łatwo.

Przeszedłszy schody, dostali się na pierwsze piętro zamczyska, na takiż jak na dole korytarz. Tu widocznie dawno noga ludzka nie stąpała. Gdy bowiem weszli, podniósł się taki pył ogromny, że Pracki prawie się krztusił. Było tu jednak nieco ciszej i cieplej. Okna były całe po większej części i wiatru nie przepuszczały. Jak na dole, tak i tu gromady nietoperzy z łoskotem się wzbijały w górę i krążyły koło światła, łopocząc w czarne skrzydła.

Po jednej a lewej stronie tego korytarza szedł szereg drzwi jakby do cel klasztornych. Mijali je jednak wszystkie, zatrzymawszy się dopiero przy drzwiach kończących on korytarz.

— Owo jest mirtowa komnata — rzekł Łoś.

Pracki wsparł się oburącz na mieczu i ciekawie się rozglądał wokoło, podczas gdy Marcin wydobył z zanadru pęk żelaznych kluczy, przy których wisały pergaminowe karteczki z jakimiś napisami. Napisy te skwapliwie począł przeglądać.

— A co tam tak czytasz? — pytał Pracki.

— Patrzy, który klucz otwiera te drzwi — rzekł Łoś — na każdej karce jest napisano, od której komnaty są klucze.

Znalazłszy, czego szukał, Marcin ze znacznym doś wvsilkiem otworzył one drzwi i weszli do środ-

ka. Uderzyła ich niemiła woń zgnilizny i wilgoci dziwnie zimnej. Czuć było tu grobową pustkę.

— Wybacz waść — rzekł Łoś wchodząc — że ci daję tu nocleg. Ale to podobno najlepsza w całym zamku izba, choć jej nie znam.

— Jakże to waść nie znasz? — spytał zatrzymując się Pracki.

— A nie znam, byłem tu może wszystkiego ze dwa razy.

— To dziwne, przecież waść szukałeś onych... — urwał spoglądając na Marcina.

— Ja nie szukałem, bo wiem, że ojciec nieboszczyk zrobił wszystko dokumentnie a nic nie znalazł... dałem pokój, wreszcie nie bardzo ja tam wierzę w one zaklęte skarby.

Ale Pracki nic już nie odrzekł, tylko ciekawie się przypatrywał wokoło. Była to komnata wielka, sklepiąna w takie same żebra jak korytarze, ośmiokątna, o jednym wąskim zakratowanym i głęboko w mur wpuszczonem oknie. Okno to było tem dziwniejsze, że szło od samego sklepienia aż do podłogi. Mur okalający go był gruby na trzy najmniej łokcie, tak że tworzył dość głęboką niszę. Tuż pod oknem leżało poprzewracanych kilka doniczek od kwiecía, zielonych prawie i popękanych od starości. Podłoga ułożona była nadzwyczaj misternie, z małych dębowych tafli, tworząc prześliczne rysunki, niby arabeski takie dziwaczne, jakie to pokazują nam czasem na rysunkach onych wschodnich meczetów i pałaców. Ściany wybite były jakąś ciężką makatą, zczerniała od starości, miejscami zbutwiała i popadana, ale wogóle do brze się jeszcze trzymająca. Pod kurzem i oną czerwienią wiekową, jaką czas na wszystko nakłada, dopatrzyć się można było na tej makacie takichże dziwnych a wielce misternych rysunków jak na posadzce. W jednym z kątów wznosił się niewielki kominek, marmurem czarnym wyłożony i także misternie rzezbiony. Tuż przy kominku stało wielkie staroświeckie łóżo, z dębowego drzewa, przepyszna snycerską robotą rzeźbione, antyk iście wspaniałe i kosztowne. Ni

wreszcie więcej ciekawego tu nie było okrom maleńkiego i połamanego stoliczka takiejże roboty jak ono łoże, ławy wielkiej pod ścianą, zbutwiałym i wypełzłym adamaszkiem krytej, oraz paru prostych zydli. Na wszystkiem tem leżały grube warstwy kurzu, a meble one stoczone były przez robactwo. W kominku leżało nieco popiołu, nic więcej.

Komnata ta, acz pusta i od dawna nieoczyszczona, czego dowodem był kurz i mnóstwo pajęczyn na ścianach i sklepieniu, przecież dobrze była zachowana. Na prawo od okna umieszczone były małe drzwi.

— A te drzwi gdzie wiodą? — spytał Pracki.

— Tam jest maleńki alkierzyk, skąd już idą schody na wierzch baszty.

— A więc to ta komnata jest wewnątrz baszty?

— A tak, tej baszty, co jest z tyłu lewego zamkowego skrzydła.

Chwilę panowało milczenie.

— Baszta ta podobno — mówił Łoś — starsza jest od całego zamku, budowali ją jeszcze czasu wielkiej onej Gruenwaldzkiej potrzeby.

— Kupa lat! — mruknął Pracki i rozglądał się po izbie.

— A te rzeczy?

— A to właśnie jest spuścizna po prababce Biechowskiej onej, co już za Zygmunta III, czy owego Francuza Walezyusza, podobno je aż z Francyi wprowadzono wielkim kosztem.

— Hm, hm! to haniebnie piękna robota.

— A tak, ale to już zbutwiało, psu na budę się nie zda. Stoi ta i stoi, bo żal mi tego rzucać, zawszeć to pamiątka.

— Ano tak — szepnął Pracki i poszedł do okna.

Tymczasem Marcin rozniecił ogień na kominku i jaśniej a wyraźniej zrobiło się w onej pustce.

— A to okno na ogród wychodzi? — rzekł Pracki.

— Tak.

— A co tam widać w ogrodzie? jakaś mogiła, czy kopiec? — pytał Pracki.

Łoś podszedł do okna, spojrział w ogród i przy blasku miesiąca, na pół z poza czarnych i gnanych wichrem chmur wyglądającego, popatrzał.

— Ten kopiec na prawo, to groby mojej rodziny, od pradziada się tu chowamy.

— Aha! a ten drugi?

— A ten drugi, to nie wiem, jakaś odwieczna mogiła, Bóg to wie, co tam w niej jest.

Pracki odszedł od okna i stanął przed kominkiem i rzekł do Marcina:

— Mości marszałku, czy jak cię tam zowią, te drewna zaraz się spalą, idźno przynieś więcej, tylko dużo i jaki kaganiec albo latarkę, boć jak zgaśnie to tu w tej pustce po ciemku siedzieć nie będę.

— W mig wielmożny panie, ale jeśli mogę rzec tu słowo, toby może lepiej było na dole nocować.

— Ale co ty mi będziesz radził, gdzie ja mam nocować, idź po drzewo i basta.

Łoś przez ten czas stał milczący i zadumany przy oknie, patrząc ciągle na ogród.

Gdy Marcin wyszedł, Pracki rzekł:

— Wiesz waść co, panie Zygmuncie, ja dziś spać nie będę, w takiej pustce dziwnej, choć to człek żółtaczki i w niejednych był tarapatach, aleć to zawsze ciekawo, kto wie, co tu się działo i co za misterya te mury kryć w sobie mogą, a wreszcie może duchy jakie... Bóg to raczy wiedzieć. Po takich ono dziwnych komnatach to czasem duchy mieszkają i straszą. A z duchami walczyć nie umiem... to nie jest rzecz ani szlachecka ani żołnierska ani też chrześcijańska, tandem...

— Ale tu nic nie straszy — odparł Łoś.

— Co mi tam waść gadasz takie rzeczy, już ja lepiej wiem od waści, bom starszy i niejednemu widział i słyszał. Po starych zamkach a osobliwie po takich pustkach jak ta oto, zawsze rozmaite duchy mieszkają, przekonamy się.

— Ano to chodź waść na dół, prześpisz się w onej wielkiej sali.

— Ej, nie o spanie tu idzie. Powiadam waści, że ja już tej nocy spać nie będę... oto posłuchaj mnie waść, a naprzód powiedz mi, dlaczego ten twój wygarmarszałek, czy podstarości, czy tam jak, tak mnie z tej komnaty wygania?

— Pluń waść na to, głupi stary i basta.

— Może on nie taki głupi, jak się waści zdaje, jużćie ma on w tem jakąś przyczynę.

— A taką, że się boi, żebyś waść przypadkiem nie odkrył tu tych tajemniczych skarbów.

— Ano! ja też sobie tak to kalkulowałem, a powiedzże mi Łosiu, skąd on wie o tych skarbach?

— Jakże nie ma wiedzieć, od takiego ot chłopca służy tu w tym zamku.

— I dobry to człęk?

— Jak pies wierny i przywiązany.

— No to dobrze! bo widzisz waść, ja sobie, kiedyśmy tu szli, myślałem tak: kto wie, czy to nie boskie zrządzenie, że ja nocą do Łosia przybyłem i że będę spać w tej ono dziwnej komnacie jesionowej czy tam jak...

— Mirtowej.

— No to wszystko jedno, zawsze to drzewo i to drzewo. Otóż postanowiłem, żebyśmy nie szli spać obadwaj, ale jeszcze raz dokumentnie wszystkie kąty przejrżeli.

— Ale to się na nic nie zda, już tu mój ojciec dobrze szukał — odrzekł Łoś i przeszedł się parę razy po komnacie.

— Już mój Łosiu, co tobie szkodzi spróbować, nic nie stracisz, a kto wie... mozem ja ci szczęście przynieść.

— I gdzie tu szukać? — spytał Łoś, stając i oglądając się wokoło — wszystko jak na dłoni... furda i basta!

— Ha! jak chcesz... zawsze ja ci radzę, posłuchaj mnie.

— Ano kiedy waść chcesz koniecznie to i szukajmy.

I umilkli.

W tejże chwili zaskrzypiało coś ciężko i z szumem a zgrzytem wielkim zegar wybił godzinę.

— To ten zegar na tej baszcie jest?

— A na tej... zapomniałem o nim, toby waszmości spać nie dało, bestya skowyczy jak pies. Ja nawet nie wiem, skąd on jeszcze idzie, kiedy tu wszystko wali się w gruzy.

— No to ciekawe musi być to zegarzysko, warto go obaczyć. Ja choćem szlachcic, a mam zawsze jakąś chętkę do takich oto misternych robót jak zegary i znam się trochę na tem; było się onego czasu i w onem sławnem na Niemcach mieście Norymberdze i widziało zegary, powiadam waści ot... takie maleńkie jak koniec mego palca, i to oni tam nazywają jajcami.

Łoś otworzył szeroko gębę i słuchał.

— I to takie zegary chodzą i biją?

— Chodzić chodzą, ale bić nie biją, bo to widzisz waść, tam już całkiem inna jest w nich kalkulacya i manipulacya... oj te Niemcy, to wielce jest mądry naród!

Przerwał Prackiemu mowę wchodzący Marcin, a za nim wyrostek, który niósł posłanie.

— Ale już nie potrzeba pościeli — zawołał Pracki — ja tu spać nie będę.

— A to bardzo dobrze, wielmożny panie, bardzo dobrze... to w takich pustkach źle się sypia.

— Już ty tam mnie o tem nie gadaj, jeno zawróć tego chłystka, niech posłanie odniesie, skąd wzięł, a sam ostań.

Wyrostek wyszedł.

— No teraz mości panie, będziem szukać onych skarbów — rzekł Pracki — zamknij drzwi na klucz — odwróć się do Marcina — żeby nam nikt nie przeszkodził.

Marcin zrobił wielkie oczy, popatrzał pytająco na Łośa, który machnął ręką i rzekł:

— Szkoda czasu, ot lepiej się prześpijmy.

— Ale mój Łośiu, pozwól mi, że ją zrobię... co tobie szkodzi, stracisz co czy jak?...

— No, nie... ale widzisz waść po nocy... to już odłożmy na jutro, po dniu to jakoś lepiej.

— Ja jutro ani godziny czasu tu bawić nie będę

— odrzekł poważnie Pracki — musimy dziś tem się zająć.

— Ha! to szukajmy.

— Poczekaj waść, wprzód naradźmy się. Wszak szukano zawsze w tej komnacie?

— Ano w tej, bo tu ma być jakiś ślad.

— A jakże waść wiesz o tem?

— Od ojca... wyraźnie gadał o mirtowej komnacie.

— Ej nie, jaśnie wielmożny panie, to nie konieczne w samej komnacie, ale i około niej, mnie tak starszy pan powiadali — wtrącił Marcin.

— A dlaczegoż o tem nie mówił? — pytał Łoś.

— Owszem jaśnie panie, i starszy pan szukał po całej tej baszcie.

— Więc szukał? — pytał Pracki.

— A tak, ale nie nie znalazł.

— Ha! poszukamy jeszcze. Czy te drzwi na klucz zamknięte? — i postąpił ku onym niewielkim drzwiom umieszczonym w jednej ze ścian komnaty.

— Nie, bo i pocóż. Ja sam często chadzam na basztę, by zobaczyć, jak tam zegarzysko się kołacze — rzekł Marcin.

Pracki się wstrzymał.

— To ty się znasz na zegarach?

— Nie, tylko ten na baszcie przestał iść, a to dlatego, że jedno kółko się obluźowało, więc poszedłem, owinałem go papierem i jakoś idzie.

— Obaczmy! — szepnął Pracki, i ruszył naprzód popychając przed sobą drzwi.

Tu owionął ich sroższy jeszcze chłód, wilgoć i stęchlizna.

Nietoperze poruszone światłem zbiegać się do niego poczęły, a jeden potoczył się aż pod nogi Łosia, który strachnął się i odstąpił wstecz nieco.

Ponura ciemność panowała wokoło.

Pracki podniósł latarnię i popatrzał, a widząc jakieś schody wąziutkie, spytał:

- Gdzie te schody prowadzą?
- Do zegara, wielmożny panie.
- Chodźmyż obaczyć to dziwó.

I ruszył przodem po schodach, a za nim Łoś i Marcin, gęsiego, bo schody były wąskie i miejscami nadpsute. Stapając ostrożnie po trzeszczących deskach i trzymając się za poręcz, dostali się do onej maszyn zegarowej.

Jakoż było co widzieć. Bo było to zegarzysko ogromne i wielce dziwne. Miało mnóstwo kół i kółek, a choć było tej maszyneryi dużo, przecież cała manipulacya tak jako na dłoni leżała.

— I któreż się to kółko zepsowało? — spytał Pracki Marcina.

— A oto tamto, papierkami owinięte.

Pracki podniósł latarnię, przyświecił i począł odwijać on papier z tego kółka. Robiąc to, przyświecał sobie bardzo blisko i dostrzegł, że coś na onym papierze jest napisano. Pomacał go i rzekł:

— Ale to nie papier, jeno pergamin, takim twar-dym owijać taką misterną maszynę.

Wstrzymał się i patrzył w twarz Marcina.

— Co było pod ręką, to wziąłem, a że twardszy, widział mi się lepszy.

— I tu na nim jest coś napisane — ciągnął dalej Pracki.

— Napisane! — zdziwił się Łoś.

— A tak!... skądżeś wziął ten papier?

— Już dobrze nie pamiętam, widzi mi się, że le-żał tam na samym wierzchu zegaru.

— Hm, hm! — mruknął Pracki i odwijał dalej wolno a wielce ostrożnie ten papier.

Odwinawszy, strzepnął i ciekawie obejrzał woko-to. Był to duży szmat żółtkiego już pergaminu, na jednej stronie nieco porwany i zbutwiały.

Pracki przysunął go sobie do oczów i czytał ci-cho. Nagle rozpromieniła mu się twarz i krzyknął:

— Chwalaż ci Boże! mamy co nam trzeba... a! to dziwne... jeno zejdzmy na dół, bo tu ciasno i źle.

— Ale cóż waść masz? — pytał Łoś wielce zdziwiony.

— Wszystko co trzeba... przeczytamy tam w izbie.

Szybko zbiegli po trzeszczących schodach i wszedłszy do mirtowej komnaty, zamknął drzwi za sobą od baszty Pracki i stanawszy przed kominkiem, rzekł:

— Słuchajże waść, co tu jest w tej karcie. Jest to, jak mi się widzi, testament onej prabaki waszmościnej.

Łoś oparł się o okno i milcząc słuchał. Pracki przysunął się do ogniska, żeby lepiej widzieć, ile że pismo było wielce wyblakłe, a Marcin złożywszy ręce jakby do modlitwy, stał w niemem milczeniu i zachwycie. Dziwna ona komnata słabo była oświecona ogniem na kominku i wielkie po niej włożyły się cienie i od czasu do czasu wydarłszy się z poza chmury, wpadał do niej zielonawy snop księżycowego światła, strasznie posępny i tajemniczy nadając jej wyraz. Wokoło głucho w zamczysku panowało milczenie, słyhać było trzask ognia na kominku i niemal bicie Łosiowego serca... Na dworze tylko wciąż szalał wicher i jęczał...

„...W Imię Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej Jedyne...” — począł Pracki i przerwał.

— A to co... twoja prababka była papistka?

— Nie, kalwinka... — mruknął Łoś. — Biechowsy wszyscy kalwinowie.

— Aha! — i czytał Pracki dalej.

„...W Imię Boga Wszechmogącego w Trójcy Świętej Jedyne, Amen. Jako okręt morskimi bałwany skołatany, tak ja dopływam do portu mego żywota. Ale jakom wyszła czysta i niewinna z łona matki, niby ona lilijka, co na wodach rośnie, tak zasię wejść w ziemię brudna i pokalana grzechami wieloma. A naprzód dlatego, że m pozwoliła ś. p. mężowi mojemu, że oden nie uciekła lub raczej nie zabiła się, gdy przeszedł na Aryańską wiarę. Wielki to grzech jest. Zelżony i zbluźniony jest w tej rodzinie Pan

Bóg nasz w Trójcy jedyny. Z ojców starych chrześcian wyszli synowie niewierności, którzy się Boga chrześcijańskiego zaprzali i z Turki a żydy bluźnią, przenajchwalebniejszą Tróję Boga jedynego i Pana naszego Zbawiciela z Bóstwa zdzierają i Ducha Św. darem i stworzeniem bez osoby czynią i tak wiarę chrześcijańską i chrzest w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego obalają, a tureckie i żydowskie obrzydliwości wprowadzają. Wielki to grzech i bałwochwalstwo i odstępstwo od Boga prawdziwego, i Bóg pomstę swoją na dom ten przywiedzie. Jenó patrzyć, jak w tej rodzinie domy na domy walić się będą...

„Ale żebym ja z zelżywościami temi nie szła przed oblicze Pańskie i żebym zasie żmii na łonie mojem nie karmiła, więc tym oto skryptem a testamentem moim wydziedziczam synów, wnuków i wnuków wnuków moich dopóty, dopóki na łono chrześcijańskiego nie przejdą kościoła. Część majątku chowam w dobre miejsce, żeby go nikt znaleźć nie mógł, a część pod ósmą taflą posadzki w mirtowej komnacie, rachując od okna. Jest tam i ślad...”

Tu urwany był pargamin i Pracki doczytać się dalej nie mógł.

Odjął oczy od testamentu onego i spojrzał na Łosia, który zakrył twarz obiema rękami i prawie upadł na ławę, zblakłym purpurowym adamaszkiem krytą. Na dworze wicher się wzmaczał i dostając się przez wybite okna do korytarzy zamczyska, huczał i gwizdał i uderzał o mur chwiejącą się jakąś ramą. Dziwnie groźnie i ponuro grał ów łoskot po zamczysku, powtarzający się w tysięcznych echem i ginący w podmuchach wichru... W mirtowej komnacie głucho panowało milczenie... od czasu do czasu słyhać było tylko łkanie płaczącego Łosia.

Pracki popatrzał nań chwilę i odwrócił się do ogniska na kominku, od którego czerwony padł mu na twarz odblask, wzburzony cały, wyglądał jak widmo. Jakoż była to dziwnie uroczysta chwila. Wśród nocy burzliwej i szalejącej wszystkimi rozkołysanymi w jeden tan siłami natury, w pustej i posepnej ruinie, ci

trzej ludzie, samotni, odczytywali starą kartę, przedwiekową, z grobu kławę na nich ciskającą... Zdało się, jakoby zeschła i z mięsa opadła ręka tej prababy, wydobywszy się z trumny na wierzch, im groziła:

Ale Pracki szybko otrząsł się z onego wrażenia i rzekł:

— Doczytajmyż do końca, tu i na drugiej stronie jest coś napisano.

I począł:

„...A jeśli by który z wnuków lub prawnuków moich odnalazł ten testament mój i nie porzucił jeszcze onych diabelskich błędów aryańskich, a zasie w takim skażeniu swego serca i duszy chciał korzystać z onych skarbów, niechże będzie przeklęty!... Niechże kości jego nie spoczną na ojczystej ziemi, ale niech jako żyd się włóczy pomiędzy obce narody i żebrze u nich chleba i dachu... Niech nie ma szczęścia i spokoju w tem życiu ani też w przyszłym. Kławę tę moją cofam tylko w takim razie, jeśli porzuci zaraz aryańskie odszczepieństwo i na łono chrześcijańskiego powróci kościoła, lub użyje skarbów tych na potrzeby Rzeczypospolitej. Taka jest ostatnia wola moja. Amen.

Inwentarz skarbów tych pisany własną moją ręką znajduje się w onem drugim miejscu.

Beata z Blechowskich Łosiowa, m. p.”

Tu Pracki przestał i opuścił rękę z szeleszczącym pergaminem.

A Łoś ryczał wielkim płaczem i wołał:

— Boże Ojców moich, patrz, czym ja tu co winien!...

Pracki podszedł do Łosia i nachyliwszy się doń, rzekł:

— A cóż ty masz być winien i kto tu jest winien, nikt, jakem szlachcie. I czegoż oto beczysz? Jużcić przykro to jest, kiedy nas tam z grobów pomstują Bóg wie za co i o co, aleć przecie właści ta kłatwa się nie chwyci. Toć to papistowska kłatwa — a wreszcie Rzeczpospolita jest w potrzebie — i... —

tu podniósł się, wyprostował i dodał silnym głosem: — i jak ona Agar na puszczy łaknie rosy zbawienia i żywota.

— Ja ci to mówię, Łosiu — ciągnął dalej — rzuc te babskie płacze i łzy, bo rozmięknieś w nich cały. Oto Bóg ci zesłał mnie i dał przeze mnie one skarby pleśniejące w ziemi, byś był podniesion wysoko i oną Niniwę w gruzy się walącą na świeczniku narodów postawił. A strzeż się, bo czterdzieści dni nie minie, gdy garści popiołu nie będzie z tej Rzeczypospolitej.

— Ocknij się człowieku, mówię ci, i bierz w rękę oną jedyną deskę zbawienia, jaką ci Bóg daje. W tobie teraz ocalenie spoczywa wszystkim naszej braci. Łosiu! — zawołał dziwnie uroczystym tonem — Łosiu! w imieniu tysięcy, w imieniu naszej wiary zaczęj ja do ciebie rękę wyciągam.

To mówiąc, tak jak był to srogi chłop, upadł na kolana w pył wiekowy onej komnaty z łoskotem wielkim i wyciągnął obie ręce.

Porwał się Łoś na obie nogi i zawołał:

— Rób waśc wszystko co chcesz. Niech nie powiedzą, że Łoś opuścił swoich!

I jak gdyby wysiłony padł znowu na ową ławę purpurową, aż jęka pod nim.

Podniósł się Pracki i rzekł:

— Dobra krew w tobie Łosiu! z takich ludzi wyrastają olbrzymy, niby owe Scewole i Mucyusze w starej Romie. Bądźże mi pozdrowion Łosiu!

I odwróciwszy się do wciąż milczącego Marcina, zawołał:

— A teraz do roboty! Teraz Rzeczpospolita nasza i starościanka chęcińska nasza!

Łoś już obtarł łzy i uśmiechał się boleśnie...

— Idźno panie marszałku i przynieś jakiej siekiry, żeby odwalić oną taflę posadzki — rozkazywał Pracki Marcinowi.

Ale Marcin nie ruszył się, tylko zwracając się do Łosia, rzekł:

— Jaśnie panie, paniczku mój, będzie nieszczęście.

— A bodajżeś łeb siwy rozbił — krzyknął Pracki groźnie — co ty tu będziesz bzdykał... nieszczęście, nieszczęście!... bodajże cię zabito!...

— Idź Marcinie po siekiere — rzekł spokojnie ale stanowczo Łoś.

Stary machnął ręką, wziął latarkę i wyszedł.

— Głupiec stary! będzie mi tu nieszczęściem groził — sapał Pracki, i poszedłszy do okna, pochylił się i począł liczyć taflę dębowe posadzki.

Naliczywszy ósmą, zatrzymał się nad nią, zdmuchał kurz, obtarł połą żupana i ciekawie ją począł oglądać.

Lecz było ciemno. Wstał więc, wziął z kominka zapalone łuczywo i przysunawszy się do onej taflī, ukląkł, mówiąc:

— Przecie tu musi być jaki znak.

I znów oglądał starannie. Wstał i Łoś i oba już oglądali.

— A jest, jest! — krzyknął Łoś — patrz waść, na czterech rogach cztery maleńkie wyrzezano krzyże.

— A prawda, i to jakieś osobliwe krzyże.

Jakoż na onej taflī w czterech jej rogach znajdowały się maleńkie ośmiokątne krzyże arcymisternie w drzewie wyrzeźbione, ginące wreszcie przed zwyczajnem okiem w licznych onych arabeskach, z jakich cała posadzka była złożona.

Oglądali oba ichmoście z wielką ciekawością dalej oną taflę, lecz już nic osobliwszego w niej nie znaleźli. Nadszedł też i Marcin, niosąc siekiere, młotek i dłutko i wzięto się zaraz do roboty.

Pracki, jak to był chłop okrutnie chciwy, porwał dłutko, podważył i tafla pękłszy przez połowę, odskoczyła. Z łatwością już odjęto drugą połowę. Ale pod spodem nie znaleziono nic innego, jeno mur z niewielkich cegieł starannie ułożony. Poczęto rozbijać on mur, jakoż otworzył się maleńki loszek a po rozszerzeniu otworu i przyświeceniu łuczywem wydobyło z onego loszku szkatułkę na półtora łokcia może długą a wąską na pięć do sześciu cali.

Gdy oną szkatułę Pracki przy pomocy Marcina i Łosia z wielkim trudem wydobył i na posadzce położył, bo była strasznie ciężka, Łoś obcierając pot z czoła, padł znowu milczący i smutny na oną purpurową ławę, szepcząc:

— To tak jak trumna.

I w istocie szkatuła ona całkiem była podobna do trumny, już nietylko kształtem swoim zewnętrznym, bo była cienka i długa, ale jeszcze na wierzchu miała z gwoździ metalowych a teraz zieloną śniedzią pokrytych, ułożony taki oto osobliwszy, ośmiokątny krzyż, jak na onej taflí posadzki. Była to wreszcie mocna, dębowa szkatuła, żelaznemi obita sztabami, ze zamkiem strasznie jakimś misternym.

Pracki, klęcząc przy niej, nic nie odrzekł na słowa Łosia, jeno ją ciekawie oglądał. Po chwili wzięwszy siekiere, założył ostrzem między wieko a ścianę, podważył i wieko ono z wielkim łoskotem i brzękiem odpadło na ziemię. Łoś wzdrygnął się cały, ale się porwał z ławy i wszyscy trzej ciekawie zajrzeli do wnętrza.

Jakoż było co widzieć.

Więc najprzód cała szkatuła wewnątrz wybita była karmazynowym aksamitem weneckim, nieco spłowiałym, ale jeszcze pięknym. Po obu jej bokach szły przez całą długość dwie sztabki złota czystego, przytwierdzone do ścian paskami z tegoż aksamitu, dalej ułożone były rozmaite precjoza. Więc manele, zausz-nice, czółka, kolczyki, pierścienie i inne niewieście ozdoby, a wszystko ze złota arcy misternie wykonane a nasadzone brylantami, rubinami, karbunkułami i t. d., że aż oczy bolały. W jednym kącie stały trzy woreczki skórzane, kurdybanowe, opieczetowane lakiem i herbowym sygnetem, a pod nimi jakieś płaskie pudełeczko. Więcej nic nie było, okrom wspaniałej rękodzielnictwa od karabeli także nabitej drogiemi kamieniami, srebrem i złotem.

Pod wiekiem za to przymocowany był takiż osobliwy ośmiokątny krzyż, całkiem odpowiadający one-

mu z gwoździ na wierzchu, także suto rubinami i brylantami sadzony, cały ze szczerzego złota.

Wszyscy trzej oniemieli z zadziwienia. Pracki aż się za głowę złapał i wołał:

— Jakem żyw, jeszcze nigdy tyle skarbów nie widział.

— Ani ja — dodał Łoś.

— Ani ja — powtórzył March.

— A toś waść jak drugi Krezus bogaty, ale obaczmyż co tam w tych woreczkach jest.

Oderwano pieczęcie, na których herb Płomieńczyk był wyciśnięty i pokazało się, że w workach tych same są portugaly. A było tam tego ze dwa tysiące sztuk.

Otworzono też i ono płaskie pudełeczko. Tu znajdował się także pergamin żółtki, we czworo złożony, jak ten, na którym był testament.

— Ano to się i dowiemy gdzie jest reszta onej milionowej fortuny — rzekł Pracki, rozwijając pergamin.

Ale Łoś podniósł się blady jak ściana i błagalnie szepnął:

— Na Boga żywego, nie czytaj waść!

Pracki spojrział na Łosia i rzekł:

— Ejże Łosiu, nie bądź niewiastą. A czegoż ty się boisz, ty, Aryanin?...

I rozwiązawszy pergamin, przerzucił go milcząc oczyma, po chwili szepnął:

— A, to dziwne.

— No, no, co tam jest? — pytał Łoś ciągle blady.

— Ha, już cię tu dużo jest, ale posłuchaj waść co twoja prababa mówi o drugiej onej części skarbów. I począł czytać:

„Druga cale znaczniejsza część tych skarbów, którem z domu ojców moich wyniosła, umieszczoną jest w trzech wielkich skrzyniach. A znajdziesz skrzynie owe tak. Rozkopiesz oną mogiłę w ogrodzie tulacznym, w którym Łosiowie się chowają, począwszy od męża mojego, rozkopawszy odszukasz trumny tegoż męża, która jest na prawo od dębu przy kopcu

rosnącego i na której jest wyrzeżane imię i rok śmierci... Poczem otworzysz oną trumnę, wyjmiesz ciało nieboszczyka i na dnie jej znajdziesz gwóźdź, który gdy przycisniesz rozszczapi ci się ściana i wejdziesz do drugiego kopca co podle się znajduje, a tam będziesz miał te skrzynie.

„...A jeśliś już synu, wnuku lub prawnuku mój dostał skarbów onych i nie myślisz Aryańskich zelżywości a wszeteczeństw porzucić, pilnujże się zasie, żeby ci Bóg ich nie wydarł. Pomnij, że na heretyki, którzy zbawienie kradną, duszę zabijają, monetę fałszywej nauki podmiatają, jest straszny trybunał Boski. I ja cię z grobu przed on trybunał zapozywam, zapozywam, żeś nie usłuchał głosu twej prababy, żeś poruszył umarłe! Bądźże mi przeklętym na wiek wieków i po skończeniu dni twego żywota, amen! Niechże tak będzie i tak się stanie, w czem mi Panie Boże dopomóż!” Beata z Biechowskich Łosiowa, m. p.

Ale Łoś nie dosłuchał już końca tylko jęknął straszliwie i padł jak długi na ziemię.

Cisnął Pracki ze złością pargamin, szepcząc:

— Głupia baba! — i skoczył do Łosia z Marcinem, który zawodził.

— O nieszczęście! nieszczęście!

— Cicho byś był stary dumniu! — huknął Pracki — ot pomóż mi go lepiej na ławę położyć.

Podnieśli go powoli, rozpięli, otrzęźwili, że prawie przyszedł do siebie.

— Aj, Łosiu — mówił Pracki — jak ty dzieciuch — jak mało w tobie onego męskiego wspaniałego animuszu. A toć Bóg dał ci w rękę takie siarby, jakich mało w Polsce, a ty jak jaka baba w mdłości wpadasz. Przyjdźże do siebie, rozpatrz się jeno.

— Już nie mów walc tak do mnie, mospanie Pracki — szeptał słabym głosem Łoś, siedząc na ławie i podpierając się rękami o kolano — boć zawsze cząstka tej klatwy spadnie na mą głowę.

— Furda mospanie, co to po próżnicy zawracać sobie głowę, także cię to uczyli w naszej religii, cóż to papista jesteś czy co?

— Pofolguj mi waść nieco, niech się rozmyślę — ciągnął dalej Łoś — jać się tam tego bardzo nie boję, aleć to zawsze boli.

— No, że boli, to boli... toć oczywista.

— Ano tak, ale widzisz waść, dość ja mam tych oto tutaj skarbów, toć to krociowa fortuna.

— Więc cóż?

— Więc tamtych ono co w grobie leżą pod trupem mego pradziada nie ruszę, nie ruszę i basta!

Pracki przeszedł się po komnacie i rzekł:

— Ha, czyń waść jak chcesz, aleć to szkoda, żeby taka fortuna pleśniała tam pod trupami... i ja nie nalegam na ciebie Łosiu cale nie... czyń sobie jak chcesz... czasu jest dość, na teraz wystarczy nam oto ten skarb na to, by i chorągiew całą postawić i o starościankę chęcińską się pokusić.

Na tem skończyła się rozmowa Łośa z Prackim. Łoś ile że był słaby i wypadkami tej nocy dziwnie wstrząśniony, poszedł i legł na łóżku, a Pracki z Marcinem resztę nocy znosili do dolnych komnat one skarby z Mirtowego pokoju.

IV. Listy.

Po nocy burzliwej nastąpił prześliczny wrześnieowy poranek. Słońce wypłynęło wspaniale na lazurowy ocean niebios, a od lasów i łąk szedł po ziemi aromatyczny zapach skoszonego świeżo siana i on oddech szeroki przestrzeni, skropionej deszczem i odżywionej burzą.

O ćwierć niespełna mili od Klelc, a o dobre 2 mile od Chełmiec, tuż pod górą obrosłą lasem sosnowym, nazwaną Karczówką, a na której niedawno wznosił kościół i klasztor OO. Bernardynom biskup Krakowski Szaniawski, dla ubłagania niebios o oddalenie morowej zarazy, która pod one czasy poczęła

srodze Polskę nawiedzać, otóż pod tą górą tuliła się wioska Czarnów, będąca stolicą klucza, w którego skład wchodziło parę wsi i parę folwarków jak Piękoszów, Niewachłów i t. d., a należącego od dawna do rodziny znanej w kraju, Branickich.

Pan Branicki, dziedzic onego klucza, nosił szlachetne imię Łukasza i był miecznikiem sieradzkim, a choć był człek stary przecież jeszcze kawaler. Po nim majątek ten spadał w części na dalszych brataników, a w części na pannę Branicką, starościankę Chęcińską, córkę rodzzonego brata pana Łukasza, Jana Branickiego, w której tak srodze zakochany był pan Łoś Zygmunt.

Owoż jakeśmy to już rzekli, było to w prześliczny wrześnieowy poranek, zaraz nazajutrz po onej nocy, w której Łoś prababczyne odnalazł skarby. W wielkim dworcu patrzącym oknami na Karczówkę szmaragdową od zieleni leśnej i na wieś czerniejącą chatami, w dużej izbie o dwóch oknach rozwartych na oścież przechadzał się Imć pan Łukasz Branicki, miecznik Sieradzki i jak przystało na prawowitego katolika, odmawiał poranne swoje modlitwy.

Był to chłop srogi, ogromnego wzrostu, jak olbrzym jaki, podobien do onych posągów kamiennych co to je w królewskich stawiają komnatach gwoździ ozdobić a zbyt kowi. Ubrany w krótki kitajkowy żupan, przepasany prostym włóczkowym pasem, chodził po komnacie wielkimi krokami i modlił się gorąco. Na łbie polskim obyczajem podgolonym uczciwie, znać było kilka blizn, widocznie od szabli, kilka rysów głębokich. Ogromne siwiejące już wąsiska, nastroszone jak pomiotły, nadawały mu srodze groźną postać, a małeńkie siwe i bystre a wielce przenikliwe oczy, podwajały ten groźny wyraz jego fizynomii. Pan Łukasz bywało czasu młodości służywał wojskowo, był nawet w wielkiej onej i sławnej na świat cały potrzebie Chocimskiej z hetmanem wielkim litewskim Chodkiewiczem.

Dziwna, rzekłbyś klasztorna, cisza panowała w onej komnacie i w całym zresztą dworcu. Od czasu

do czasu wbiegła przez otwarte okno z sąsiednich lip pszczoła lub osa do komnaty i pobzdykawszy koło ścian, wyniosła się zaraz ścigana srogim wzrokiem pana Marcina i groźnem ruszeniem wąsów. Ciszę tę prócz tego przerywał wielki zegar w kącie stojący, stary, choć misterny grät jakiś, miarowym idący ruchem. Przedstawiał on najprzód onego bożka pogańskiego Atlasa, wyrzeźbionego arcypięknie z hebanu czy też dębu, bo był czarny jak węgiel — owoż bożek ów z wielkim nateżeniem a pracą, dźwigał na swych barkach ogromną kulę mającą njbym świat imitować a w której to kuli znajdował się on zegar. Jakoż było to arcymisterne a też i rzadkie na one czasy cacko.

Owoż jakeśmy rzekli, panowała głęboka cisza w całym onym szlacheckim dworcu. W antykamerze drzemał na zydlu kozaczek w wielkich karmazynowych szarawarach, kiwając się szkaradnie i opędzając od much, które na spoconej jego twarzy jak na płastrze miodu siadały.

Ale jak wewnątrz dworu było pusto i cicho, tak zewnątrz na dziedzińcu wrzało wielkie życie. Owoż najprzód urosiły się ponad lipami i całym otoczeniem gromady gołębi, kąpiąc się lśnjącymi piórami w wrzesniowych słońca blaskach. Na dziedzińcu leniwie włoczyły się psy rozliczne, ze spuszczonej uszami, szukając cienia i żeru, a od stajen parobcy i kozacy przeprowadzali konie, wszystkie złotej maści i jak panienki piękne.

Pan miecznik chodząc po swej komnacie i mowiąc pacierze, pilnie zwracał oko na wszystko, co się na dziedzińcu działo, a już najbardziej obserwował konie.

— I nie wódź nas na pokuszenie — mruczał pod nosem i zatrzymując się nagle, krzyknął wielkim głosem: — hej Maciek, psia wiaro, jak ty łyskę prowadzisz!... ale nas zbaw ode złego... a! ty taki a taki synu, toś jeszcze pęcin ogierowi od onegdaj nie oczyścił, poczekaj hamie, kropnę ja cię... zdrowaś Marya, łaskiś pełna... koni mi nie straszyć, nie szarpać... Pan z toba... i t. d.

I trwało to tak czas jakiś, one modliwy i wymyślania wplecione w dziwny wieniec łajań i prośb — gdy na dziedzińcu zjawił się kozak w papuziej barwie, na spoconym koniu, mając jakieś papiery zatknięte za kołpak. Zsiadł z konia, przywiązał go do słupa i otrzepawszy się z kurzu, pomuskał ogromnie wąsiska i walił wprost do dworu.

Pan miecznik przyłożywszy rękę do oczów, popatrzał nań i krzyknął:

— Hej kozak!

Kozak stanął przed oknem, zdjął czapkę i wyjąwszy listy, podał, mówiąc:

— Od pana Starosty; mam nakaz czekać na odpowiedź.

— Czekaj!

Kozak pokłonił się do kolan i usiadł sobie na ławie w ganku, patrząc z nienaruszonym spokojem na wrzawę i ruch na dziedzińcu.

Tymczasem miecznik obejrzał jeden list po drugim i szepnął:

— A! i od Zosi, czegoż ta dzierlaska chce ode mnie?

To mówiąc, klasnął w ręce i rzekł do wchodzącego kozaka z antykamery:

— Wołać mi pana marszałka.

Niedługo wszedł marszałek w kawowym żupanie i przy karabeli, persona buńczuczna, acz już czelnie młody.

— Czytajno mi waść, co tam pisze pan brat — rzekł do wchodzącego miecznik.

Marszałek milcząc wziął list, rozpieczętował i podszedłszy do okna, czytał co następuje:

„Mnie wielce miłościwy panie a bracie mój!

„Wiadomo już zapewne waści, panie a bracie mój, o onym najeździe na Rzeczpospolitą Imć króla szwedzkiego. Nie dość biedy ma Polska w tak ciężkiej wojnie z Moskwą okrutną, z rebelią kozacką pasującą się, jeszcze trzeba, żeby i Szwed przyszedł windykować nieuczynione mu nigdy krzywdy. Najjaśniejszy król Kazimierz postanowił na senatus censulium umknąć

się od Warszawy i tutaj w nasze strony uskoczyć, a żeby oponować się najezdnikowi. Jakoż przysłano mi listy, ażebym opatrzył mury zamku i ściągnął co można żołnierza. Przy królu jest tylko Imć pan Stanisław Lanckoroński, hetman polny, i Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski. Królowa Ludwika do Krakowa się udała, a króla czekamy lada dzień. Powołano też pospolite ruszenie województw mazowieckich pod Łowicz, ale to tam z tego wtęcej biedy jak użytku będzie. Hołota to i kpy ta szlachta wielkopolska.

Owoż miłościwy panie a bracie mój, będąc w tak ciężkich kłopotach i tarapatach, że sobie człowiek sam rady dać nie może, ile że z królem będę musiał zapewne do Krakowa jechać, owoż chciałem pana brata prosić najuprzejmiej, czyby nie przybył do mnie na radę i zebrawszy wszelką broń a ludzi, dopomógł do ubezpieczenia murów Chęcińskich. Tak wyraziwszy me chęci, pozostaję pana a brata mego miłościwego, najszczerzszym krewnym a sługą.

Jan Klemens z Ruszczy hrabia Branicki."

— Ano, to dobrze! — szepnął pan Łukasz — a co w drugim liście tam jest, czytaj waść.

Marszałek zabierał się do czytania, ale mu pan Łukasz przerwał:

— Albo nie, daj waść, ja sam przeczytam. A tymczasem każ waść zaprządz konie do skarbniczka, duchem; jak wyjadę, wyjąć broń, opatrzyć, prochy, szable, pistolety, co jest, mieć w pogotowiu i czekać mego przykazania.

Gdy marszałek wyszedł, miecznik usiadł sobie przy stole pod oknem, rozłożył on list panny starościanki, wyprostował go ręką i z wielkim mozołem począł półgłosem sobie odczytywać:

„Najukochańszy stryjcju!

„Chciejże najukochańszy stryjcju mieć kompasją nad moim kłopotem i poradzić mi co na niego, bo tu wszyscy w zamku jeno temi Szwedami są zajęci, a ja cała we łzach moknę...”

— Ho! ho! już zaraz we łzach...

To mówiąc, obtarł sobie czoło obficie zroszone nad tą pracą polem i tak dalej czytał:

...,Wczoraj usechł mi on zamorski kwiatek, com go dostała od J. W. Wojewody Sandomierskiego p. Koniecpolskiego. Trzymałam go w wirydarzu, na zamku, podlewałam go codziennie i wszystko na próżno. Boję się, żeby to nie był omen jakiego nieszczęścia...”

Znów przerwał miecznik, zakręcił się na krześle, jakby go kto ukłuł, obtarł czoło, poprawił żupana i zaczął sylabizować dalej. Ale jakoś się zahaczył:

— Ki to to dyabli? M czy nie m? jużcić chyba nie m, bo m ma trzy laseczki, a tu jest ich kilka...

— Ej, to babskie pisanie, że też te baby, to nawet pisać uceziwie nie umieją.

Powstał, przeszedł się parę razy po komnacie, ochłonał i znów siadł:

— A, to mnie ta dzierlatka zasadziła do roboty, wołałbym w polu orać. Aleć przecie marszałkowi mospanie nie mogłem dać tego do czytania, bo tu i o tym Łosiu półgłówku stać coś musi.

I zabrał się do roboty:

— M czy nie m? od... dzic, a, bodajże cię to to R!...

Podniósł list do okna, wpatrzył się i rzekł z gniewem:

— Co to za R, gdzież to do R podobne, to całkiem inna litera, no, mospanno powiem ja ci kazanie.

„Rodzic myślą tylko o Szwedach, naprawiają mury, zaciągają armaty i najukochańszy stryjciu w tej konfuzji, nikt się nie uzali mego nieszczęścia. Mówią, że król ma do nas zjechać, a potem rodzic z królem do Krakowa pojedą, a komendę zamku chcą wam stryjciu i panu Straszowi zostawić. Co ja tu poczną nieszczęśliwa? Czyby to stryjciu nie mógł u nas w zamku ten... pan... Łoś mieć komendy? Przecie on umie hetmanić! Ja nawet wiem, że on już przyjechał z tego szkaradnego Krakowa. Widziała go służebna moja Marysia. Niech stryjcio rychło do nas

zatrzy, a może mi to poradzi na to wszystko i na mój kwiatek.

Całuje stopki stryjcia! Zofia Branicka”.

Odetchnął ciężko miecznik, gdy skończył, i rzekł:

— Tak, tak, od kwiatka zaczyna i na kwiatku kończy, a myśli o amancie. Oj kobiety, kobiety.

I zaczął myśleć.

— A no, trzeba coś o tym Łosiu się dowiedzieć. Hej!...

Kozak stanął we drzwiach.

— Kto jest na posyłki dzisiaj?

— Mała, Jaśnie Panie.

— Wotaj go!

Kozak trunął.

Miecznik siadł tymczasem u stołu, dobył z szuflady kawał papieru i dyktując sobie głośno, pisał:

„Mnie wielce mościwy panie Zygmuncie. Jeżeliś nie bardzo zdrożony po podróży do Krakowa, to bądź dziś u mnie wieczorem.

Łukasz Branicki, m. p.”

W tejże chwili stanął we drzwiach kozak z doniesieniem, że chłop gotów:

— Weź to i powiedz, żeby duchem do pana do Chęmieć zaniósł. Rozumiesz!

Kozak poleciał...

Niedługo potem zaszedł przed ganek skarbniczek i miecznik ubrany w czarny kontusz, tak się oddawa na nosił i żółte bóty z karabelą u pasa, wyszedł i pojechał. W parę godzin ujrzał już baszty Chęcińskiego zamku przed sobą.

Miało się już ku południowi i słońce mocno dopiekało. Niebo było takie czyste, jak one lazury morskie, kiedy ciszą spięte, drzemią sobie na słońcu, i na błękicie onym rysowały się jak trzy czarne widma, trzy baszty Chęcińskiego zamczyska.

Jakoż był to widok całę prześliczny i niezwykajny. Góra na której ono zamczysko sterczało, była wielce wysoka i stroma, a naga jak kolano, gdzieniegdzie jeno porwana od olbrzymich złomów kamienia. Sam zamek był dziwnie silnie i obronnie zbudowa-

ny. Więc najprzód otaczał go mur wysoki, zębaty, z dwoma basztami od zachodu i północy, całe jeszcze zdrowy, choć czarny jak cygan. Brama była tylko jedna od wschodu, broniona głęboką fosą, palisadami i mostem zwodzonym, przy zachodniej też baszcie mieściła się maluczka furta, żelaznemi drzwiami okryta, gwoli zbrojnych wycieczek zbudowana. Z poza muru strzelała jeszcze jedna baszta potężna i dachy mieszkań. Na murach i basztach złocili się osłoneczka działa i śmigownice i ruch wielki tam w ogólności panował.

Gdy miecznik wjechał we środek zamku, w dziedziniec otoczony wokoło gmachem zajmowanym przez starostę, zastał tam już mnóstwo wózków i wozów. Ruch był ogromny. Znoszono broń, zataczano działa, ćwiczone ludzi, słowem zbrojono się na gwałt.

Zjazd okolicznej szlachty był wielki. Wszyscy zebrali się w jednej ze sal zamkowych i gwarzyli, pili, a radzili głośno. Co chwila ktoś przybywał i albo ze sobą nowe wieści przynosił, albo też stąd wynosił.

Sam p. Starosta Branicki człek maleńki, przygarbiony, a żywy jak fryga, chodził a raczej biegał ciągle po sali, rozmawiał, prosił i co chwila wydawał rozkazy. Zoczywszy miecznika, skoczył do niego z otwartemi ramionami, uściskał i po krótkiej chwili w której miecznik witał się z bracią szlachtą, porwał go i powiódł w głąb zamku do osobnej komnaty.

Tu usadziwszy brata na zydlu wielkim, skórzanym, stanął i załamując ręce, rzekł wielce żalostliwym tonem.

— Zmiłuj się panie bracie, radę bo ja nie wiem co mam czynić.

— A cóż tu radzić moespanie, wezwać ono szlachtę, by zbrojno stanęła na zamku, działa zatoczyć, ludzi jak najwięcej zebrać, boć to zamczysko ogromne i czekać Szweda z nadzieją w Bogu.

Ale pan Starosta biegając wciąż po komnacie, trzepał się rękami po wielkiej peruce, bo był po francusku ubrany, aż biały kurz się z niej sypał a mie-

cznik od niego w niebogłosy kichał, owóż p. Starosta jakoś nie nabrał ducha po tych słowach brata i mówił:

— Ta to ja wiem i już zrobiło się co można — ale kto tu będzie hetmanić, przecież nie ja, bom jako żyw na wojnie nie był, ani też tego nie lubię...

— Ha! — rzekł powoli miecznik ocierając rękawem oczy łzami zasze od wielkiego kichania — to zobaczymy później. Ma tu być przecie król jegomości.

— Ano tak, ma być... aleć przecie tu na wieki nie zostanie, ale pojedzie dalej i ja też z nim, ciągnął Starosta, drepąc i poprawiając perukę.

— Jąc to wiem dobrze i niepotrzebnie mi waść takie rzeczy mówisz, jeśli rzekł o królu jegomości to dlatego, że jemu przystoi naznaczyć tu hetmana, kiedy starosta zamku swego bronić nie chce... więc o hetmaństwo się nie frasujemy, jeno myślimy o pilniejszych rzeczach.

Starosta na chwilę stanął i patrząc na brata słuchał.

— Dobrze pan brat mówisz — rzekł po chwili — że co do hetmaństwa, to można na później odłożyć. Ale zmiłuj się panie bracie, radź, jak ja mam zamek opatrzyć, bo ja się na tem nie znam, a król Jegomość wyraźny ordynans mi dał.

— Ano, tem to ja się zajmę. Zamek obejrzę, uzbroję, w żywność zaopatrzę, tak żeby Szwedom mógł pokazać, że i Polacy broń mają, też i ręce co i oni.

Ale pan Starosta na te słowa znów stanął na środku komnaty i wielce zdziwionemi oczy wpatrzył się w swego brata, a nawet szeroko gębę otworzył a koronkowe rękawy u sukni mu drżały.

— Jakże to? — spytał — to pan brat myśli o obrońcie tego oto zamku?

Podniósł głowę miecznik, i ile, że był trochę krótkowidz, przymrużył oczy i od światła je ręką zasłonił i tak patrzył na brata.

— Ano przecież nie inaczej być ma — odrzekł po chwili.

— Ale to być nie może, porwał się starosta niecierpliwie, trzepiąc rękami i koronkami jak kur kiedy na zaraniu skoczy na płot i pieje, ale to być nie może — powtórzył — tu o obronę cale nie idzie.

Powstał miecznik dziwnie wyprostowany i tak szedł na Starostę, a stanawszy przed nim, założył ręce w tył, rozkraczył nogi i spytał:

— A cóżeś ty jest Branicki, czy zasie jaki chłop lub mieszczuch a może gorzej jeszcze, żyd lub Niemiec?

Teraz starosta stanął i znów rozdziawiwszy usta pytał:

— Jakże to panie bracie?

— Oto tak, że kiedy mnie wołasz, bym ci radził jak masz bronić locum tobie powierzone, toć słuchaj coć mówię, a takich oto zdań nie waż mi się mówić, bom ja żołnierz, i kiedy bić to będę bił, że aż wioły polecą.

— Proszę panie bracie siedźno, a nie indycz się, bo tu cale powodu do tego niema i posłuchaj, bo ty widzisz, jesteś w gorącej wodzie kąpany i żołnierz i na polityce ani krzty się nie znasz.

— Co mi tam wasza polityka — machnął ręką miecznik i uderzywszy o karabelę dłonią — toć pono lepsze jak wasze pargaminy i na Brennusowej szali waży losy narodów, a nie pisaniny i wykrety.

— Jać to wiem dobrze, że ty tego nie rozumiesz, boś był zawsze tępą do ksiąg, zaśmiał się Starosta.

— A ty do szabli — republikował miecznik — ale powiedzże mi, czego ty chcesz?

— Owóż czego ja chcę od ciebie panie bracie — mówił starosta siadając na zydlu i przysuwając się do miecznika, że kiedy król Jegomość dał taki ordynans żeby zamek zbroić, toć go zbroić trzeba, aleć przecie co innego zbroić, a co innego bronić.

— Ha, to ja już tego cale nie rozumiem — porwał się miecznik — bo na cóż się zbroić jeśli o obronie api marzę.

— A widzisz, że ty tego nie rozumiesz, otóż ja ci to dokumentnie wyłożę, jeno słuchaj cierpliwie.

— Słucham.

— Owo panie bracie bronić się rzecz łatwa widzi się, ale tu jest całe trudna. Szwed to taka potęga, że bronić się nie ma co, bo nas zje z kretemsem. Wittenberg w 6000 żołnierza zajął całą Wielkopolskę i taki dufny jest, że bez żadnego prawie koło siebie prezydium, bo tylko w 200 koni szwedzkiej gwardyi jadł obiad u imię pana Grudzińskiego wojewody kaliskiego, a za nim idzie Kenigsmarck, Duglas i zaszle sam król Szwedzki. Jest to tam kupa tego Szweda, a są i Niemcy i Francuzi i Olendry i różna inna nacya, a wszystko heretyki strasznie zagniewane na nas. Jeżeli więc Wielkopolska się poddała bez dobycia nawet szabli, co jest rzeczą sromotną, gorszą od Pilawieckiej wstydlivej ucieczki, jeżeli Warszawa jeno patrzeć jak wpadnie w ręce Szweda, bo król Jegomość wyszedł z niej a komendę zdał imię panu Wessłowi staroście Makowskiemu, który jak wiesz całe nie jest rycerskiego animuszu i coś tam zadął z p. Podskarbin, jeżelić pospolite ruszenie pod Łowicz zwołane całe się nie zbiera i nie zbierze, to coś my, w Chęcinach, mamy się oponować i bronić, zważ że to sam, proszę ja ciebie.

To mówiąc pan Starosta spojrział z ogromną wyższością na swego brata, który drapał się w głowę jakoś markotno i w końcu rzekł:

— Toć to wszystko prawda panie bracie, ale jak z tego konkluzya?

Poprawił się Starosta na zydlu i odchrząknawszy tak swą rzecz prowadził:

— Oto taka konkluzya panie bracie, że kiedy przejść nie można, to należy przeskoczyć lub podleźć. My Szwedowi rady nie damy, to pewna, boć kilka chorągwi pana Kasztelana Kijowskiego Czarnieckiego powołanych z Ukrainy, jakoż i kwarciarani Hetmana polnego Lanckorońskiego, których wszystkich nie ma jak 5 lub 6 tysięcy, nie zagrodzą Szwedowi drogi, rozumie to sam król. kiedy idzie do Krakowa.

A zważ jeszcze panie bracie, że na Ukrainie rebellia kozacka rośnie haniebnie, że pan Potocki z komputowymi rejteruje się pod Lwów, bo nie może dać sobie rady z Chmielnickim huncfotem, że Moskwa całą Litwę prawie ma w garści, i jakże się tu oponować, z czym i komu naprzód?

Tu pan Starosta poprawił sobie białą perukę, aż mąka się wzbila w górę jak kiedy dym buchnie z pieca a miecznik kichał w niebogłoty, i tak dalej mówił:

— Owóż ja rozumiem, że bronią trzem takim zjadłym opresorom rady nie damy. Trzeba jeno poczekać. Mamy też alianse, cesarz jest nieprzyjacielem heretyków i widzi, że Szwed zerwał armistycjum, ma nam pomódz.

— Czekaj tatka latka — rzeknie na to pan Łukasz — toć to Martwe morze ten rakuski dwór, nim on przyśle sukurs, to Szwed, Kozak i Moskał rozdrapią nas na nic, ja rozumiem, że trzeba się bronić do ostatka.

— Ano tak, to oczywista, ale bronić się a bronić, to rzecz cale różna, jużcić bronić się trzeba o tyle, żeby Szwed całkiem nas za łeb nie wziął i nie przydusił, trzeba żeby zawsze nie był pewny swego, a jak nadejdą rakuskie posiłki, hajże na niego.

I umilkł pan Starosta i patrzył na brata, który milczał uparcie, jeno wąsy sobie motał, jak to zwykły był czynić, gdy miał mocno czem myśl zaprzątniętą. Owo po chwili milczenia rzeknie miecznik:

— Ano ja rozumiem, że teraz zaraz trzeba wziąć taką rezolucję, żeby się Szwedowi nie dać.

— Ale to cale jest rzecz inna teraz a cale będzie inna później — przerwał niecierpliwie Starosta — teraz wszyscy pokotem Szwedowi do nóg padają i nie ma co gadać o obronie. Próżne tylko krwi rozlanie. Oto ty nie wiesz ale ja wiem, bo mam wiadomość, że szlachta i panowie naszej małopolskiej prowincyi gromadami do Węgier i Śląska uchodzą.

— Ha, to straszna calamitas jest! — zawołał miecznik i wstawszy z zydlu, począł chadzać wielkimi krokami po komnacie, okrutnie zafrasowany.

— Więc kiedy wszyscy uchodzą, to jakże ja mam jeden ostać tu, na rubieży, i zdrową głowę kłaść pod ewangelią? — pytał Starosta — jać mam dziecko i idzie mi też o życie. Jużcić nie ujdę za tymi innymi ani na Węgry, ani też do Niemców, ale będę tu czekał króla Jegomości, bo mam taki nakaz, ile że przyjdzie do tego, że król przed Krakowem w tych stronach chce się mieczem ze Szwedem rozprawić.

— Tak ma być? — pytał stając miecznik.

— A tak, i że król nakazał mi zamek opatrzyć, więc go opatrzę i hetmana ustanowię, ale bronić się długo zakażę. Bo trzeba i to ci jeszcze panie bracie powiedzieć, że z królem pojedę do Krakowa, bo tego chce, a Zosię zostawię tu w zamku, bo gdzież białogłowy włóczyć za sobą w takim wojennym, niecnotliwym czasie.

— Mnie się to nie widzi, żeby tu Zosię na zamku zostawiać, bo bronić się długo nie chcesz, ale bez obrony zamku oddać też nie każesz, więc będzie wojna i krwi rozlanie. A jak, czego Boże broń, Szwed zamek forsa weźmie, to co będzie?

— Ej, nie jest to tak panie bracie. Szwed zamku forsa nie weźmie, bo jest on okrutnie obronny już od natury, a też po kilku dniach oblężenia zdacie się za pewnemi kondycjami i asekuracyami. Szwed, ile słyszę, jest wielce łaskawy, więc niebezpieczeństwa dla białychgłów nie ma, a czy w zamku będzie Szwedzkie czy Polskie prezydium, to rzecz jedna jest.

— Więc Zosię zostawisz?

— A zostawię, trzeba też nieco zebrać prowiantu i amunicyi, dla oka, boć król Jegomość tu będzie, a choć on tam na to nie spojrzy, ile że słyszę, jest w niepohamowanym strachu, zawszeć to wypełnić należy. Idzie tylko o to komu komendę zostawić.

— Przecie odłożyliśmy tę rzecz na przyszłość.

— Ano, to prawda, aleć pogadać o tem nie zawadzi, ile że ja sobie już nieco wykalkulowałem.

— Jakże to jest? — pytał miecznik siadając przed bratem.

— Oto tak. Król Jegomość dał nakaz, żeby wszystkie chorągwie jakie są, szły naprzeciw niego na sukurs, więc i chorągiew p. Myszkowskiego tam pójdzie, gdzie jak wiesz, pan Strasz jest porucznikiem. Już poszły listy do Pinczowa, lada dzień spodziewam się ich tutaj. Wtedy będę ciebie panie bracie obliłował, byś objął komendę z panem Straszem nad zaimkiem, ile, że z chorągwi Myszkowskiego coś żołnierza na prezydium zostanie, bo ja strasznie się wyiskrzyłem i prawdę rzec, nie mam za co robić zaciągów.

Miecznik długo milczał, poczem rzekł:

— Za to że mi panie bracie komendę oddajesz, jestem ci bardzo wdzięczny, ale widzisz, ty się znów na rzeczach wojskowych cale a cale nie znasz. Pan Strasz jest porucznikiem i mnie słuchać nie będzie, a w wojsku i czasu wojny musi być obedyncya, bo inaczej wszystko psu na budę się nie zda. Co się zaś tyczy tego, że nie masz pieniędzy na nowe zaciągi, to jać z chęcią dam, mam trochę grosza odłożonego, weź, mnie nie potrzeba. Tak ja tę rzecz rozumiem.

Na to odrzekł Starosta:

— Submituję ci się panie bracie za twój szczerzy afekt braterski, ale ja cię i tak miałem prosić o kilka tysięcy czerwonych złotych, bo nie mam za co z królem Jegomością wyjechać. Więc już na zaciągi wziąć nie chcę.

— Co ty mi tam będziesz gadał — przerwał pan Łukasz — nie kilka ale kilkanaście tysięcy złotych ci dam i basta, a zaciągi zrobić trzeba i jakimś tam panom Straszom kłaniać się nie należy. Co Branicki to nie Strasz!

Skrzywił się okrutnie na te słowa Starosta i zaczerwienił, ale dysymulując, rzekł zwyczajnym głosem:

— Ja bo cale nie rozumiem na jakim fundamencie zasadzasz tę twoją kontradycyą do imć pana Strasza, człek dostatni, zamożny, a jest też i imię nie ostatnie. Kawaler to wielkich nadziei i zająć może daleko, jak go jeszcze popromuję.

Stał milcznik i słuchał, a potem machnął ręką i rzekł:

— Rób sobie jak chcesz, tylko ja tu komenderować na wspólną ze Straszem nie będę! Jabym jemu i kmiczej obory, gdzie krowy stoją, nie dał w komendę.

Ale pan Starosta przysunął się do brata i rzekł łagodnie:

— Oj, gorączka z waści panie bracie; rzecz to jeszcze daleka i przecieć tobie komenda się należy, bo przy kimżeby Zosia została. Ale zobaczmy co król Jegomość powie. Ja chciałem jeszcze o jednej rzeczy z tobą pogadać, ale już dam pokój.

— Cóż to takiego? A, proszę cię panie bracie, mów, przecieć nie jastrząb ani też tygrys, bym ludzi jadł, proszę cię, mów — zachęcał miecznik z wielkim afektem.

— Ale kiedy jesteś okrutnie zagniewany na imię pana Strasza.

— A, to o tego ptaszka idzie?

— O niego, bo widzisz w tych ciężkich czasach, gdy człowiek jutra swego nie jest pewny, chciałem coś postanowić o losie Zosi.

— A cóż ty chciał postanowić?

— Chciałem ją zaręczyć z panem Straszem.

— To tak, a pytałeś się dziewczyny czy go chce?

— Jakże to, ja mam się pytać o to, coż to za nowotna filozofia?

— Nie żadna to filozofia, ale widzi mi się, ano rób jak chcesz, i ja też będę wiedział co robić.

Koso spojrzał Starosta na brata i rzekł:

— Ale to jeszcze nie postanowione i ja ci się tylko radzę, jak ty to rozumiesz?

— Ja to tak rozumiem, że jak Strasz przyjdzie, to mu daj czarną polewkę i basta...

— Ale to być nie może, żadną miarą być nie może — porwał się Starosta i chciał coś dalej mówić, gdy wszedł sługa i doniósł, że imię pan Gagatnicki ze Strawczyna, wojski Krakowski, przyjechał na za-

mek i prosi pana Starosty o chwilkę rozmowy, bo ma ważne nowiny.

Ruszyli się panowie co żywo i tak się rozmowa urwała.

V.

Starościanka.

Gdy obaj bracia się rozeszli, starosta poskoczył naprzód, a miecznik skrzył na prawo w długi, odwieczny korytarz zamkowy i stanąwszy przy otwartym oknie, chłodził spoconą twarz, bo dzień był okrutnie gorący a i rozmowa też była gorąca. Stał sobie tak miecznik i obcierając czoło rękawem od żupana, patrzył na miasteczko bielejące u stóp góry, i na ruch koło murów i na dziedzińcu zamkowym.

I w tem patrzeniu się swoim, mocno był zadumany, otrząsł się jednak wkrótce i ciekawie spojrzął po okólnym murze fortecznym, który czatny od starości, najeżony zębami blanki, całę groźnie i zdrowo jeszcze wyglądał. Złociło się też od słońca kilka działek wylotem za mury skierowanych, zataczano kilka innych, układano kule w piramidy i ruch w ogólności znaczny był na zamku.

— Zje kopę dyabłów, jeśli ja się tu poddam — mruknął miecznik i znowu zapadł w głęboką zadumę.

Leciutki wietrzyk, wpadając przez otwarte okno, chłodził mu twarz i widok też całę ładny rozstaczał się stąd. Więc najprzód samo miasteczko leżało pod górą, skupione, biedne, czarne i odrapane, a dalej zieleńiały lasy odziane w lazurową szatę, widać było kilka wiosek i wieże Kieleckiego zamku.

Kiedy sobie miecznik tak duma i podparłszy brodę na oknie, patrzy przed siebie, aliści czuje, że go ktoś lekko trąca, a zaraz też potem srebrniutki, śpiwiny głosik niewieści:

— Proszę Jasnie Pana!

Porwał się miecznik, obejrzał i zobaczył przed sobą Marysię, oną służebną Starościanki.

— A czego ty chcesz?

Dygnęła wdzięcznie dziewczyna i rzekła:

— A to panna Starościanka prosi Jaśnie pana do siebie, jest w swej komnacie sama.

— A no... to idę.

I ruszył miecznik korytarzem aż na drugą stronę zamku, gdzie w niewielkiej, narożnej, ale prześlicznej komnatce mieszkała Starościanka. Jakoż było to istne cacko on panieński pokoi. Najprzód znajdując się w samym środku zamku, był sześciokątny i oświetlony jasno, bo miał aż trzy duże okna. Ściany okryte były bogatą makatą w najrozliczniejsze wzory upstrzoną, a posadzka całkiem wysłana tureckimi dywanami, tak, że gdy wszedłeś, to wcale twoich kroków słyszać nie było. W przeciwnej oknom ścianie stał kominek, wyłożony różowym chęcińskim marmurem; nad kominkiem tym wyrzeźbiono z zielonego marmuru arcymisternie wieniec trzymany przez dwóch białych aniołów, których Rzymianie Amorkami zwali, bo mieli sajdak strzał pełen na sobie. Wszystko było na sposób francuski zrobione, ile że francuzczyzna wraz z królową Maryą Ludwiką dziwnie po całej Rzeczypospolitej rozszerzać się poczęła. Pan Starosta jako dworak i bywalec, nietylko że sam się nosił po francusku, na co szlachta krzywo patrzyła, ale i przerabiając i reperując po ostatnim pożarze przed kilku laty, mieszkalną część zamku, wszędzie takie kominki pourządzał i miejscowym marmurem arcypięknie wyłożył. Okrom tego w onej panieńskiej komnatce, wszędzie było pełno różowego marmuru, więc odrzwia były różowe i u góry w takich wieńcach jak nad kominkiem zdobne, okna takż były upiększone.

A około sufitu pełno też było sztukateryi różnemi barwy bardzo misternie pomalowanych, słowem cała komnatka była arcypiękna. I meble też były podobne, rzeźbione, w czarnem dębowem drzewie, różowym weneckim adamaszkim kryte, także kotary nad łóżcznych moc tu była, bo białełłowy poczęły się w oną dobę kochać w takich fatalaszkach, i woń jakaś arcyprzyjemna w całej komnacie panowała.

Z komnatki tej najcudowniejszy rozłaczał się widok. Gdyś stanął przy oknie, do którego zaglądały gałęzie kilku lip, które tu posadzono w maleńkim zamkowym wirydarzu, miałeś przed oczyma stromą najprzód górę zamkową a dalej płaszczyznę taką daleką i taką nieskończoną!... Na płaszczyźnie onej ozłoconej promieniami wrześnieowego słońca, pełnej drzew i lasów rubinowych od jesieni, czerniały rozrzucone wioski jako stado kurcząt, tuląc się koło kościółków, niby koło kokoszy. Pośród tego wszystkiego wiała się lazurowa wstęga Nidy i ginęła w błękitach i mgłach dali... Gdyś dobrze się wpatrzył, widziałeś wieże Jędrzejowskiego opactwa i krakowską Maryacką i Karpaty sine... Jakoż był to taki cudowny widok tej ziemi krakowskiej, co jest perłą w dyademie Rzeczypospolitej, co ci się u nóg rozścielała z okna panińskiej komnatki, że mogłeś tu stać godzinami całemi i jeśliś miał duszę wzniosłą a poetycką, marzyć nieskończenie...

Owóż w tej komnatce tak pięknej struktury, w chwili gdy wchodził do niej miecznik, na samym środku stała panna Starościanka i obu rękami przyciskała mocno bijące serce. Ubrana była w jasną sukienkę i dywdykowy pasowy szal miała na ramionach, a była cała dziwnie zgrabna i dziwnie piękna. Śliczne złote włosy, takie, jakie to aniołowie mają po kościółkach na obrazach, zwijały się nad gładkiem i białym liczkem... Oczęta miała błękitne a ogniste i ławowe jako u gazelli. I w oczach tych malowała się ogromna, rzekłbyś nie niewieścia siła i łagodność prawie anielska. Cała była jak z marmuru utoczona, niby owe posągi pogańskie, co je można oglądać w Italskiej ziemi, nie wysoka, nie niska też a zgrabna nad wyraz.

Widno usłyszawszy kroki miecznika, porwała się z siedzenia, bo stała na środku jakby oczekując i upuściła tuż pod nogi, na dywan, niewielką książkę...

Miecznik, wszedłszy, pobiegł ku niej z rozweseloną twarzą i obłapiając ją serdecznie, rzekł:

— Jakże mi się miewasz, moja mościa panno?

— Ach! stryjiu — odezwie się na to starościanka słowiczym głosikiem — jak groch przy drodze się miewam...

— No, cóż to jest, czyś zaniemogła broń Boże?

— O! nie, ale smutna jestem.

— Ej to fraszka, coś poradzi się może na ten smutek paniński.

Kiwnęła starościanka głową z niedowierzaniem i podsuwając zydel, rzekła:

— Niechże stryjiu raczy usiąść, pogadamy.

Usiadł miecznik i spostrzegł oną książkę na ziemi, pochylił się, podniósł i roztworzywszy ją, czytał głośno:

— Antypasty małżeńskie, trzema uciesznemi historiami, o Baniulce królownie, o Galesie i Filidzie i o Przemysławie księciu Oświęcimskim, jako wdzięcznego smaku, cukrem prawdziwej miłości małżeńskiej zaprawione, przez Hieronima Morsztyna z Raciborska — Kraków 1650 r.

— Cóż to jest? — spytał Miecznik.

— O! to bardzo ciekawa historia, stryjiu; pan... Zyg... to jest... pan Łoś mi ją pożyczył.

To rzekłszy, panna zaczerwieniła się jak alkiermas i spuściła oczęta, a miecznik jakby nigdy nic, mówił dalej:

— Jak to zaraz znać, że te Morsztyny to są mieszczkańskie synki, piszą o takie książki. Ale to dziwne, że ci ten imię pan Łoś książek pożycza, może to jeszcze jaka heretycka, bo i Morsztynowie lubią się w one nowinki bawić...

— Pan Łoś nie daje mi heretyckich książek — odrzekła panna prędko.

Spojrzał na nią miecznik i rzekł:

— Pięknie to jest, że się zabawiasz księgami, ale że Łoś się tem bawi, to mi dziwne.

— A to czemu stryjiu? — i spojrzała dyamentami swojemi prosto w oczy miecznika.

— Boć teraz jest czas wojny, a kiedy Mars panuje, to Muzy milczą, uczyli nas jeszcze w infimie, a

osobliwie Łosia się to powinno tyczyć, ile że wojna mu wszystko może dać...

Panna nic nie odrzekła, znów się zaczerwieniła i kraszając cudownym uśmiechem twarzyczkę, spytała:

— Strycio odebrał moje pisanie?

— A, odebrałem, alem się dobrze napocił, nimem je przeczytał; uczona jesteś moja mościa panno, a pisać nie umiesz.

— Jakże to? — i ciekawie spojrzała panna.

— A tak to jest, że waśka pisać nie umiesz i baśta, tłómaczyć się ani też dyskurować o tem z tobą nie będę, bo ty tego wcale nie rozumiesz.

Umilkła panna i spuściwszy oczęta, poczęła się bawić frendzlami swego dywdykowego szalu; po chwili jednak podniosła głowę i rzekła:

— Strycio dziś jest na mnie srogi.

— Ja! — porwał się miecznik i pobiegł do dzieweczki — a moja dziecino, Bóg mi świadkiem, że nie mam złości do ciebie, owszem zawsze cię kocham serdecznie, jeno mam wielki żal w sercu do twojego ojca i możem dlatego tak zgorzkniał.

— Do mego ojca?

— A tak... oczywiście... bo widzisz, chce cię zająć z tym warchołem Straszem, teraz zaraz, jak król Jegomość będzie na zamku.

Na te słowa dziewczeczka zbladła jak ściana a oczy jej zapaliły się ogniem wielkim i załamując ręczęta, jak nie jęknęła:

— A! mój Boże!

Przyskoczył do niej miecznik i całując rzekł:

— A no, nie desperuj jeszcze, wszystko się da zrobić, jeno, żeby z tym Łosiem był jaki koniec.

— Koniec? mój Boże, jaki koniec stryjciu?

— A no taki... ale ja ci to dokumentnie wyeksplikuję, ile że trzeba coś postanowić, bo ty mi się z kretešem zagryziesz. Owo widzisz, ja Łosia lubię, bo to dobry chłop, choć goły jak bizun, ale zawsze dobra krew. Ci Łosiowie to stare karmazyny i po kronikach szeroko o nich piszą. Więc to jest dobrze; i że biedactwo, to mniejsza, boć ty będziesz miała do

syć swego a i po mnie też doś dostaniesz, ale cóż? kiedy on heretyk. I już ja się na to nie zgadzam i oponuję, żebyś ty za heretyka szła, to być nie może.

Starościanka nic nie mówiła, jeno bladła coraz bardziej i wiedła, a miecznik odpocząwszy, tak dalej rzecz swą prowadził.

— Żeby to jeszcze był Luter albo zasie Kalwin, no, to mniejsza, ale Aryanin! a toć to jest najpa-skudniejsza pod słońcem herezya. Owóż ja sobie tak myślę: niech Łoś wyrzeknie się swych heretyckich błędów, niech przystanie do naszej wiary... no, to zrobimy, że będzie twym mężem, ale inaczej nie.

— Ale jakże to uczynić, mój stryjcju? — jęknęła dziewczeczka.

— A no, ja jeszcze nie wiem; pogadam z nim o tem, pisałem, by zjechał do Czarnowa dziś wieczorem, ja mu to przedstawię.

Chciał coś jeszcze mówić miecznik, gdy nagle rozwarły się drzwi i wbiegł starosta, wołając:

— O! szukam cię, panie bracie, po całym zamku, a ty tu siedzisz z pannami, chodźże, ważne są nowiny.

Podniósł się miecznik, ucałował starościankę, szepcząc jej do ucha:

— Jeno nie martw się, już ja to zrobię, i poszedł za bratem.

— Ważne są nowiny — mówił starosta, prowadząc miecznika — przybył kursor od króla jegomości z Wolborza.

— Jak to z Wolborza?

— A no tak, bo tam teraz król jest.

— Nie w Łowiczu?

— Eh! — machnął ręką starosta — to ty widzę dużo sobie ważysz Wielkopolskie pospolite ruszenie.

— Juźcić coś ono znaczy... a Warszawa?

— Szwed już pod Warszawą podobno, ale pewności jeszcze nie ma. Pan Kasztelan Kijowski poszedłszy na podjazd, pod Piątkiem spotkał się ze Szwedami i w Innowłodzu i zniósł ich z kretesem.

— Niechże będzie Imię Pańskie pochwalone — zawołał miecznik, podnosząc ręce z wielkiej radości — ano, jest już początek, damy radę temu heretykowi.

— Pięset Szwedów padło w polu — ciągnął dalej starosta — ale to nie radość, bo nowego wroga mamy w zanadrzu.

— Jakiego wroga?

— Chodź, powie ci pan Gagatnicki, rzecz jest ważna i ciebie się dużo tyczy.

— Ciekawym srodze.

Tak mówiąc, weszli do wielkiej sali zamkowej, gdzie zastawiono stoły do obiadu i moc szlachty tam była. Szlachta kręciła się, gwarzyła, porozdzielana na kupki, a w każdej kupce stał jakiś orator i perorował a reszta rozdziawwszy gęby słuchała. Największa jednak kupa była koło Imię Pana Gagatnickiego, Wojskiego Krakowskiego, który siedząc na ławie pod piecem, rozповідаł coś szeroko. Pan Wojski znany nam już jest, bośmy go widzieli w klecieckiej winiarni, jako rozповідаł szlachcie o pieczeniu gęsi, żeby zaś była upieczona a żywa. Ubrany był w karmazynowy żupan i przy karabeli, a cały był mocno spocony, ile że w sali acz ogromnej był ścisk i gorąco wielkie.

Dostał się starosta do Wojskiego i rzekł:

— Otoć jest mój brat.

— A i witam waszmość pana — porwał się Wojski i uściskał miecznika.

— Mam też tu dla waszmości nowiny, ale kwaśne — dodał, śladając na ławie zasapany.

— Gadajże mu panie Wojski, wszystko co wiesz, — rzekł starosta i odszedł.

Przysiadł się miecznik do Wojskiego, a ten w taki sens rozpoczął.

— Waszmość podobno dobrze jesteś z tym Łosiem z Chełmiec?

— No tak.

— A toć żmije sobie wychłowiście, wiesz co on tam robi?

— Nic nie wiem.

— Ho, ho! straszne rzeczy... ja ci to powiem.

— Ale mówże waść przecie, cóż to jest takiego?

— Oto przyjechał tam do niego wczoraj, czy kiedy, jakiś Pracki, ile mi się widzi, towarzysz z dywizyi pana hetmana polnego, Aryanin. I dzisiaj jeżdżą po swoich Lutrach i Kalwinach i innych też heretykach i słyszę konfederacyą chcą zawiązać, rzekomo rebelią.

— Jakże to?

— A tak, rebelią, bo chcą do Szweda przystać. Posłano do Kielc po rzemieślników, by zamek wyporządzili, a do Pińczowa po wino.

— Ale to być nie może! — rzeknie mlecznik.

— A ja waszmości mówię, że tak jest, bom na własne oczy widział, jak z Kielc dwie fury rozmaitych kowali, stolarzy, cieśli, mularzy jechało do Chełmiec; mój podstarości też słyszał o tem od ludzi i był dziś w Oblegorze u Bobrownickiego i widział Łosia z onym Prackim, jak przyjechali.

— No, toć jeszcze nie racya, że byli w Oblegorze, sąsiedzkie odwiedziny, ile że Bobrownicki jest Kalwin, i ja zawsze mówię, że to być nie może; primo dlatego, że Łoś jest goły i grosza u niego nie znajdziesz w kalecie, secundo, że wiem, jak on myśli i że jest dobry szlachcic, choć heretyk.

— Hm, hm! — mruknął Wojski — i mnie się też to dziwnem wydaje, ale powiadam waszmości, że spotkał jadąc tu dwie fury tych rzemieślników i kazałem ślać i pytałem się, gdzie jadą.

— A oni co waści odrzekli?

— Że jadą do Chełmiec on zamek reperować.

— To dziwna i cała dla mnie niezrozumiała rzecz — odrzekł pan Łukasz i srodze zafrasowany zamyślił się głęboko.

Nadszedł też starosta i pyta:

— Cóż bracie z tym Łosiem?

— A czy ja wiem? zobaczmy!

— Mnie się widzi — rzeknie starosta — że tak to jest, i posłać po niego ludzi, zawiązać i wraz z tym

Prackim w loszku tu na zamku osadzić, będzie rzecz najlepsza.

Porwał się miecznik.

— Czyś waśc oszalał? cóż to, Łoś nie szlachcie, chłop, żyd, albo Niemiec? nie wiesz waśc, że to głową pachnie więzić i lachcica nieprzekonanego? Zie-
szta, ja zaraz jadę, dowiem się, co to jest.

— Przecież panie bracie przed obludem nie odje-
dziesz, zaraz dają.

— No, zostanę, jakżeby inaczej, ale wybij sobie
panie bracie z głowy to więzienie Łosla.

— Ja też teraz o tem nie myślę, trzeba obaczyć i
dowiedzieć się, co to jest, a później chwycimy się in-
nych środków.

Zasiedli wszyscy do stołu; dyskurs toczył się o
Szwedach, boć to rzecz była najgorętsza w tę porę,
mówiono i o Łosiu i o heretykach i radzono siaść
na koń, najechać na Chelmce i z ziemią zrównać to
heretyckie gniazdo. Rozumnijsi i pan starosta sam,
jako polityk, uspakajali tę gorączkę szlachecką.

U szarego końca siedział sobie jakiś szlachcic, któ-
rego nikt nie znał, bo przyjechał niewiadomo skąd,
wszedł na zamek i siadł do stołu jak drudzy. Os-
cinność była wielka i nie pytano się nikogo, co on
zacz, byle był szlachcic. A była to persona wcale
dziwna, krępy, kusy, nabity a jak tur barczysty, ubra-
ny był w kubrak króciutki, niegdyś biały i suto zło-
tem szamerowany z węgierska, ale dziś białość pra-
wie znikła, taki był brudny i zasmarowany, a ono
złoto zczerniało. Na nogach miał wielkie rajtarskie
buty, tłuszczem wysmarowane, aż śmierdziało, a u
pasa na rzemykach srogi miecz, w blaszanej poch-
wie. Żeb miał wygolony uczciwie, a głowę czarną jak
cygan, pokiereszowaną okrutnie, pociętą i połamaną.
Gdy mówił, to się strasznie krzywił i srodze oczy
wytrzeszczał. Sam zwał się być Korycińskim i mówił
szlachcie, która go się pytała, co on jest, że krewny
imie pana Stefana Korycińskiego, kanclerza koronnego.
Teraz siedział sobie cichutko przy stole i zmiatał zraz
pleczeni, nie nie mówiąc, jeno łyskając ślepiami.

Owóż kiedy tak rozmawiają o klęskach pospolitych i powiadają, że trzem wrogom rady nie dadzą, jeno, że trzeba się poddać, ktoś się odezwie:

— A to wezwać Tatarów na pomoc.

Na to inny:

— Szpetna to rzecz jest, pogan na chrześciany wzywać, ile że Szwed, acz paskudny heretyk, przecie zawsze Christianus.

Tedy porwie się on Koryciński z szarego końca i spinając się na palcach, bo był kusy i widać go nie było, rzecze wielkim głosem a takim grubym, jakby wół zaryczał:

— A też waść gadasz jak na mękach. A cóż to Tatary? już nieraz nam pomagali. Ja ich znam i jest to naród wcale grzeczny, a nawet lepszy od nas.

— Owa! przesoliłeś! — ktoś krzyknie.

— Nie przesoliłem, jeno szczerą prawdę mówię. Ja teraz wracam z Ukrainy, gdzieś chłopską rebelią dusił i widziałem Tatarów, to wiem. Ja tu waszmościom opowiem jeden cacus, jeno sobie przepluczę gardło tą lurą.

Zaśmiali się wszyscy a starosta się skrzywił, bo choć w rzeczy na szarym końcu lurę postawili, aleć tak głośno o tem mówić było niepolitycznie. Tymczasem Koryciński porwał gąsior, przechylił i cały, a było tam z pół garnca, duszkiem wypił. Potem go postawił na stole, obtarł gębę garścią i sapiąc rzeknie:

— Oto tak bytło. Stał w Oczakowie, obszernem mieście, z pułkiem królewskim Czarniecki, tamże stał Moniak, sułtan grzeczny i polityczny; trafiło się, że Polak z Tatarzynem o wóz siana powadzili się, potem do szabli porwawszy się, uciął Tatarzynowi ucho, który to Polak porwany na uczynku, do sułtana zaprowadzony został; odesłał go sułtan do Wilczkowskiego w niebytności Czarnieckiego, mającego komendę, aby go za to skarał; wysadzeni sędziowie, oskarża przed sądem Polaka Tatarzyn. Kazano kijami dać plagi Polakowi, co widząc Tatar, przyskoczył do Fola, porwawszy go zębami za ucho, ugryził mu ono

i począł za nim prosić, żeby mu dali pokój, bo ta rzecz niesłuszną, ażeby co ręka zgrzeszyła, niewinny zadek pokutował...

Szlachta w śmiech, aż się sala trzęsała, a Koryciński odpocząwszy, tak dalej perorował:

— Widzicie więc waszmość, że u Tatarów sprawiedliwszy sąd, głowę za głowę, członek za członek dać skazujących, dlatego u Tatarów rzadkie zwady, o pojedynkach ani zabójstwie nie słychać, bankietów nie sprawują, ani zbytków nie czynią, złodziei nie masz, a u nas dla okazania ludzkości pijatyka, popiwszy się zwady, potem czuby, a zatem do siekaniny przychodzi.

Skończywszy, siadł sobie i dalej repetował zrazy. Wtem zbliżył się do niego pan Stefan Stapkowski, towarzysz z chorągwi Myszkowskich, który tu czekał na przybycie swoich, i chwytając go oburącz za głowę, krzyknie:

— Pokaż, czy masz oba uszy, bo mi się widzi, że to tobie Tatarzyn je ugryzł.

Jak nie huknie szlachta w śmiech, a ten i ów aż się za boki bierze, sam starosta się śmieje. Ale Koryciński porwał się na nogi, jakby go kto sparzył, zsiniał cały jak żelazo, oczy mu wylazły na wierzch, a wargi się tak trzęsły, jako w febrze. Pchnął ławę, wypadł na środek izby, wyciągnął on miecz z pochwy i trzęsąc się cały, wołał strasznym głosem do Stapkowskiego:

— Weź szablę, bo cię posiekam!

Zrobił się huczek niemały, kto żył porwał się od stołu i skoczył po szablę, które wszystkie stały po kątach, a niektórzy nie widząc strasznej miny Korycińskiego, jeno słysząc jego głos, wołali:

— A daj mu tam Stapkowski po tebinkach, temu smykowi.

— Temu obieżyświatowi! — woła inny.

— Stapkowski, hajże na niego, a dobrze, zaczął ode łba.

Ale Stapkowski leniwie się jakoś brał do szabli. Zrobił on tę krotoczwilę z Korycińskim, bo był przy

fantazyi, ile że pił od samego rana. Spostrzegłszy jednak straszna minę Korycińskiego, wyrzeźwiał nagle, jakby go kto zimną wodą oblał. Był to sławny rebacz i niejednego już obciął w pojedynku, a chłop był też wysoki, o połowę wyższy od Korycińskiego, a przecież pobił i stał jak trup, nie wiedząc co czynić.

— Weź szablę, bo jak mi Bóg miły rozplątam cię na dwoje! — krzyczał Koryciński wciąż trzęsąc się w okrutnym gniewie, a mieczem onym dzwonił tak o kamienne płyty posadzki, że aż iskry się sypały.

— Nie boję się ja ciebie — mruknął Stapkowski i wziął szablę do ręki i stanęli naprzeciw siebie. Koryciński zielony i z pianą na ustach, a Stapkowski jak kreda biały.

Zwarli się potężnie, raz i drugi, ale nie wyszło i Zdrowaś Marya, gdy Stapkowski padł z jękiem na posadzkę z rozplataną głową aż po samą szyję.

Przyskoczył do niego ten i ów, a Koryciński obtarł sobie rękawem twarz, a potem poją od kubraka miecz i włożył go do pochwy i szedł do stołu. Kiedy to nie porwie się z za stołu imię pan Łukasz Braniczki z gołą szablą w rękę i woła:

— To ty pogański synu będziesz tu szlachtę rąbał, czekaj, dam ja ci.

I leciał tak na niego z gołą szablą starowina. Ale Koryciński uskoczył ku drzwiom i wdziałwszy czapkę na głowę, krzyczał:

— Trzymajcie tego dziada, bo i u mnie krew nie woda.

Kiedy to nie krzyknę szlachta:

— A ty hultaju, to ty będziesz zacnych ludzi obrażał, hajże na niego, posiekać, porąbać!

I kilkadziesiąt szabel błysło.

W tejże chwili zaskoczył drogę starosta i rozłożywszy ręce, nuż w prośby, by dali pokój, by mieli kompasę, by mu domu nie krwawili.

Skorzystał z tego Koryciński, bo uciawszy pięścią w głowę hajduka starościńskiego, który mu drogę od

drzwi zastępował, rozparł się w tych drzwiach, podniósł rękę i krzyknął:

— Niechże was piorun spali wszystkich razem!

To powiedziawszy, umknął. Dopadłszy dziedzińca zamkowego, siadł na podjezdka i pędem wyleciał z zamku. Kiedy już zjechał z góry, napadł jakiegoś chłopca i pyta:

— Hej chłopie, kędy tu droga do Chełmiec?

— A to tamtędy, mości panie, potem się weźmiesz na prawo koło krzyża i już jak strzelił.

— A daleko to jest?

Chłop podrapał się w głowę i rzekł:

— Ha, będzie ta ze dwie milki dobre.

Koryciński klusem ruszył do Chełmiec.

Tymczasem na zamku rejwach powoli się uspokajał. Ponieśli Stapkowskiego do osobnej komnaty i posłano zaraz do miasteczka po cyrulika żyda, by rannemu głowę zeszył. Szlachta też powoli poczęła wyjeżdżać, nie nie uradziwszy.

Pod wieczór zebrał się i miecznik zirytowany i zły okrutnie. Na schodach napadła go Marysia:

— Jaśnie panie!

— A ty hultajko, czego znów chcesz? — krzyknie. Dziewczyna struchlała.

— No czego chcesz? Mów, bo cię różgami osiępkę, czego chcesz?

— Jaśnie panie — szepnęła dziewczyna na pół z płaczem — panienska tę księgę daje...

Ochłonął miecznik.

— Al... i cóż?

— I prosi oddać panu Zygmuntowi.

— Ano także mi mów, czego beczysz? Baby to zaraz beczeć muszą.

I siadł i pojechał, i czekał cały wieczór na Łosia i doczekać się nie mógł, ani też to było możliwem, jak to zaraz zobaczymy.

VI.

Manifest.

Koryciński, jak się rzekło, puścił się do Chełmiec. Dobrego miał szkapę pod sobą, podobno tatarskiego

bachmata i był też nakształt mody tatarskiej ubrany, bo i łączek na nim goły, skórą tylko powleczone, ale coś pomoże koń, jeśli jeździec nie zna drogi. Zabłądził więc w lasach, uwiązał w jakichś moczarach i dopiero wieczorem samym, napytawszy się wprzód kogo spotkał o drogę, nadrapawszy się po onych lasach, na łbie nautykawszy, wyjechał wprost na Chełmce.

Wyjechawszy z lasu stanął i spinając się na koniu spojrzął przed siebie. Ale cicho było wokoło, tylko zdala wiejska dziewczucha nuciła sobie jakąś śpiewkę. Ponad łąkami kłębiły się białe mgły jesienne, porykały krowy i w kościółku w Chełmcach dzwoniło na Anioł Pański. Wieczór to był cichy a tęskliwy nad wyraz i piękny jak rzadko.

Koryciński opatrzył pistolety w olstrach i mleczyć obejrzał i puścił się do wsi. Kiedy wyjechał na gościniec patrzy, aż jedzie z boku dwóch szlachciców, stępa, zbrojno, bo dzwonią szablami. Wstrzymał Koryciński konia i stoi i patrzy, a oni wciąż jadą. Gdy nadjechali blisko, Koryciński huknie:

— Mości panowie, czy to Chełmce?

— A tak — odrzekł z nich jeden i przybliżywszy się patrzy na Korycińskiego, a potem rzecze:

— Czy mnie oczy mylą, ale widzi mi się, że to Koryciński?

— Pracki!

— On sam, a niechże cię, coś ty tu robisz?

— A za tobą jadę.

— Jakże to za mną, czego chcesz?

— Poczekajno, powoli, czy ty z Łosłem jedziesz, bo do niego mam pilną materję.

— Ja jestem Łoś do usług waszmości — rzekł pan Zygmunt podjeżdżając bliżej.

— Słuchajcież mnie waszmość, bo tu czasu nie ma a grozi wam niebezpieczeństwo wielkie. Wracam prosto z zamku Chęcińskiego, gdzie wielki zjazd szlachty, i przyjechał tam jakiś Gagatnicki i doniósł, że waszmość chcecie heretycką konfederacyę zawiązać.

— Jakże to, doniósł, a skądże on wie?

— Czy ja tam wiem, dość że tak jest i szlachta srodze się oburzyła i postanowiono na koni siaść, najeżdżać na was, a Łosia do loszku wtrącić...

Z wielkiego zdumienia Łoś i Pracki oniemieli. Koryciński, wciąż niespokojnie się oglądając, pytał dalej:

— Macież ludzi dosyć, a i zamek czy jest obronny, bo mi się widzi, że oni tu nocą zajądą a kupa ich tam jest.

— A toś wesół przywiózł nowinę, bodajże cię!
— rzekł Pracki zamyślony — co tu gadać o obronie, zamek rudera, a do broni ani jednego pacholka nie ma, trzeba duszę salwować, uciekajmy!

— Ha, to uciekajmy — rzeknie na to Koryciński — bo ja was nie porzucę, tam są na mnie okrutnie zjadli.

— Za cóż to?

— Bom porąbał jakiegoś Stapkowskiego z krete-
sem...

— Ty bratku zawsze burdy robisz — rzekł poważnie Pracki, a obracając się do Łosia, rzecze:

— Cóż Łosiu, gdzie tu się schronić?

Ale Łoś siedział jak niemy na koniu strasznie zafasowany.

— Czy ja wiem, panie Aleksandrze, rób jak chcesz, ja już głowę tracę i serce mi pęka od nowiny, co ten szlachcic ja przyniósł.

— No, no, Łosiu, okaż że cię przyrodzenie człkiem i mężem utworzyło, pojedziemy do Oblegora, jeno nie gościńcem, ale manowcami.

— Ha, to jedźmy.

I ruszyli samotrzeć. Ale nie ujechali i stajania, a noc się też już robiła, gdy Pracki krzyknął:

— Bodajże cię, zapomniałem!

— Czego? — spytali oba.

Potem Pracki podjechał do Łosia i szepnął mu do ucha:

— A skarby? Mogą zabrać, rozkraść i co będzie?

— Prawda, prawda, ale co czynić?

— Trzeba je ukryć, ja pojedę sam do zamku i powiem Marcinowi, by gdzie schował.

— Ha, jedź waszmość.

Tedy Pracki rzekł głośno:

— Zatrzymajcież się waszmość tu na skraju lasu i czekajcie na mnie, ja zaraz wrócę.

I odjechał. Jakoż niedługo wrócił i rzekł:

— Wszystko dobrze.

I pojechali. Tak więc Łoś pisania pana Łukasza Branickiego tego dnia odebrać nie mógł, z czego cale smutne następstwa się wywiązały i tragiczny koniec nastąpił.

Pan Bobrownicki był to sobie już staruszek biały jak gołąb, ale krzepki. Zastali go nasi panowie w wielkiej izbie dworu, drzemiącego nad lampką miodu, a подроstek wnuk czytał mu coś z kroniki. Zdziwił się wielce swoim gościom, ile że już rano u niego byli i pytał opierając się na lasce, czego by chcieli, co się stało.

Tu Pracki opowiedział mu wszystko i ukoloryzował rzecz pięknie, że są jako wygnańcy we własnym kraju i dachu na noc spokojnego nie mają, kiedy nawet zwierz dziki i bestye drapieżne drzemią sobie cicho i bezpiecznie.

Tedy staruszek zafrasował się srodze i zamyślił, a potem rzekł:

— Tak to jest, tak, ale tu niema co myśleć, dziś tobie, a za godzinę mnie, ja to znam, jeśli już szlachta siądzie na koni i zajedzie Chełmce, to potem będzie nas wszystkich „dissidentes” zajeżdżać; owo trzeba się bronić, ano, coś się poradzi...

To mówiąc, krzyczał, by mu podstarościego wołali.

— Mam ja trochę ludzi, dobrze mospanie, żeście waszmość tu zajechali i ostrzegli, bo te papisty byliby mnie jak lisa w norze żywcem upiekli, ano jest trochę ludzi i broni też nie brak, a i dwór ma częstokół, jak forteca. Nie wezmą mnie tak łatwo. Napijciek się miodu, bo noc zimna, to się rozgrzejecie.

I kręcił się starowina żwawo po izbie i wyciągał

z kątów, ze ścian, starą broń i podawał ją Prackiemu.

— Opatrz waszmość, opatrz — mówił — jest tego tu dosyć.

Przyszła też i pani Bobrownicka, w czepcu i robronie, siwa także staruszka i dowiedziawszy się o co idzie, dalejże w lamenty i płacze.

— No, no, nie płacz asindzka, nie ma nic strasznego, kiedy się wie o niebezpieczeństwie, ludzi jest dosyć, będzie ich z pacholkiem i hajdukiem dziesięciu, a nas też jest... czterech.

A obaczywszy Korycińskiego, pyta:

— A, waszmość, kogóż mam honpr witać?

Pracki wystąpił i rzekł:

— Koryciński, koligat imć pana Kanclerza koronnego...

— A, imć pana Stefana, znam go znam mosanie, kiedy jeszcze mleko miał pod nosem, ano, to dobrze, waść widzę jest rycerski człowiek, dopomożesz nam.

— To się rozumie mościwy panie — mruknął Koryciński.

— Nazywają mnie podstolim — wtrącił Bobrownicki.

— Tak, tak, panie podstoli, nie damy im się w kaszy zjeść.

Nadszedł podstarość.

— Hej! — krzyknie Bobrownicki — ludzi mi zwołać, rozdać broń, rusznice nabić grankulkami i siekawkami, rozstawić czaty, bramę zamknąć, psy pospuszczać z łańcuchów, a żywo mosanie!

Gdy to mówił, zgarbiony on staruszek wyprostował się i urosł jakoś. Przypasawszy starą furdygę do boku, wcale rycersko wyglądał i pięknie.

— Pacholka na koń wsadzić, niech jedzie na gościniec do Chełmiec i pilnuje. Jak zobaczy jeźdźnych, niech pędem daje znać. Rozumiesz waść? tylko pędko a sprawnie.

— Toć to ja rozumiem, Jaśnie panie, jeno tego sobie wykalkulować nie mogę, gwoli to czemu.

— Ano trzeba, żebyś waść wiedział o co idzie,

zajazd ma być na nas, więc trzeba się bronić, a waść wiesz, że to nie przelewki.

— Teraz to rozumiem, hej, hej! nie damy się!
— zawołał podstarości i wyszedł.

— No — rzekł podstoli, obracając się do żony — nagotuj nam aścka krupniku i daj co przekąsić a nie bój się niczego. Mospanie Pracki, wyjdź na dziedziniec i opatrz wszystko jak należy, ja już stary i nogi mi nie służą. A wracaj prędko, bo się musim naradzić.

Pracki wyszedł i obaczył, że dwór wcale jest obronny. Czestokół był gęsty i mocny jeszcze a obrośnięty też obficie mnóstwem krzewin i cierni. Brama jedna tylko była, a obejście nie wielkie, więc ludzi od biedy wystarczy. Ludzie też byli ochotni i zbroili się z miną gęstą. Wyjrzał Pracki, czy nie zobaczy z za lasu, od strony Chełmiec, łuny, ale niebo było czyste, wygwiażdżone i cisza wielka wokół panowała, tylko po wsi psy od czasu do czasu ujadły.

Kiedy wrócił Pracki do izby, zastał Łosia siedzącego na zydlu, tak jak siadł od samego przyjazdu, z głową ukrytą w obu rękach i nieruchomego zupełnie. Podstoli siedział w krześle całkiem uzbrojony i pił miód z Korycińskim, który mu się bardzo akomodował. Wnuczę Bobrownickiego oglądało chciwie szable i próbowało kling.

— Jakże tam, spełniono mój nakaz? — pytał starsuszek Prackiego.

— Wszystko dobrze, panie podstoli, dwór jest obronny i diabła zjedzą, jeśli nas wezmą bitwą.

— Ano, to napij się miodu — i obrocił się do Korycińskiego, prowadząc z nim dalej dyskurs.

Tedy Pracki przystąpił do Łosia i trącił go:

— Ty śpisz Brutusie — szepnął — a tam losy Rzeczypospolitej się ważą, ejże Łosiu, tyś mi okrutnie skapsoniał.

Podniósł głowę Łoś i łyzy mu świeciły się w oczach.

— Oj, nie na spanie mnie idźcie teraz — rzekł wielce żałośliwie — już też i po mojem życiu, bodajem się był nie narodził!

— Jakże to, ty płaczesz, Łosiu! — i przysiadł się do niego i ciągnął dalej — a wiesz, że mi to strasznie jest dziwne, jeszcze też, jakem żyw, nie widziałem męża płaczącego.

— Krwawe by tu łzy trzeba mieć, żeby to wszystko wypłakać, co się w sercu dzieje — odrzekł Łoś — prababczyna kłatwa się sprawdza, wszystko mi teraz już na nic.

— Owszem źle waszmość patrzysz, teraz wszystko przed tobą jasno, bo wiesz, czego się trzymać. Zerwali z tobą, ano więc za broń i szablą im zadzwonić po karku a dziewczeczkę weź. Ja ci mówię, Łosiu, że starościanka będzie twoją, jeno mi wierz i nie frasuj się!

— Oby cię Bóg natchnął — odrzekł Łoś, obcieraając łzy, bo ja wpadam w desperacyę.

Miał coś na to rzec Pracki, gdy podstoli się odezwie:

— Mości panowie, trzeba się naradzić. Imć pan Koryciński powiada mi, że król Jegomość Szwedzki tu się zbliża, że ten papista Kazimierz chce mu się w naszych stronach oponować, że zamek checiński zbroją, cóż my tedy mamy czynić?

I popił staruszek miodu, a obtarłszy wąsy, mówił:

— Oto co żywiej się skonfederować i sięść na koni viritim, bo nas tu, nim Szwed przyjdzie, wyrzezą jak baranów. Jeśli nas dziś nie zajadą, to zajadą jutro, lub pojutrze, ja znam Branickiego, polityk to i szczerawy lis, a rzecz też prosta jest, że jeśli chcesz obcego wroga pokonać, załatw się naprzód z domowym. Tedy ja tak konkluduję, mospanie Łoś, jesteś tam uczony i na księgach się znasz, siadaj oto i pisz manifest konfederacyi, przy wolności wiary, prawach szlacheckich i przy królu Jegomości Gustawie Karolu, że dopóty miecza nie złożym, dopóki nie będziemy tacy cives w tej Rzeczypospolitej jak wszyscy, a to pod juramentem, pod utratą czci i gardła sobie przysięgamy. Tak

to trzeba napisać, a jutro szlachtę zwołamy, podpiszą się i pojutrze na koni! W grodzie też trzeba zaobla-
tować ten manifest, jeno nie wiem, kto pojedzie z tem
do Chęcin.

— To się pomyśli, ktoś się przecie znajdzie, a pro-
pozycja pana Podstolego widzi mi się, jest wcale do-
bra — rzekł Pracki.

— Tedy pisz mospanie Łoś, marszałkiem konfede-
racji zostaniesz ty sam, jako tu osiadły, a konsyliar-
zem będzie Imć pan Pracki i kogo tam jeszcze inne-
go obierzemy. Słyszałem też dziś rano od was, że
macie tam jakieś pieniądze, trzeba tedy kogo sprytnego
zaraz jutro wysłać, by zaciągi robił.

— To już imć pan Koryciński robi, on to umie
— rzekł Pracki — pieniądze są i nie braknie ich pręd-
ko. Tedy najważniejsza rzecz manifest, siadaj wasz-
mość, mospanie Łosiu.

Łoś podniósł głowę, jakby się obudził dopiero,
powstał i zbliżywszy się do Prackiego, szepnął mu
do ucha:

— A czego to chcecie?

— Otrząśnij-że się do stu djabłów — odrzekł mu
na to gniewnie Pracki — i słuchaj, co drudzy mó-
wią.

— Ale o cóż to chodzi?

— O to chodzi, żebyś zaraz siadł i pisał manifest
konfederacki, rozumiesz?

— A jakże to, to ja mam pisać?

— A ty, chodźże do drugiej izby, to we dwóch
jakoś go wysmażymy.

I poszli, a w pierwszej izbie staruszek popijał
miód z Korycińskim i zdrzemnął się w końcu. Ko-
ryciński tedy wypróżniał dalej gąsiorek i delektował
się onym miodem i przezierał go pod światło i dzi-
wował się wielce jego złotemu kolorowi. Cisza też
wielka zapanowała we dworze, na dziedzińcu tylko
słychać było miarowy chód straży, dalekie ujadanie
psów we wsi i hukanie sowy od czasu do czasu.

Świtać już poczęło i zorza czerwona i fioletowa
wypływała pięknie od wschodu, gdy Łoś i Pracki

weszli do pierwszej izby z wielką kartą papieru. Tu podstoli dalej drzemał w krześle a Koryciński leżąc na ławie chrapał w niebogłoso. Na kominie łuczywo już dogasało i ze dworu dochodził ruch budzącego się dnia.

Obudzono obu śpiących, a podstoli przetarł oczy i rzekł:

— Ano to już dzień, noc przeszła chwała Bogu szczęśliwie, to tem lepiej, bom ja sobie później pomyślał, że kto wie, czy te papisty nie uderzą zasie na Szewce, albo na Rykoszyn wprzód jak na nas, boć tam bliżej mają. Zaraz też trzeba rozesłać konnych, by się wywiedzieć mosanie, czy było gdzie jakie krwi rozlanie. A manifest jest?

— Jest panie podstoli dobrodzieju — odrzekł Łoś, który dziwnie jakiś rozogniony a blady stał z oną kartą na środku izby.

— No to przeczytaj waść, a obudźcież jespana Korycińskiego.

— Budzić ja go, ale spi jak drewno, jeno coś mruczy pod nosem — odrzekł Pracki — hej Koryciński, suśle, ośle, wstawaj, już dzień, zajazd jest, roz-bój!

Porwał się Koryciński na obie nogi, skrzywił okrutnie, i przecierając pięścią ślepie, huknął:

— Gdzie, co? dawaj mój miecz!

— Cicho bądź, tylko słuchaj, manifest się będzie czytać.

— Eee! takeś mnie zestraszyl, myślałem, że Brannicki nademną stoi z gołą szablą, ano czytajcie.

Tedy Łoś począł czytać. Z początku, gdy wystawiał dokumentnie wcale niecnotliwe położenie dissidentes w Rzeczypospolitej, to głos miał cichy i był sam jakiś przybity, ale gdy począł grozić i zasie odzywać się w imię swych praw szlacheckich i człowieczych, to wyrósł jakoś, rozpromieniał cały:

„Patrz jenio, miła ojczyzno — kończył — nie tylko na przednie, ale i na ostatnie koła twego wożu, bo nie minie dni czterdzieści i nie będzie tej Niniwy!”

Gdy skończył, obtarł pot z czoła i siadł, a podstoli zerwał się i obcierając rękawem oczy od łez zasze, boć oni tam wszyscy miłowali serdecznie tę Rzeczypospolitą, począł ścisnąć Łosia.

I popłakali się wszyscy, nawet Koryciński jeszcze zaspany i który wcale nie wiedział, o co idzie, począł tak głośno ryczeć, że aż pani Podstolina przysłała służebną dowiedzieć się, ktoby tak wrzeszczał.

— Teraz, kiedy manifest gotowy, trzeba prosić bracie szlachtę — rzekł podstoli.

Posłano po rękodajnego pani podstoliny, który biegle pisał i kazano mu gotować listy zapraszające i zaraz te listy przez konnych wysyłano.

Pracki też siadł na koń i pojechał z Korycińskim do Chełmiec dowiedzieć się, co się tam stało i opatrzyć w pieniądze tego ostatniego, na zaciągi...

Tedy konfederacya była gotowa. Łoś przechadzał się po dziedzińcu i patrząc w stronę Chęcin, szeptał:

— Teraz wielkie będzie krwi rozlanie i zamięszanie, a Bóg wie, jeżeli to nie ostatnia zguba nie tylko tej Rzeczypospolitej, która jest przedmurzem chrześcijaństwa, ale i tych wszystkich, którzy nas najechać chcieli...

A potem, podnosząc ręce do nieba, rzekł:

— Prababo moja, cóżem ci winien?

VII.

Chorągiew Myszkowskich.

Kiedy się to odbywało w Obłęgorze, w Czarnowie miecznik był bardzo markotny, że Łoś do niego na wezwanie nie przyjechał.

— Już to tam jest źle — mówił sobie — i pan wojski ma rację.

Jakoż utwierdził się w tem mniemaniu, gdy powrócił on chłop wysłany do Chełmiec a powrócił nic nie sprawiwszy, nie widziawszy nawet Łosia, który świtem z domu wyjechał samowtór z Prackim.

Chłop tedy opowiadał, jako wielki ruch jest na chełmieckim zamku, jak go naprawiają i zbroją, jak ludzie gadają, że pan ma konfederacyą zawiązać.

— Ha! obaczymy jeszcze... — mruknął miecznik i poszedł spać.

Nazajutrz kazał wynieść broń wszystką na dziedziniec, rozdał ludziom i tak piętnastu uzbrojonych pachołków posłał do Chęcin. Kazał też woły, świnie i barany rzezać a solić i zaraz wysyłać na zamek. Wszystko zboże, jakie miał, kazał mleć i mąkę też do Chęcin wozić. Wysłał też podstarościego, który był człek sprytny i bywalec, do Chełmiec, by zachwycił języka.

Tak zeszło do południa. O południu wrócił podstarości i zaraz poszedł do pana.

— No i cóż mi powiesz, mój Broniowski?

— Dużo i mało, jasnie panie, ale to, co wiem, wcale nie jest dobre.

— No cóż takiego, mów! jakże tam jest w Chełmcach?

— Ej! w Chełmcach nie ma nic, proszę jasnie pana. Dziś rano przyszedł ordynans, by wstrzymać wszystkie roboty, mularzy i cieśli odprawiono zaraz, zostali tylko kowale i płatnerze, którzy stare zbroje naprawiają, zwołano też krawców, którzy barwę szyją. Nakazano wino, jakie przyjdzie z Pińczowa, wieźć do Oblegora.

— Do Oblegora, do Bobrownickiego?

— A tak, bo tam teraz jest centrum heretyckiej konfederacji. Jakem stąd wyjechał, zaraz koło Bugaja napadłem na konnego z Oblegora, który miał jakieś pismo za czapkę. Gdzie jedziesz? pytam, ile że to mój kum, Maciek, dziecko mu na wiosnę trzymałem do chrztu, jasnie panie.

— Cóż dalej?

— Tedy pytam go, gdzie jedzie. Powiada, że do Szewc do imię pana Śląskiego. A wiesz z czem jedziesz? Nie wiem, powiada, to tylko wiem, że u nas całą noc dwór czuwał i bramy były zamknięte i ludzie uzbrojeni, bo zasie miał być najazd z Chęcin.

— Patrzajże! a oni skąd o tem wiedzą... ho! ho! rozumiem, to ten obieżyświat, jakże cię... a! Koryciński, rozumiem! cóż tedy?

— Tedy proszę jaśnie pana, ja go się pytam, ale zajazdu nie było? a nie było, ale pisali tam coś całą noc, bo jest tam pan z Chełmiec i jakichś dwóch srogich a nie tutejszych szlachciców. I zaraz rano porozsyłali nas z pismami, mnie do Szewc i do Bilczy, do pana Konarskiego, Kwiatka do Rykoszyna do imię pana Russockiego, innych gdzieindziej jako do pana Głuchowskiego do Chmielnika, na dziedzińcu woły biją i pieką, wino wydostają i toczą w butelki, bo kupa gości ma być dzisiaj w Oblęgorze i konfederacya! Tedy ja sobie myślę, a choćby też zajrzeć do Oblęgora, mogą mnie zcapić i może obwieszą a może i nie... Więc pojechałem...

— I byłeś?

— A byłem proszę jaśnie pana i wszystko prawda co mój kum powiedział. Ruch na dziedzińcu ogromny, a szlachta się już zjeżdża powoli. Sam pan podstoli w karmazynowym kontuszu chodzi po dziedzińcu i dogląda, jak zastawiają stoły i wita przyjeżdżających.

Wiadomość ta srodze zmartwiła miecznika, bo był szczerze do Łosia przywiązany, ile że go znał od dziecka i z ojcem jeszcze jego czasu wojny się przyjaźnili, acz Łoś był heretyk a pan Łukasz zawsze gorliwy katolik. Tedy zafrasowany wielce, odprawivszy podstarościego, począł chodzić po komnacie onej swojej wielkimi krokami, założywszy w tył ręce.

— A to kanalie — szeptał marszcząc brwi i okrutnie węsami ruszając — lepiej było pono tego smyka Łosia w łańcuskach przez miesiąc w loszku potrzymać, łacniejby się z heretyckich obrzydliwości wykurował i byłby mąż dla Zosi jak się patrzy, a teraz podobno wszystko już przepadło z kretesem. Ano, ciężka przyszła na dziewczeczkę godzina.

Kiedy sobie pan Łukasz tak chodzi a gada, okrutnie zirytowany, wpadła mu pod oko ona księga, którą mu wczoraj Marysia dla Łosia wręczyła. Więc wziął ją i począł oglądać, mówiąc:

— A co ja teraz z tem uczynię, boć przecie do

tego rebelizanta ani pisać ani też posłów śłać nie będzie. Skończyło się między nami.

Wtem wypada z onej księgi maleńki liścik i bęc o ziemię. Schylił się pan Łukasz srodze zdziwiony, podniósł i ogląda. Liścik to był haniebnie misterny, woniejący jak pudło olejkarza, a zapieczetowany Gryfem, herbem Brantckich. Patrzy, na wierzchu ręka Zosi.

Tedy stanął z tym listem na środku komnaty pan Łukasz i patrzył tak przed siebie, jakby skamieniał. Potem położył na stole i znowu chodzić począł:

— Złe jest — mówił — cale źle, kiedy amory już tak daleko zaszły, że panna śmie listy pisać do kawalera, a jeszcze Bóg wie co tam jest we środku...

To mówiąc, zbliżył się do stołu, obejrzał list jeszcze raz i rzucając go napowrót rzekł:

— Ano, nie otworzę!

Tedy huknął na hajduka, by mu kontusz dawał i by zaprzegano co żywo konie.

Ubrał się więc mlecznik a suto, w cygrynowy kontusz i żupan czarny altembasowy grubo tkany złotem. Buty zasie miał z tekinu czerwonego. Na głowę wdział kołpak aksamitny karmazynowy, cudownymi obłożony sobolami. U czapki chwiała się kita czapla w brylant antwerpski osadzona. Karabela świeciła od kamieni, a w ręku niósł obuszek. List od Zosi wsadził sobie w zanadrze, za kontusz.

Na zamku chełmskim moc była szlachty, daleko więcej niż wczoraj, i już szeptano o heretyckiej konfederacyi w Obłęgorze. Pan starosta w ogromnej na łbie peruce i kusym jakimś aksamitnym fraczku, w trzewikach i z rożenką u boku, uwijał się między bracią szlachtą i częstował a prosił.

Zobaczywszy brata, skoczył zaraz do niego i ucałowawszy, dziękował za przysłane na zamek oręża i zbroje, a zaraz też załamawszy ręce, rzekł:

— Patrz jeno, panie bracie, co ten infamis Łoś wyprawia, rokosz, rebella i to wtedy, kiedy wróg jest przed bramą. O, żebym tak miał pod ręką choć ze

sto koni, zarazbym go wziął i do karceresu wsadził, na chleb i wodę a może i szyi się tknął.

— Ano, mało to tu szlachty, sięść na koń i basta, Oblegór nie daleko — odrzekł poważnie na to miecznik.

Starosta tylko machnął ręką, a potem rzekł:

— Ha! może się to i uczyni. Lada chwila spodziewam się chorągwi Myszkowskich i Strasza, wyśle ich tam.

— Jakże to, Strasz ma dziś przyjechać?

— A tak, przysłał umyślnego, są już niedaleko.

Jeszcze się bardziej zafrasował tą nowiną pan Łukasz i już nic nie mówiąc, poszedł wprost do komnat panny starościanki.

Zastał ją przy oknie patrzącą na one dalekie pola i lasy, bladą jak kreda z bruzdami od płaczu na policzkach. Tedy przywitawszy się z nią, zaraz pan Łukasz wyjął on pachnący list z za kontusza i rzekł:

— Weź sobie waćpanna to nazad, bo wszystko skończone.

Dzieweczka oblała się krwią na widok swego listu, a potem zbladła, i zapłakawszy serdecznie, rzekła:

— I to ty stryjciu tak mówisz, więc wszyscy przeciwko mnie.

Porwał się miecznik i oblapiwszy dziewczkę, ucałował, a potem rzekł:

— Ano, trzeba to Bogu oddać, inaczej być nie może. Łoś stał się teraz srogim wrogiem naszym, kiedy z nieprzyjacielem jedno czyni, a takiemu Braniczka ręki dać nie może. Wyperswaduj to sobie, wypłacz się, ale bądź mi żelazną, bo i ja będę żelaznym. Wiedźże tedy, że z Łosiem skończyło się wszystko i na zawsze.

Ale dziewczeczka zanosząc się od płaczu, padła na krzesło i szeptała:

— O mój Boże, mój Boże!...

Już nic nie rzekł miecznik, jeno chodził po komnacie i w łysinę się drapał, a dziewczeczka wciąż płakała.

— Pycha to jest wielka — odezwie się w końcu miecznik — i duma, porywać się z mieczem na Rzeczpospolitą, a też i zbrodnia, kiedyśmy w takich tarapatach ciężkich, własnej matki wnętrzości szarpać. Ano, Łoś już dla ciebie przepadł, i powiadam ci, żebym go teraz w moje ręce dostał, gardłoby dać musiał i sambym o to instygował, jak mnie widzisz.

Dzieweczka wciąż płakała.

— Owóż rzecz to pewna, że za niego nie pójdziesz.

Na to porwie się panna i ocierając oczy, rzecze:

— Jeszcze nie pewna.

Stał miecznik i srogo patrzy na dziewczynę i rzecze:

— Jakże to, nie pewna? Ejże, tylko bez oporu, bo powiadam ci dziewczyno, że pierwszej mi tu, na dłoni, włosy wyrosną nim ty będziesz żoną Łosia.

— Ale też i Strasza nie będę żoną, stryjcium — rzekła znów łzami się zalewając.

— A to co innego. Opresyi żadnej nad tobą czynić nie dam, ani też tego czynić chcę, byś szła za Strasza, na to masz moją zgodę, ale z Łosiem wara!

Dziewczyna już nic nie odrzekła, tylko obtarła łzy i poszła do okna. Pogadali jeszcze chwilę i miecznik wyszedł.

Kiedy starościanka została sama, wyprostowała się jak struna i rzekła:

— Jakem żywa, on musi być moim.

Gdy to mówiła, oczy jej się zaświeciły jak dwa karbunkuły, zęby ścięły i była piękną jak owa Judyt, o której Pismo Boże mówi.

— Co mnie ich Rzeczpospolita, ich króle obcho-dzą — mówiła dalej — ja się tem brzydę a idzie mi też o moje szczęście własne i o zbawienie tej duszy; Bóg mi to wynagrodzi...

I siadła a raczej padła na wielki zydeł niebieskim adamaszkiem kryty i zakrywszy oczy obiema rączkami, przez które ciekły łzy jak sznur urykańskich pereł,

w milczeniu i zadumie głębokiej a bolesnej się pogrążyła.

Słońce tymczasem przekradając się przez okno, masami światła oblało ją całą i w tym blasku a nieruchomem milczeniu wyglądała jak Święta bolesna jaka.

Kiedy tak siedzi starościanka i dumia żałośnie, otworzyły się drzwi i wbiegła przez nie Marysia, którą już znamy, służebna.

— Paniunciu droga, serdeczna — zawołała — na co się tu w zamku zanosi, aż straszno.

Porwała się starościanka i obcierając żywo oczy łzami zasze, spytała:

— Cóż znów za nowa turbacya? powiedzże mi.

— Oto powiedział mi kozak pana starosty, ten z Ukrainy Semen, panienka wie, co to ma do mnie inklinacyą, ale ja go wcale nie chcę, choćbym miała zostać nińszką.

— Wiem, wiem, ale mówże Marysiu, co się stało?

— O! straszne rzeczy, tedy powiedział mi Semen, ale pod sekretem, że pan starosta wezwał Jonasza żyda z miasteczka i każe mu jechać do Oblęgóra, gdzie pan Łoś jakas tam konfederacyę zawiązał.

— Cóż tedy?

— To panniusia o tem wie?

— A wiem, ale coż ten Jonasz?

— A! Jonasz... coż Jonasz? ma jechać zaraz i wywiedzieć się, jaka tam jest siła tych konfederatów, bo jak pan Strasz z okrutnem wojskiem stanie tu na zamku, to pan starosta go wyśle na tych konfederatów, nocą.

Żałowała rączki starościanka i z wyrazem niezwykłej boleści wpatrzyła się przed siebie szklannemi oczyma, a Marysia biadała dalej:

— Mówił Semen, że pan starosta strasznie zawzięty na pana Zygmunta i jak go uchwyci, to katowi odda. O! nieszczęście, nieszczęście, moja panniusiu.

Ale starościanka już się otrząsa z przerażenia i podbiegła ku Marysi i rzekła poważnie:

— Marysiu, czy ty mnie kochasz?

— A mój Boże, panniusia mnie o to pyta! — i przypadła dziewczyna do kolan starościanki i po rękach ją poczęła całować — każ mi panienko krwi z pod serca utoczyć a utoczę.

— To dobrze, czekajże tu.

To mówiąc, pobiegła do stołu, gdzie leżało pióro i inkaust stał i chwyciwszy kartę papieru, napisała ten liścik Marysi.

— Idźże mi z tem Maryslu i czekaj na Jonasza w korytarzu, a jak wyjdzie, to mu oddaj to pismo i proś go ode mnie bardzo, żeby to oddał panu Zygmuntowi, tylko ostrożnie, moja Marysiu, bo to jest okazyja taka, że gdyby się wydała, to i tobie i mnie może przyszkodzi głową nadłożyć.

— O! już ja to zrobię tak, że nikt się nawet nie domysli; bądź panienka spokojna.

Więc tedy wybiegła dziewczyna i stanęła na korytarzu, którego koniecznie żyd iść musiał, gdy wyjdzie od starosty. Oparła się na oknie i niby obojętnie patrzyła na dziedziniec zamkowy a liścik jej drżał na piersiach, za stanikiem. Nie upłynęło i Zdrowaś Marya, gdy żyd się pokazał na korytarzu, szczęściem sam.

Był to tedy żyd wielce poważny, podobniusiński raczej do senatora niż żyda, brodacz i siwiejący. Nosił głowę do góry, bo był też to bogacz niełada. Mówiono, że ma krocie. Szedł sobie tak przez korytarz, głaszcząc brodę palcami i wielce zadumany a frasośliwy jakiś. Przeżegnała się dziewczyna i skoczy do żyda.

— Panie Jonasz, mam do waćpana poselstwo.

Żyd zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę.

— Jakie poselstwo? co waćpanna chcesz?

Obejrzała się wokoło trwożliwie dziewczyna i rzecze:

— Tylko cicho, na rany Boże panie Jonasz, i przysięgnij, że nie zdradzisz.

Zdumiał się żyd.

— Ny, kto ostrożny to i na starą obręcz nie nastąpi, ja zdradzać nie umiem, mów waćpanna a żywo!

Tedy sięgnęła dziewczyna za gors i dobywając liścik, wcisnęła go w łapę żydowi i rzekła:

— Panna starościanka prosi, ale bardzo prosi pana Jonasza, żeby to oddał panu Łosiowi w Oblęgórze, wynagrodzi dobrze tę usługę moja panienka, tylko żeby nikt nie wiedział.

Żyd schował list za chałat i rzekł:

— Powiedz waćpanna Jaśnie Wielmożnej pannie starościance, że list dojdzie rąk pana Łosia jeszcze dzisiaj, powiedz też, że acz Jonasz ma wyniszczoną skarbony, przecie zapłaty za to nie chce... ale bądź waćpanna zdrowa, mógłby nas kto obaczyć, zrobię pewno, o co mnie Jaśnie panna prosi.

Ledwie to żyd wyrzekł, aż jak nie hukną z baszty, aż zamczysko się zatrzęsło n dym buchnął na dziedziniec a z niego na korytarz. Bito z dział na baszcie.

Zaraz też otworzyły się drzwi i wybiegł starosta wołając:

— Jada, już jada, hej hajduki! — i przebiegł żywo koło skamieniałej ze strachu Marysi, nie widząc jej wcale, bo był czem innem zajęty.

Zrobił się rejwach wielki na zamku, co żyło skończyło do okien i na dziedziniec, a nawet byli tacy, co za mury wybiegli patrzeć na drogę. Jakoż wcale piękny się tu przedstawiał widok. Pod górę, po stromej onej drodze, pięła się chorągiew rycerska z proporcami, któremi wiatr miotał. Koń w konia był piękny a i rycerze też w zbrojach i skrzydłach u ramion, z kopiami i koncerzami u boku. Na przedzie walił na wronym bachmacie pyszny jakiś rycerz. Więc tedy najprzód na głowie miał misiurkę, a z niej strzelał pęk piór najrozmaiciej ubarwionych i paciorkami nadzianych. Na łbie końskim toczyła się ogromna orla forga. Rycerz był cały we zbroi jak kryształ czystej, ozłoconej od słońca i luną blasków bijacej. Na zbroi przez jedno ramię przewieszoną miał delię kar-

mazynową, podbitą grzbietami rysiami i spiętą u szyi bogatą brylantową zaponą. Od ramion biły mu w górę dwa skrzydła chrześzczące srodze. Słowem bardzo pięknie on rycerz wyglądał, a koń też pod nim sadził szczupakami jak panienka w tańcu.

Tedy rycerstwo ono wali a z baszt zamkowych biją z dział i zamczyśko całe owionęło się dymem jak przeponą siną, za rycerstwem jechała też chorągiew rajtaryi niemieckich knechtów, także chłopcy srodgie i dobrane pięknie. Jakoż patrząc na to skrzydlate rycerstwo, mniemać mogłeś, że niema takiej siły na świecie, coby mu się oparła. Taki sam majestat i taka duma biła z tych skrzydeł orlich i z tych zbroi żelaznych...

Kiedy wojsko to piękne wjechało w dziedziniec zamkowy, pan starosta i szlachta wszystka stała już na ganku z roztruchanami wina w ręku i witała przyjezdnych. Zrobił się tumult niemały, ktoś nawet oracyę palnął. Tedy za husaryą wjechały one knechty niemieckie, a za nimi moc wozów i czeladzi, bo to wonczas na wojnę wybierano się jak na wesele. Na dziedzińcu zrobiło się ciasno, szpilki nie było gdzie wetknąć. Więc husaryja zsiadła z koni a jej porucznik szedł prosto do starosty i witał się z nim serdecznie. Był to znany nam już imię pan Franciszek Strasz, persona okazała, acz już niemłody i wcale na twarzy niegładki. Wąsiska miał ogromne i srodze nastroszone. •

Ruszono do wielkiej sali zamkowej. Tu zastawiono w podkowę stoły, trzysta z okładem osób do nich siadło.

Tedy poczęto się wypytywać Strasza, co tam słychać od Krakowa, jakie nowiny, ile że wiadano, że królowa jejmość rezyduje tam teraz i znano jej męskiego ducha.

— Królowa Jejmość — rzecze Strasz — stara się wszelkimi sposobami, aby Kraków i Krakowian do obrony sporządzić. Najbardziej stara się o pieniądze, bo podatków niema czasu wybierać, zastawia i arenduje podobno prowenta. Ale to tam kuso jest, bo

nikt nie chce dać pieniędzy, a bez pieniędzy nic sprawić nie można.

Tedy odezwie się na to ks. Szymon Starowolski, który jadąc do Krakowa zawadził o Chęciny, człowiek mądry i historyk wielki, który siedział między pierwszymi u stołu.

— Tak ci to jest u nas...

Wtem przerwał mu jakiś hałas u szarego końca, zmarszczył się na to pan starosta i rzecze:

— Mości panowie, ks. Starowolski mówi!

Uciszyło się, a Starowolski spojrzawszy na szary koniec od niechcenia, rzecze jakby nigdy nic:

— Tak ci to jest u nas, każdy jeno dba o to, by mu się jaki pożytek z pospolitego dobra okroić udało, chciwego serca swego nie pohamuje, by mu też i samemu z Iskaryotem zdrajcą iść na śmierć w kompanii przyszło. Ale mów waszmość dalej, co tam słyszać.

Więc pan Strasz ciągnął dalej:

— A cóż, jak się rzekło, pieniędzy niema, więc nic niema. Prosiła jejmość królowa biskupa krakowskiego Gembickiego, aby skarbów kościelnych naruszył na obronę Krakowa, odpowiedział: że bez pozwolenia z Rzymu nie może tego uczynić.

— To wcale niepięknie ze strony biskupa — ozwie się ktoś od stołu.

Spojrzał z ukosa na mówiącego Starowolski i rzecze:

— Oto słowa, a ja właściwie powiem, że wcale źle sądzisz a niesprawiedliwie się powołujesz. Kiedym się uczył w Lowanium, wyszedł był edykt od Izabeli arcyksiężnej, pani na on czas Niderlandu, aby wszyscy, co w jej państwie byli, dali od siebie pogłównego po złotemu, tak świeccy jako i duchowni, tak zakonnicy, jako i profesorowie akademii i studenci. I zebrawszy za tę sumę dziesięć tysięcy żołnierza, wyprowadzono je wodą przeciwko Holantom, armatą wszelką i żywnością opatrwszy cichusieńko, aby nieprzyjaciół o ich wyjściu nie wiedział. Tak się to Panu Bogu nie podobało, że się na tę ekspedycję du-

chiowni przykładali, iż gdy jeno przed wieczorem z Antwerpu rzeką się do morza wyprawili, tak tejże nocy pogromieni wszyscy zostali, że się nazajutrz jedno dwie osoby wróciły, hetman i jezuita, a drudzy wszyscy częścią potonęli, częścią pozabijani a cztery tysiące z nich pojmał nieprzyjaciół.

Tu odpocząwszy nieco, ile że wiedział, że go wszyscy wielce ciekawie słuchają, tak dalej mówił:

— Kto bowiem chce mieć pokój w Rzeczypospolitej, ten niechaj w pokoju i całości wolności swoich zachowa sługi Boże i kościoły święte z dochodami swojemi. Kto chce mieć zwycięstwo z nieprzyjaciela, niechajże nadaje kościoły, nie plądruje, funduje i muruje, nie pustoszy, albo odejmuje fundusze. Niech się zastawia za wiarę świętą i pomnaża chwały Pańskiej, nie wyniszcza, chleb odejmując kapłanom i ich poddanym od przodków świątobliwych nadany, aby się wstawili za wszystką Rzeczpospolitą do Pana Boga i modlitwami swemi ratowali tych, którzy się pierśmi swemi oponują za Rzeczpospolitą nieprzyjacielowi. Skończyłem.

Tedy przez jakiś czas rozmowa się urwała i jedzono tak cicho jak w refektarzu klasztornym, bo nikt nie śmiał dyskutować z księdzem Starowolskim jako człowiekiem wielce uczonym i sławnym z mądrych ksiąg swoich po całej Rzeczypospolitej, ba! po świecie całym.

Przerwał to milczenie dopiero pan miecznik, który siedział dotąd i nic nie mówił, okrutnie zafrasowany, obracając się do Strasza:

— Powiedzże mi waść, mości panie poruczniku, co ty trzymasz o tym Szwedzie, z którym ci się podobno niedługo zmierzyć przyjdzie?

Podniósł głowę Strasz i rzecze:

— Jakże to, co ja trzymam? A no, rzecz to niepewna, by można coś o niej trzymać stałego.

— Ale bo widzisz, mości panie, że mnie się zdaje, iż djabeł nie taki straszny, jak go malują.

— A no to pewna, jużcić my się temu zamorskiemu chłopstwu w lasy zjeść nie damy. Potęga to

wielka, prawda, ale i nas też nie jest mało. Przy królu Jegomości są dywizye hetmana polnego i pana Czarnieckiego, jest też i z Wielkopolski garść pospolitego ruszenia. Są tam i inni i my idziemy, a słyszę, że król wici roześle, by Małopolskie województwa na koń siadały. Oprzemy im się, to pewna. Jak ja, mospanie, z moją husaryą uderzę, to kopijami dobrze tego Szweda popstrzę.

— Bóg to dałby — odezwie się pan starosta — ale ja całę inaczej na te rzeczy patrzę. Wielkopolaki to kpy z przeproszeniem, a jest też ich mało.

— Mości panie Starosto — ozwie się na to imć pan Jędrzej Gromadzki, chorąży z tego wojska co przyszło — ja znam tych Wielkopolaków, bom tam siedział cały rok koło Kruszwicy, gdym się starał o imć pannę Teresę Krosnowską, z którą Bóg i ludzie nie dali mi się połączyć.

— Cóż tedy te Wielkopolaki? — ktoś spyta.

— A no cóż, kaźden z nich chłop kusy a gruby w karku jak wół, a nabity jak pień. Całe to dziwny jest naród. Jest tam wielkie jezioro, Gopiem je zowią, to po nim pływają jak nieprzymierzając ryby albo flisaki, choć to jest szlachta. Jedzą tylko jaglaną kaszę i piwsko piją, a tak jak Mazury ślepo się rodzą i dopiero jak szczenięta siódmego dnia widzą. Drób to u nich zwie się gadzina, koń hetka, a karpiele brukiew. Z Niemcami co to zaraz mieszkają za granicą, po gębach się srodze biją a potem całują, jakby to nie była rzecz paskudna i nieszlachecka z Niemcem w gębę się całować. A do tego strasznie to krewki naród i do bitki okrutnie chętni. Szablami jak się zaczęła siekać, to tak posieką sobie cielsko, jak mięso na zrazy. Ale to im się zaraz zrasta. Nawet jak któremu rękę albo nożysko utną, to jeno przyłoży i za trzy dni mu się zrośnie.

— O wa, co też ty gadasz Gromadzki! — ozwie się na to Strasz.

— Jakże co gadam, przeciwnie na to patrzył, krotchwilny to już taki naród i fantazyą ma też rycerską.

I tak dalej opowiadał Gromadzki wielce poważnie, a ci co go znali śmiali się do rozpuku, bo wiedzieli, że on to tak dla krotchwili gada, ile że sobie ciągle dolewał wina, a inni, co go nie znali rozdziawiwszy szeroko gęby, słuchali, wielce się dziwiąc tym Wielkopolakom.

Zrobił się wieczór, wniesiono światła i poczęto już wstawać. Tedy starosta przybliżywszy się do Strasza wziął go pod rękę i rzekł:

— Chodźno panie Franciszku, pogadamy.

I wyszli.

VIII.

Ojciec i córka.

— Srodze mnie to cieszy, mój panie Franciszku — rzekł starosta do Strasza, gdy się już sami znaleźli — żeś mi tak akuratnie dziś przyjechał, nie wiesz bo wcale, co się tu u nas święci, a jesteś mi też wielce potrzebny.

— Jakże to, mości panie starosto? już to dla mnie radosna będzie godzina, jeżeli wam w czym chudy taki pacholek jak ja usłużę — odrzekł Strasz z afektem.

— Siadajno waść i pogadamy.

Tedy usiedli na zydlach koło stołu a sługa im wniósł wina i tak popijając sobie dyskurowali.

— A naprzód muszę waści powiedzieć, że król Jegomość ma tu do mnie na zamek zjechać a potem już do Krakowa.

— Słyszałem o tem.

— A no tak, i wiesz też o tem, że tu w tych stronach chce celną ze Szwedem stoczyć bitwę, nakazał mi zatem, bym zamek opatrzył i uzbroił a i hetmana w nim ustanowił na czas oblężenia. Owoż ja sobie tak myślę, żeby tobie komendę tu zostawić, bo ty mi po Zosi najbliższy serca.

Skłonił się Strasz do kolan staroście i rzecze:

— Za afekt ten do mnie, panie starosto, szczerze dziękuję a Bóg widzi, że na niego nie zasługuję.

— Ale już ty mi o tem nie gadaj, tak to jest i basta.

— Wielce jestem wam obowiązany, panie starosto, ale widzi mi się, że tu nie ma co myśleć ani o obronie ani o komendancie.

— A! widzisz... ja też to tak samo rozumiem, boć Szwed to taka potęga, że jeden lichy zameczek jej nie rozbije, ani też z Rzeczypospolitej nie wyrzuci — zawołał starosta, popijając wina.

— E! nie o tem ja myślę, bo... nie święci garnki lepią, ma Szwed ręce i oreże, mamy i my też i znów Chęciny, nie jest to taki lichy zameczek, by go tak zaraz wziąć można, a nawet rozumiem, że siłą wcale go wziąć nie podobna.

— Ale co też ty gadasz! jakże to, to ty chcesz się tu bronić?

— Jużci, gdyby przyszło do tego, żebym tu w tych murach miał komendę, tobym się długo, bardzo długo bronił a nawet przy pomocy Bożej i obronił, ale do tego nie przyjdzie...

— A! to już ja wcale nie wiem, czego ty chcesz; powiedzże mi, co ty rozumiesz przez to, że do tego nie przyjdzie? — zawołał starosta, podpierając brodę ręką i ciekawie w Strasza się wpatrując.

Strasz popił wina i rzekł gładząc wasy:

— Ja tak to rozumiem, że w tej bitwie, którą z tym grubym poganinem teraz stoczymy, będziemy mieli zwycięstwo, a naprzód dlatego, że będzie nas jeśli nie więcej to przynajmniej tyle co i Szweda, a my też nie ułomki i jest u nas taki rycerski animusz i fantazja w sercu a taka sroga nienawiść do tego heretyka, że pierwiej co do nogi wyginiemy, niż mu damy krok naprzód postąpić. Cwo co ja rozumiem.

Zadumał się starosta i po długiem milczeniu rzeknie:

— Hh, hm! może to i być tak, jak waść mówisz a może też będzie wcale inaczej. Wojna jest rzeczą wątpliwą, ani też nigdy nie można powiedzieć naprzód, co nas jutro czeka. Otóż ja rozumiem, że w tej bitwie, co ją tu stoczycie, będzie tylko wielkie krwi rozlanie, ale zwycięstwa nie. Waść bo widzę, nie wiesz, co to są wojska szwedzkie. To wszystko

starzy żołnierze, co to jeszcze czasu onej wielkiej wojny na Niemcach o religią, na nic rozbijali takich hetmanów jak Tilli i siekli takie kupy jak Wallensztajna wojsko. Owoż, żeby tam nie wiem jaka fantazyja, to tym Szwedom rady nie dacie i czego Boże broń, jeszcze wam głowy przyjdzie położyć.

— W Boskiej to jest ręce — odrzeknie na to Strasz — a choć i głowę się położy, to za ojczyznę miłe. Ale mnie się to nie widzi. Spojrzno, panie starosto, na tę husaryę moją, albo li też nawet na tych knechtów. To jak się kopijami złożym, niema takich ludzi, coby nam opór stawili, a jak uderzymy, to i w niebie słyhać będzie.

Gdy to mówił Strasz, wielki zapal i animusz a pycha mu z oczów biła i pięknym był ten rycerski krwią od ognia rycerskiego oblany.

— Drugi to ja już raz od wasci słyszę, że tak dufasz swej husaryi, ano, obaczmy, jeno zważ, ile losy bitew są w Boskim ręku, tedy zawsze trzeba być gotowym, a tu jest jeszcze to, że król Jegomość dał nakaz, by zamek opatrzyć i komendanta ustanowić. Więc zrobić to należy.

— Nie jestemci ja pysznym, broń mi Boże — odrzekł nieco markotno Strasz — nakoniec nie to nie szkodzi, by zamek opatrzyć i... róbcie panie starosto jak rozumiecie.

— Ale bo ty się zaraz gniewasz, mój Straszku. Starszyć ja jestem od ciebie i więcej widziałem. Tedy zostaniesz tu u mnie komendantem?

— Bóg widzi, jakbym tego pragnał, ale czy ja wiem, jak to będzie. Po bitwie to zobaczymy... jak król Jegomość każe.

— A no tak, a już ja to zrobię u króla, będziesz więc tu hetmanił razem z moim bratem. Rzecz więc ułożona. Teraz powiem ci inną materyą a też ciekawszą i bliższą. Wieszże ty, co się tu u nas dzieje?

— A no co? nic nie wiem.

— Aryanie, Lutrowie, Kalwinowie i inni heretycy, których tu moc jest, słyszę zawiązują konfederacyą w

Oblegorze pod marszałkostwem tego Łosia, co go znasz.

— Konfederacyą, jakże to?

— A tak konfederacyą przy Szwedzie, przeciw Rzeczypospolitej.

— Zdrajcy, infamisy! — wrzasnął Strasz.

— No, że infamisy, to pewna, ale posłuchajno, co ja tu wykalkulowałem.

— I ten Łoś! a taki a taki synu, czekajno! — przerwał Strasz.

— A widziysz... chciało mu się Zosi, nogę ci podstawił, no, nie ma o czem gadać. Owoż ja sobie myślę, jak mi o tem dziś rano dali znać, że chcąc obcego wroga wojować, trzeba najprzód własnego w domu przydusić, by zasie nie szkodził i pochyby nie czynił. Więc postanowiłem, że jak ty przyjdiesz, zaraz cię dzisiaj w nocy wysłać na te rebelizanty, byś je wysiekl i rozniósł tę konfederacyą. Cóż ty na to? zaraz się dowiemy, jaka to tam ich jest siła i jak u nich jest. Wysłałem żyda na przeszpiegi.

Tedy Strasz srodze się zamyślił i rzekł:

— Ale to być nie może.

— Jakże to być nie może, gadajże mi, dlaczego? — porwał się starosta.

— Pomocy wam, panie starosto, nie mogę dać, bo to nie z myślą igrać, znam ja starego Bobrownickiego i jego dwór, który jest niby jaka forteca, znam też i innych, wiem, że tam są ludzie z dobrą fantazyą i nie byłoby bez rozlania krwi a ja nią szafować nie mogę. Mam wyraźny ordynans króla Jego mości i imć pana hetmana polnego, bym szedł na przeciwko nich, nigdzie się nie zatrzymując, a teraz jest wojna i niewypełnienie nakazu gardłem pachnie. Mam też i konie zdrożone i ludzi pomęczonych okrutnie, bom pięć mil dzisiaj upalił i jutro jak świt dalej maszerować muszę, owo dlatego uczynić zajazdu na Oblegor nie mogę, nie mogę i basta!

Starosta stał na środku komnaty i patrzył na Straszę wielce zdziwiony, a wysłuchawszy, co on mówił, machnął ręką i począł niecierpliwie dreptać po izbie.

— Ha! jak nie, to nie! cóż, pójdziesz waść do kobiet?

Tedy porwał się Strasz i chyląc się do kolan starosty, rzekł:

— Nie miejże mi panie tego za złe, że ci odmawiam, alem ja nie hetman, jeno żołnierz i ordynans starszyny wypełniać muszę; nie miej proszę złego serca do mnie, kiedy idę na wojnę a może ina śmierć pewną.

— Ale proszę cię, mój Franciszku, jać to rozumiem, jak nie możesz to nie możesz, no, nie ma o czem gadać, ja cię zawsze miłuję, no, chodź do kobiet.

— Zaraz, jeno się przebiorę i ja też chciałem jeszcze jedną pokorną prośbę zanieść do was panie starosto.

— A no, jakąż to, proszę ja ciebie?

— Oto, czy ja mogę z panną Zofią, zrękowiny zrobić?

— Ale dobrze, z całego serca, jeno to tak być nie może nagle, przecież trzeba to jakoś po ludzku obchodzić.

— Ja to wiem, ale już chcę być pewnym.

— A no, masz moje słowo szlacheckie, że będzie twoją, no, idź przebierz się, bo ja muszę iść do panów braci. Ale przecie jutro nie pojedziesz tak zaraz, święto mamy.

— Bóg widzi, jakbym ochotnie tu został, ale nie mogę.

— Ha, trudno, no idź przebierz się i do spódniczek marsz, mój ty rycerzu.

Tedy rozeszli się i starosta pobiegł do komnaty córki, a biegł wielce rozradowany jakiś, bo acz publiczne sprawy nie tak mu poszły jakby chciał, a może i nie chciał, bo któż jest taki coby wejrzał w samą głębię duszy człowieczej, otóż choć publiczne interesa nie poszły mu gładko, ale za to jego sprawa domowa całę według jego chęci się rozwinęła. Dreptał więc starosta srodze radosny po korytarzu zamkowym, pustym teraz a pełnym szlacheckiej wrza-

wy co szła od wielkiej sali i poprawiał ciągle ona okrutną perukę na łbie, co mu jak kudły na lwim karku się piętrzyła. Tedy dodreptawszy tak do drzwi starościanki, otworzył je z łoskotem i przebiegłszy przez napół ciemną antykamerę (przedpokój), stanął w samej panińskiej izdebce.

Starościanka siedziała sama, wielce jakaś frasobliwa przy ogarku i szyla w krosienkach; zoczywszy ojca, porwała się zdziwiona i pokornie przypadła mu do ręki i poczęła ją całować.

— Jakże to Zosiu — rzeknie starosta — toś waćpanna jeszcze nie ubrana?

Ale dziewczyna nic nie odrzekła, jeno dziwnie ciekawie wpatrzyła się w ojca.

— Cóż to, nie rozumiesz mnie, czy co, nie wiesz, że, że goście są w zamku i trzeba im się prezentować?

— Rozumiałam, że to są ci sami goście, co już co dzień od tygodnia bawią w zamku, a przecieć im się nie prezentowałam.

— A już mi tego nie gadaj — ofuknie się starosta — wiesz przecie, boś nie głucha ani też ślepa, że Strasz przyjechał, cóż, może nie wiesz? No gadaj mi wraz.

— Wiem proszę ojca.

— Ano, kiedy wiesz, to zaraz mi się ubierz i z Kossowską wyjdź do sali, jest i ksiądz Starowolski.

— Niech ojciec nie będzie srogi dla mnie ani też gniewny, proszę bardzo, ale ja wyjśćcale nie mogę.

Kiedy to usłyszawszy starosta, porwie się cały czerwony jak alkiernas i skoczy do dziewczynki, która blada jak delikwent stała spuściwszy oczy.

— A to co?... co ty mi tu gadasz?

Ale pohamował się zaraz i rzecze, kręcąc się cały:

— Czemuż to wyjść nie chcesz, powiedzże mi?

— Srogą mam migrenę i chora jestem cała.

— To tak! — krzyknie Starosta — to waćpanna fochy mi tu stroić będziesz, poczekajże, dam ja ci fochy, migrena, paluszek i główka, nie chce wyjść,

bo amorów jej się chce z tym heretykiem, oberwańcem, poganinem!... otóż nie, żadnym sposobem to być nie może, ubieraj mi się zaraz i do sali, bo przez Pana Boga inaczej ci zagram. Hej, Kossowska!

I hukał i krzyczał, aż przypadła ochmistrzyni Kossowska, daleka krewna, kobieta już nie młoda z zastrachana okrutnie:

— Zaraz mi ubierać się obiedwie i do sali, tak chcę, rozumiesz waćpanna?

I wybiegł trzasnąwszy drzwiami cały w okrutnym gniewie.

— A, moja Zosięku! — zawoła Kossowska kiedy już Starosta wyszedł — ustąpże, na miłość Boską, kiedy inaczej być nie może, trzeba się ubrać; starosta strasznie gniewny, rady tu nie ma, a jak się będziesz opierać, to i jemu nie pomożesz i sobie zaszkodzisz.

Ale dziewczeczka jak nie buchnie płaczem, a takim rzewliwym, że i kamienieby się wzruszyły, tedy i Kossowska poczęła jej wtórować i Marysia, która się też pojawiła. I tak wyplakawszy się wszystkie trzy i naradziwszy po cichu, poczęły ubierać starościankę.

Czas też już był, bo w sali powoli poczęto się schodzić. Sala to była inna od onej, w której po dwakroć widzieliśmy szlachtę uczującą, mniejsza ale piękniejsza. Starosta ją tak wybudował, że kąt miała jeden pod basztą, gdzie chórek umieszczono dla grajków, a cała była na francuski sposób postawiona, ile że Starosta jeździł tam długo po obcych krajach, a wróciwszy i zastawszy zamek Chęciński na pół spalony i zdezelowany okrutnie, prawie od nowa go odbudował. Sala ta, jak się rzekło, była bardzo piękna, miała wielkie weneckie okna i ściany obite przednim aksamitem karmazynowym, na którym złotem i srebrem wyszyte były przecudne kwiaty i takie barwne, jakby żywe. Sufit był sklepiony i kolisty a na nim misterne rzeźby i ze środka spuszczal się wielki świecznik. Posadzka zaś była marmurowa, z białych i zielonych płyt ułożona arcypięknie, a na

niej leżały wielkie tureckie dywany, a takie mięciutkie, że kiedyś szedł, to cię całe słyhać nie było. Przepych to był okrutny i krocie na to wysypano. Dalej wszystkie odrzwia wykowane były w czarnym chęcińskim marmurze i było to takie wspaniałe, że i na krakowskim zamku wspanialszego nic nie ujrzałeś. Naprzeciw jednych drzwi stał kominek także z czarnego marmuru, a nad nim było wielkie zwierciadło. Owoż od tego kominka wznosiły się dwa marmurowe słupy, okalające ono zwierciadło i dźwigające na wierzchu zegar, a nad zegarem herb hrabiów zRuszczy Branickich i komesowską nad herbem koronę. Wielkie to było wszystko i może nieproporcjonalne, ale okrutnie wspaniałe. Nad oknami i drzwiami zwieszały się ciężkie grodeturowe kotary, misternie ufałdowane i złotemi zakończone kutasami. Tedy i sprzęt wszelki był do tego odpowiedni. Wielkie krzesła i stoły dębowe, cudnie rzeźbione, czarne a aksamitem karmazynowym kryte i mnóstwo też innych cacek a obrazów i konterfektów po ścianach. Przepych wiał z tej komnaty, przepych iście królewski, sala też cudnie wyglądała przy świetle, które w błękitnem szkle zamknięte, rzucało jakiś arcytajemniczy odblask na wszystko.

Owoż sala ta miała już swoich gości. Więc najprzód na wielkim zydlu siedział ks. Starowolski w czarnej sutannie i fioletowej piusce na głowie, rozprawiając coś z imć panem Łukaszem. Starosta sam dreptał po sali i niecierpliwie to na drzwi, to na zegar nad kominkiem poglądał. Dalej pod oknem stał pan Strasz i rozmawiał po cichu z panem Jędrzejem Gromadzkim, było też i innych trochę gości. Pan Strasz ubrał się odświętnie. Miał więc na sobie żupan papuzi sajetowy a kontusz zasie krótki po kolana, z drelchu kamiennego koloru, jupkę z rajtarskiego koletu, buty z niemieckimi cholewami dłużkami, które były złotem, rubinami i dyamentami sadzone. U boku mu też wisiała maleńka karabelka, do parady raczej jak do potrzeby zdatna, a błyszczą-

ca od złota i kamieni drogich. Drugi też szlachcie, co koło niego stał, podobnie suto i drogo był ubrany. Był to imć pan Jędrzej Gromadzki, jak wiemy srogi orator i przyjaciel, a chorąży z chorągwi pana Strasza.

Tedy było cicho na sali, jeno szept było słyhać Strasza, stuk zegaru, dreptanie starosty i basowy głos od czasu do czasu pana miecznika, kiedy weszła starościanka. Była ona zaś cale skromnie ubrana, w sukience błękitnej prostego kroju, bez rękawów, z kresą z rąbku flamskiego. Na rączkach miała złote manele i pierścionki, we włosach zaś umieściła wianeczek z róży i fiołków, co już o tej porze rzeczą było rzadką i przednią. Na małych nóżkach miała trzewiczki jerchowce, cudnie malowane w kwiaty, to jest w róże i fiołki, tak jak na głowie. Błada była i oczęta miała czerwone. Za nią toczyła się Kossowska zasapana i czerwona, bo baba była tłusta, a ustrojona jaskrawo, w ceregielach i forbotach. Kiedy je zoczył starosta, rozjaśniła mu się twarz i skoczył do córki i pocałował ją w czoło, szepcząc:

— A no wdzięczen ci jestem Zosieńku.

Tedy powstali wszyscy i witali się, a Strasz zaraz wystąpił z Gromadzkim na środek i poczęli się kłaniać wielce gładko. Poczem Gromadzki wysunął się bliżej i wręczył pannie podarunek. Przyskoczyli wszyscy i ciekawie poczną go oglądać. Były to trzewiki drewniane, lipowe, pułtyńkiem specjalnym kryte, sztukwartową robotą, hebanem i perłową macicą nasadzone, adamaszkiem karmazynowym podklejone. Osobliwość to była nie mała i wszyscy wielce się dziwowali. Tedy Gromadzki poprawiwszy jedną ręką wąsa a drugą za pas zasadziwszy, rozpoczął w ten sens:

— Wolentarz to jest w ciele ludzkim afekt, moja wielce mościa panno, który od innych zmysłów żądnych nie przyjmując ordynansów, swoją własną rządzi się imprezą i na którąkolwiek stronę zechcesz, i sam siebie i serdeczną może nakierować inklinacją. Niech przez wysokie przeprawia się Alpy, niech by-

strych rzek przepływa nurty, niech między bezdenne-
mi niezbrodzonego oceanu zabawia się głębokościami,
ma jednak swój cel, do którego uprzejmem serca
swego zmierza okiem, do którego choć w odległości
swoje życzliwe zwykł akkomodować intencye. Takich
nieomieszkując sposobów, któremiby swoją mógł wy-
świadczyć przysługę, imć pan Strasz brat i towarzyszy-
mój, jakimby miał waćpannie przysłużyć się prezen-
tem długo deliberował, bo przywieźć to, co lubo z
drogłości i ceny ma wysokie u ludzi zalecenie, ale z
dawna znajome, nie specyał, ale przywieźć taką oso-
bliwość, której jeszcze dotąd nie widziała Polska, to
jest specyał. Niech się odważny Jazon złotem popi-
suje runem, po które do Kolchidy się reżolwował,
czyniąc to dla swej, niech Hippomenes, przez wy-
rznięcie złotego jabłka, gładką pozyskuje przyjaźń
Atalanty, ale tamte podarunki z tym wchodzić nie
mogą w paragon, czemuż? bo to tam były specyały
żadnego nie mające rarytetu, ale z samego tylko zro-
bione złota. Ja zaś poszczycić się mogę, że oddaję
imieniem mego brata tak niezwyčajny prezent, które-
go pewnie ani w królewskich, ani w cesarskich nie
znajdzie skarbnicach, któremu równego i sama na
cały świat sławna i wymyślna strojnica Kleopatra nie
zażywała i nie miała ornamentu. Co i waszmość
moja mościa panno sama przyznasz to snadnie, tak
niezwyčajny obaczywszy specyał. Prosi tedy przeze
mnie, abyś waćpanna tegoż zażywając zdrowo, wdzię-
cznie przyjąć raczyła.

Starościanka arcyciekawie na pozór słuchała tej
wielosławniej oracyi, ale duszą widno była gdziein-
dzie, co moment bowiem na najmniejszy szelest od-
wracała głowę i mieniła jej się twarzyczka, jako u
onego zamorskiego zwierza, co go uczeni kameleo-
nem zowią. Kiedy skończył Gromadzki, skłoniła się
i uśmiechnęła cudnie i cała zarumieniona wzięła on
podarek i zaraz też wręczyła go Kossowskiej, która
poczęła go wychwalać a dziwować się srodze.

Tedy ks. Starowolski rzecze do Gromadzkiego:

— Pięknie waść mówisz i widać też, że cię nie
w ciemie bito; gdzieżeś się waść uczył?

— Ho, ho! mości księżę dobrodzieju, bitoć mię, bito, to pewna, ale też i coś wybito; ano uczyłem się w Wilnie, w akademii OO. Jezuitów.

— Jać to sobie tak konkludowałem — odrzeczę Starowolski — mądry to zakon i ma wielu uczonych ludzi w swem łonie, znać go też na świecie.

Na to odezwie się pan Łukasz:

— Rzecz to pewna jest, że zakon ten znać na świecie, ale żeby stąd miały jakie dobre dla świata rość konkluzye, to mi się nie widzi.

Tedy ksiądz Starowolski replikował z miejsca i wszczęła się ognista dyskusya o Jezuitach, której tu nie przytaczamy, ile że dla nas ciekawa. Zaraz też Strasz korzystając z tego, przysunął się do panny Zofii i pokręcając wąsa, rzecze:

— Moja mościa panno, kiedy krwawe Marsa czekają mnie zabawy, słuszną jest rzeczą, bym wprzódcoś o sobie postanowił, ile że zginąć mogę, bo gdzie drwa rąbią, tam wiory lecą, tedy...

Usłyszawszy taką introdukcją, zbladła starościanka i trzęsąc się jak w febrze a kraszając twarzyczkę uśmiechem, przerwie:

— Czemuż to pan porucznik zaraz o śmierci myśli? Wreszcie wojna to przecież nie tak straszna, bo z heretykami.

— Że z heretykami to pewna, ale że wolna jest straszna, to także pewna i w tem oponować muszę pannie Zofii. Żołnierz bo szwedzki, to stary rycerz.

— Ale ja o Szwedach nie mówię?

— A o kim-że, boć przecie ja ze Szwedem idę wojować?

— Jako, ze Szwedami? a ja słyszałam, że pan porucznik ma na Oblęgór dziś nocą ruszyć, i wpatrzyła się ostro w twarz Strasza.

— A! tu znów muszę oponować pannie Zofii, bo ja wcale na Oblęgór nie pójde, jeno jutro rano ruszę do Przedborza naprzeciw dywizyi imię pana Lubomirskiego.

— Ja nie wiem, ale tak słyszałam...

— Byłać taka myśl... pan starosta dobrodziej chciał onych heretyków dziś w nocy rozegnać, ale ja nie mogę i odmówiłem mu pomocy, tedy nic z tego nie będzie.

— A no jeśli tak, toć zawsze do okazyi z onym Szwedem jeszcze daleko — rzecze dziewczeczka wcale jakoś weselsza.

— Nie jest to tak daleko, jak się widzi, owszem bliskie to jest bardzo. Tedy w takim terminie chcę pannie Zofii jedną rzecz przedłożyć.

— Jakąż to, proszę bardzo? — odrzecze starościanka.

— Owo ja mam już taką fantazyą — szepnie Strasz poprawiając się na zydłu — żeby w każdym terminie dobrze umyśloną, prędkim słowem deklarować intencją. Mogłbym ja wprowadzić rzecz tę przez posły załatwić, ale wiem też z doświadczenia, że wdzięczniejszą jest zawsze z ust pańskich, niżeli przez kancle-rzów wszelka awizacya, której ja, jakakolwiek mnie spotka, jako pożądanego od Boga wyglądam musztu-łuku, jeżeli pocieszna, podziękuję, jeżeli przeciwna, za złe mieć nie będę, bo snąć, że niebieska ordynacya nie lepiej każe.

Na to rzecze starościanka:

— O cóż to panu porucznikowi idzie, rada będę, gdy mu w czem usłużę.

Tedy Strasz powstawszy i skłoniwszy się, w ten sens pocznie mówić:

— Moja wielce mościa panno, jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych a ja w kompucie życzliwych zmieścić się mogę i jeżeli moją do twojej usługi ochotą gardzić lu bakceptować będziesz, racz się namyślić.

To wstanie Strasza i uroczysty głos jego zwrócił na się wszystkich uwagę, pan Łukasz aż powstał i tak wyglądał, jakby zasie chciał się rzucić na onego porucznika. Ale starościanka czerwona cała, nie wiem od wstydu czyli też od gniewu rzecze:

— Proszę bardzo, niech pan porucznik siada a pomówimy.

Usiadł Strasz, ale na rogu krzesła i chwycił za czapkę, jakby się miał wynosić, i mars mu też srogi osiadł na czole.

Tedy starościanka, jakby nigdy nic, rzecze:

— Zdobić to nikogo nie może, kto szczerą przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym mieć w tem sumienia skrupuły, gdybym widząc waćpana afekt, nie miała go podobnym oddać afektem. Owoż jeżeli mężne serce bije w waćpana piersi i jeśli masz to uezucie dla mnie, o którem mówisz, to racz to wszystko odłożyć na później a wdzięczną waćpanu będę do śmierci.

Wyrzekłszy to, obtarła czoło a może i oczęta chustką i blada jak marmurowy posąg wpatrzyła się w Strasza. Tedy Strasz przypadł jej do ręki i całując, rzecze wielce żałośliwym tonem:

— Kiedy mi kto tak do serca przemówi, jak panna Zofia, gotów jestem krwie sobie z onego utoczyć. Jako niewolnik będę posłuszny, i wszystko uczynię, co waćpanna każesz.

— Ja nie każę, jeno proszę — wtrąciła dziewczeczka, spuszczając oczy.

— Bóg widzi — ciągnął Strasz — ile mnie to kosztuje, ale uczynię tak, jakem szlachcic.

— Wdzięczną będę waćpanu do śmierci — rzekła dziewczeczka, podając mu drżącą rękę, którą on ucałował jeszcze raz — i kiedyś już jednej prośby wysłuchał, raczże łaskawie i drugiej wysłuchać.

— Jakaż to, wszystko uczynię.

— Oto nie mów waćpan ojcu mojemu, że ja odłożyłam to wszystko, bo gniewny będzie na mnie, ale przyjm już winę na siebie, i... racz odejść, bo mnie wstyd.

Porwał się Strasz i ucałowawszy rączki starościanki, z weselem na twarzy ruszył ku onej kupie, co z ks. Starowolskim dyskurowała. Ale w połowie drogi chwyci go Gromadzki:

— Cóż, deklarowałeś?

— A jakże.

— No i co?

— 'A' nic, będzie weselisko, ale po wojnie.

— A no mądra niewiastka, nie cńce zostać, czego Boże broń, wdową, i jest racya.

IX.

Antwerpski soliter.

Późną już nocą dano znać panu staroście, że Jonasz wrócił i chce mu koniecznie zdać relacyą ze swego poselstwa. Starosta acz leżał już w łóżku i pacierze odmawiał z reformatem z klasztoru checińskiego, który pełnił też funkcyę kapelana na zamku, zaraz je przerwał, odprawił księdza i dał ordynans, by żyda wezwano.

— No i co Jonasz, powiedże mi, co słyhać, co tam robią w Obłęgorze? — pytał niecierpliwie starosta, srodze kręcąc się po łóżku, jakby go co kłuło, taki był gorączka.

— A co jaśnie wielmożny starosto, szlachty moc się zjechało i też pacholków nie mało, zbroją się a piją aż strach.

— Tedy rokosz, powiadasz, rokosz wyraźny?

— A no tak.

— Jakże, byłeś w samym Obłęgorze?

— A byłem.

— I cóż, gadajże mi, widziałeś Łosia?

— Widziałem, jaśnie wielmożny panie, i nawet gadałem z nim.

— O! a nie obwiesili cię za przespiegę?

Żyd uśmiechnął się poważnie i rzekł krotoczwilnie:

— Gdyby mnie obwiesili, tobym tu nie stał przed Jaśnie Panem.

— To prawda, ale gadajże mi, cóż tam ten Łoś?

— Ho, ho! wielki to pan teraz aż strach.

— Jakże to wielki pan? skądże mu to państwo tak nagle?

— Hm! różnie gadają.

To mówiąc żyd, jakto był srodze ostrożny, obejrzał się i zbliżywszy do starosty, mówił już cicho:

— Gadają, że tam w zamku chełmieckim odkryli wielkie skarby po ojcach jeszcze zakopane, i Łoś teraz za nie ma fundować wojsko.

— Ooo! — zadziwił się starosta — ale czy to jest no prawda?

Tedy żyd, nic nie mówiąc, obejrzał się jeszcze raz, sięgnął ręką za chałat i dobywszy skórzanego trzosi-ka, wysypał zeń garść złota i podając jedną sztukę staroście, rzekł:

— Niech jeno jasny pan się przypatrzy, toć to są stare portugaly, o! jakie złoto a nie obrzynane, auf majmunes.

Starosta, jak to był gorączka, porwał ono złoto i krzycząc:

— Dawaj światła! — począł je okrutnie ciekawie oglądać.

Jakoż były to arcypiękne sztuki, stare już srodze, zaśniedziałe i poczernione nieco, ale wielkiej wartości i rzadkie na one czasy, kiedy to w Rzeczypospolitej nie było mennicy i pieniądź był drogi, jeno tynfy cho-dziły i nieco bitych talarów, albo zasie sama brande-burska moneta zepsowana srodze, jakieś orty śląskie, które szły po trzy polskie grosze, a dobry złoty pie-niądź był rzadkością wielką.

Tedy obejrzawszy je starosta i zważywszy w ręce, spytał:

— Od kogo to masz żydzie?

— Ny, od kogóżby! od pana z Chełmiec.

— Patrzajże! a za cóż on ci dał to złoto?

— Ny, ja mu, lat temu trzy, na prosty skrypt po-zyczyłem kilkadziesiąt złotych, więc teraz mi oddał z pro-wizją i jeszcze pięknie podziękował.

Gdy to usłyszał starosta, srodze się zamyślił i wsparłszy brodę na dłoni, patrzył tak przed siebie milczący. I była wielka cisza w onej sypialnej kom-nacie, jeno słychać było skwierczenie oleju w lampce i chód straży na murach zamkowych. Nakoniec por-wał się starosta i rzeknie:

— I ty Jonasz rozumiesz, że to prawda jest o skarbach onych?

— Jak ja nie mam rozumieć, kiedy ja widział na własne oczy, to tam miłościwy panie złota teraz w bród, ale ja tu jeszcze jedno pokażę.

To mówiąc, znowu sięgnął do trzosa i wydobył stary antwerpski soliter w złotej oprawie arcymisternej a grubej.

— Ny, coby miłościwy pan dał za to?

Starosta aż się za głowę chwycił.

— A to skarb! skarb! jak mi Bóg miły, skarb, toć ten soliter wart dziesięć tysięcy talarów bitych, gadajże mi, skąd go masz, kto ci go dał?

— Pan Łoś — odrzekł poważnie żyd.

— A niechże go kaczki zdepczą, i na co ci to dał?

— Żeby sprzedać, bo ma mało gotowego grosza, jeno takie klejnoty same.

— I któż to kupi? ja nie wiem, tu nikt nie ma tyle gotówki.

— Ny, ja skoczę po żydkach, może się zbierze.

— Ale powiedzże mi, proszę ja ciebie, na co jemu to sprzedawać?

— Jakże na co? kiedy on jest marszałkiem tej konfederacyi i zasie pojutrze mają pójść w drogę, to jemu trzeba pieniędzy.

Tedy znów się zamyślił starosta i znów była ci-sza sroga, jeno żyd chował złoto i klejnoty one do trzosa, pobrzękując niem haniebnie. Ale rychło otrząsł się starosta z onej zadumy i rzeknie:

— Powiedzże mi Jonasz, co ty myślisz o tych skarbach, jakże to tam tego dużo być może?

— Czy ja wiem, aleć są tam przednie szable, dyw-dyki, opony bardzo piękne, pierścienie, manele, ga-moje, pectorały, słowem cudne klejnoty a wszystko stare.

— I on ci to pokazywał?

— A jakże, byłem w jego osobliwej komnacie, ta-meśmy ze sobą dyskurowali i stała na środku wielka skrzynia, pełna onego złota, rozmaitego, a imć pan Łoś gadał: to wszystko moje!

— I dużo to wszystko warte? — pytał starosta, a oczy mu latały jak iskry i blask z nich wiał jakiś.

— Ny, czy ja wiem, jabym za to bez patrzenia dał sto tysięcy czerwonych.

— Patrzajże! ale czekaj, jeno zleżę z tego łóżka.

I zerwał się jak oparzony i nadział na siebie jakąś suknię i buty zielone, przeszarzane już dobrze i tak latał po komnacie a dumał:

— Pokażno ten dyament Jonasz, obaczę go jeszcze raz, jakem żyw, takiej sztuki jeszcze nie widział.

I znów go oglądał i cmokał a patrzył pod światło...

— Cudnie piękny, no, niema co mówić — i oddając go żydowi, spytał, czy tam dużo tych konfederatów i bardzo obronni?

Żyd spojrział z podełba na starostę i rzekł:

— Hm, jest ich tam z trzysta koni, a też pacholów i czeladzi drugie tyle, a dwór zasie w Obłęgórze jest warowny jak forteca i ja rozumiem, że bez harmat go nie weźmie.

— Co ty tam żydzie znasz się na rycerskim rzemiośle, ale ja brać Obłęgóra mocą nie choę ani też si! nie mam po temu. Niechże się sobie konfederują, Pan Bóg z niemi a ja też zdrowej głowy nie położę pod ewangelią, ale, słuchajże Jonasz ja ci coś powiem, jeno żydzie nie zdradź mnie, bo ty wiesz czem to pachnie, ze mną żartów nie ma.

— Jonasz nie zdradza nigdy — rzeknie na to żyd.

— Jać to wiem i tak się to jeno gada, owoż słuchajże mnie. Wiesz, że ten Łoś jest srodze zakochany w mej dziewczce Zosi i wiesz, że ja mu jej dać nie chciałem, bo był goły jak bizon, owoż jedź ty teraz do niego, jeno zaraz, i powiedz mu, że mu dziewczkę dam, ale niech się herezyi wyrzeknie i niech tych paskudnych rebelizantów porzuci.

Na to Jonasz:

— Wola wasza panie starosto, pojedę ale nie zaraz, bo mnie jeszcze gdzie chwycą i obwieszą, jeno już jutro jak świt.

— Ano, może ty i masz rację, jedź jutro i spraw się dobrze, a już tego nie pożałujesz. A teraz idź, bo późno, a na odjezdnem przyjdź jeszcze do mnie, może ci co powiem.

Żyd wyszedł i w korytarzu zdybał się z Marysią, a zoczywszy ją, sięgnął do chałata i wydobył też z trzosa on soliter cudny i także oddał mówiąc:

— To od pana z Chełmiec.

Dziewczyna dygnęła pięknie i frunęła, a żyd mofając siwą brodę, wychodził z zamku srodze zamyślony.

Skoro tedy Starosta został sam w swej sypialnej komnacie, tak już nie położył się, ale jeno latał ciągle jak oparzony z kąta w kąt w onej długiej nocnej szacie i zielonych butach, które ile że nie podkute, więc stukotu nie czyniły.

A cisza też była wokoło, ona cisza ogromna, co to ległszy nocą na ziemi, drzemie snem nieprzespanym zda się nigdy. Tedy Starosta nadreptawszy się do sytu po komnacie, podszedł ku oknu i rozwarłszy je, spojrzał w oną ciszę i w noc oną jesienną, która ciemnościami ogarniała ziemię. I była to zasie noc taka piękna, jakiej rzadko dopatrzeć się możesz w tej naszej polskiej Rzeczypospolitej, co to raczej skłonniejszą jest do pochmurnych horyzontów, do burz i deszczu, jak do nieba wygwiażdżonego i czystego cale.

Więc zasie noc to była ciepła, cicha a niemniej przeto szemrząca onym szeptem tajemniczym, onym głębokim oddechem nigdy nie uśpionej natury. Noc to była księżycowa i gwiazdzista cała, a cudowna a piękna nad wyraz. Wokoło zamku wszystko spało, jeno straż włóczyła się leniwo po murach, konie gdzieś w stajni rżały i puszczyk od czasu do czasu zahuczał w baszcie. Od księżyca i gwiazd padały srebrne blaski na oną nizinę szeroką, co u stóp zamkowej góry leżała i całemi płachtami zielonawego światła krasily ją tajemniczo, tworząc z drzew, domów i lasów czarne jakies, niebywale dziwadła...

Zresztą w całym tym obrazie pełnym niezwyklej piękności i majestatu, leżał spokój sielankowy nieomal. I komużby przyszło na myśl, że nad tą piękną krainą z taką spokojną, wisi złowroga burza obcego najazdu, krwi i zniszczenia niesyta? I ktoby już miał poetycką fantazyę, widziałby w onych drzewach ciemnych, w onych chatach chłopskich i w lasach onych, co czerniały na srebrnem księżycowem polu, srogich a zasie w żelazo zakutych rycerzy, którzy tu szli pomścić się Kircholmskiej krwi swojej...

Ale Starosta siedzący w oknie zamczyska swojego, cale nie miał takiej lotnej fantazyi, owszem dumiał on, ale o rzeczach innych i poziomych wielce... Rwały bo się już wonczas w tej znamienitej Rzeczypospolitej, ogniwa tego łańcucha żelaznego, który składały takie charaktery i takie persony olbrzymie jak Zamojscy, Chodkiewicz, Żółkiewscy. Nie o Kircholmskich wawrzynach marzył on syn szlachecki na zamczysku Chęcińskim, on pan niemieckich komesów koroną upstrzony, nie o mieczu i krwi najeźdźnika dumiał, ale o złocie, o mamonie jakby zasie jaki kramarz.

Jakoż tak było. On co niedawno tak srożył się a bundiuczył na Łosia dlatego, że był biedny, teraz zaś, kiedy innemu dał słowo, gotów był dziecko swoje temuż Łosiowi za mizerny pieniądz sprzedać. Toż i było o czem dumać, bo sprawa taka mogła zmażyć na pradziadowski klejnot rzucić.

— I któż Branickiemu ośmieli się rzec słówko? — zawołał zrywając się od onego okna — kto? Wra zasie każdemu!

I znów dreptał po komnacie dobre Zdrowaś Marya i znów stanął i rzekł:

— Inaczej być nie może. Wyiskrzyłem się srodze na one budynki i ozdoby zamku, król też przyjedzie i na Niemcy z nim jechać muszę, albo może dalej, a tu w kalecie nic niema i zaarendować już niema co. Ano, staro się.

Jakoż kiedy o świcie żyd przybył, powtórzył mu nocny nakaz i jechać zaraz ordynował.

Kiedy Jonasz wyjeżdżał z zamku swoją biedką jednokonną, ruch tu już i tumult był wielki. Husarya i rajtarya siadała na koń i wyciągała się w szeregi na zamkowym dziedzińcu, a lekki wietrzyk miotał tylko barwistemi proporcami a słońce przeglądało się w zbrojach i hełmach, konie rażno parskwały i grzebały kopytami, szable dzwoniły i widok to był niezwykle wspaniały onych rycerzy lecących na bój za ojczyznę.

Tedy na dziedzińcu pod jedną z baszt, zbudowano na przódce ołtarz, ile że to był dzień wielkiego święta, bo narodzenie Najświętszej Maryi Panny, królowej onej korony polskiej, i ksiądz Starowolski mszę odprawiać począł. Przeto wszystko ono rycerstwo uknęło na ziemi i słuchało kornie modlitwy, a sam Strasz z Gromadzkim w zbrojach i przy mieczach służyli do mszy. Wszyscy wylegli na dziedziniec i napchany był cały...

Po skończonej mszy ksiądz Starowolski pobłogosławił rycerstwo i gorących też rzekł słów kilka, że krew wylana w obronie ojczyzny i ołtarzy Pańskich, bo najcięższe grzechy obmyje i wieczną bezwątpienia w niebie zgodzi koronę. A potem obracając się do szlachty i starosty, taką uczynił egzortę:

„Że oni starożytni poganie Rzymscy nigdy nie wąpili o zbawieniu ziemi swojej. Kiedy pokonany pod Kannami od wielkiego Hannibala konsul Kajus Terencyusz Warro przybył do bram miasta, cały senat onej rzeczypospolitej dziękował mu, że zasie nie wąpi o obronie ojczyzny. Tak też i wy winniście stać rzeżko a walecznie a mężnie, jak przystało na rycerzy przy sztandarze tej korony polskiej, bo gdybyście i legli nawet, to zaczął to jest rzeczą, a Bóg z kości waszych pobudzi mścicieli!...”

Tedy wysłuchawszy tych słów jak nie ryknie szlachta płaczem, a jaki taki jak się nie rzuci drugiemu w ramiona, a starosta skrzywiwszy się nieco na tę mowę, kazał też w te pędy wytoczyć antalek wina przedniego, a też parę beczek piwa i gorzalki dla ciurów i rajtarów. Więc przyniesiono roztruchan i koleją pito strzemiennego, aż Strasz zoczywszy, że już

słońce wysoko, huknął na koń. Przeto z brzękiem a chrzęstem rzucono się do koni i nie minęło pacierza, kiedy ta jazda pyszna z murów zamkowych waliła na drogę przy okrzykach szlachty i przy huku moździerzy z baszt.

I zrobiła się na zamku wielka cisza po onem wyjściu husaryi, ten i ów stał na murach i patrzył, jak ona jazda ozłocona cała od słońca wiła się po drodze, a ksiądz Starowolski oparty o basztę mówił modlitwy i błogosławił wciąż krzyżem rycerzy onych na bój krwawy.

I smutno się jakoś zrobiło wszystkim. Starosta zaprosił do sali zamkowej na śniadanie i jedzono one w ciszy wielkiej i spokoju, gwarząc ciągle o rycerzach onych i o boju, jaki ich czeka. Tedy ksiądz Starowolski długo a uczenie mówił o dawnych a terazniejszych czasach, o onej płochiej lekkomyślności, z jaką szlachta Szwedowi się poddaje, o onem zwątpieniu strasznem co ogarnęło i najmężniejsze serca.

— A wždy ja to mówię — ciągnął dalej — bo wiem że cale tak źle nie jest z tą Rzeczpospolitą zacząć i wiem też, bom nie młody i dużom zasie widział i na Niemcach i u Batawów i u Franków, że niema tak rozpaczego położenia, w któremby męzne serce a dobrem bliźnich przejęte, nie znalazło ratunku zasie jakiego. Owo źle to jest i grzesznie, że są tacy, którzy sieją zwątpienie, boć kto czytał historię tego świata, to wie, że narodu w kaszy zjeść nie można...

I odpocząwszy nieco, a popiwszy lekkim winkiem, tak ciągnął dalej uczony on ksiądz.

— Ale żeby zasie nie dać się zjeść w kaszy, trzeba posiadać jak się rzekło, męzne serce. Tuszę i wiem napewno, że w naszej polskiej szlachcie dużo serc jest takich, ale są też i tacy, co nie szlacheckie ale kramarskie albolii też dyabelskie posiadają dusze. I widzę ja to, że teraz wszystko się u nas psowa.

Tedy porównywał dawne czasy z terazniejszymi długo i bardzo uczenie i tak kończył:

— Chciwość też teraz wielka jest u nas na pieniądze a snadnie każde obaczyć może, że Rzeczpospolita we wielkiem jest z tego powodu niebezpieczeństwie, bo kto chciwy, to u niego ani żona, ani dzieci, ani ojczyzna i Bog podobno nie jest miły, jeno złoto; gdyż łakomy, jako pospolicie mówią, i Pana Boga by sprzedał. Za ś. p. króla Władysława IV, gdy pod Smoleńskiem leżał, zacnego jednego biskupa hajduk miał na bazarze żonę, która różnemi rzeczami przekupowała, więc że łakomie grosz do grosza przykładła, gdy jej przyszło umierać z niewczasu obozowego, kazała sobie dziewczę mleka dostać, co dać to dać za nie. Owa, mniemając, że pani tego na lekarstwo jakie potrzebuje, z pilnością wynalazła garnek śmietany i przyniosła go jej z ochotą. Wtem konająca każe dziewczę przed szopą pańską szukać męża i wołać go do siebie, która gdy odeszła, owa wzięwszy mleko z garnkiem, wsypała w nie czerwone złote, które na sznurze na sobie miała i poczęła je łyżką jeść pilno, póki by mąż nie nadszedł, a wtem albo się udławiła albowi też siły same ustały, że upuściła garnek z łyżką i mleko rozlała a czerwone złote, których nie dojadła, częścią w garnku zostały, częścią się z mlekiem na ziemię wylały. Przyszedszy mąż pijany a obaczywszy, że czerwone złote pojadła, według animuszu swego hajduckiego, natychmiast ją szablą rozpruł i wybrał jej z żołądka pieniądze i szedł pić za jej duszę na bazar. O czem on zacny biskup dowiedziawszy się, kazał hajduka onego zarazem obwiesić dla jego postępku tak okrutnego. Owo do czego prowadzi chciwość złota.

Tedy szlachta dziwowała się wielce tej opowieści księdza a starosta siedział jakiś milczący i markotny, gdy dano znać, że przybył pisarz grodzki z nagłą wiadomością, jakoby do grodu przyjechało sześciu srogich szlachciców i z pistoletem u łba kazało mu obwieścić manifest konfederacyi heretyckiej.

Usłyszawszy to, starosta porwał się okrutnie zły i czerwony cały od gniewu a wypadłszy do onego skrzbenta, jak nie wsiadzie na niego:

— To ty pogański synu nie mogłeś dać wcześniej znać, żebym wziął tych rebelizantów i w łańcuszki wsadził, bodajże cię zabito!

I krzyczał wielkim głosem, by kto żyw siadał na koń i gonił onych heretyków, co byli tak zuchwali, że prawie pod nosem starości swoje sprosne manifesty obwieszczali. Wszyscy obecni byli powarzeni tym wypadkiem i dziwowali się odwadze onych szlachciców. Przyniesiono też i sam manifest i ks. Starowski go czytał i choć był prawowiernym katolikiem, powiadał przecież, że jest dobrze napisany.

Pogoń nikogo nie wynalazła, jeno wróciwszy mocno zhasana koło południa, doniosła, że heretycka konfederacya tej nocy siadła na koń i pojechała do Szweda, a wieść tę potwierdził Jonasz nad wieczorem, co jeszcze bardziej gniewnym i markotnym czyniło starostę, że jego zamysły względem Łosia wcale nie przysły do skutku, a nie wiedział też, że one nagłe ruszenie konfederatów było następstwem listu jego własnej córki.

X.

Pochód.

Kiedy się to działo na chęcińskim zamku, tymczasem u Wolborza stał król polski, on pomazaniec Boży i zbierał zewsząd siły, by oponować się najezdnikowi.

Ku Wolborzowi tedy szła ona pyszna husarya i rajtary pod hetmaństwem Strasza, wedle królewskiego ordynansu. Ale że to Strasz był wódz przezorny, ile że już w niejednej był wojnie i nieraz za tę miłą ojczyznę łba nadstawiał, przeto szedł wolno a niewiele, by zasie zwierzał i ludzi nie bardzo zdrożyć i kiedy przyjdzie do batalii, by nie byli pomęczeni. Tym rzecz to była konieczniejsza, ile że dni acz jesienne były srodze gorące i piękne a niebo jakby naprzekór tej polskiej ziemi coraz czarniejszemi pokrywającej się chmurami, było przedziwnie czyste i błękitne, jako oczy osiemnastoletniej dziewczyny. I już w tym pochodzie swoim rycerstwo one wielce się lubowało tej

jesiennej ciszy i temu złotu, jaka ta pora roku hojną rozsiewa na pola, lasy, ziemię i niebiosy. Tedy żółciło się rżysko po niwach, a na nich w dziwnie sielskiej swobodzie i pokoju pasły się trzody owiec, bydła i koni. Góry, nader liczne w onem województwie, jeno na przodzie onego wojska zakotłowało niały rozkosznie, lasy całe zda się polane były roztopionem złotem i pofarbowane purpurą. I jak powiadam, wiała z tego taka jakaś piękna idylla, taka niezakłócona cisza i pokój, że kiedy Strasz pojrzał na to wszystko i pomyślał, że niedługo tej krainie krwią może przyjdzie spłynąć i nie czerwienią liści jesien-nych ale czerwienią pożaru skraśnić, to mu tak smutno się na duszy i sercu zrobiło, jakoby temu, co na ścieście idzie.

Ale otrząsł się wkrótce on rycerz z tego przykre-go uczucia, ile że przypadł do niego od przedniej straży niemieckiej rajtaryi starszy i doniósł, jakoby od lasu, co czerniał od prawego boku o jaką dobrą milkę, błyszczą pod słońcem jakieś długie szeregi jazdy.

Tedy Strasz przypadł na koniu na jedno ze wzgó-ry, któremi pofalowana była ta okolica i popatrzał. Przed nim niedaleko czerniała wieś, zwana Mnin, dalej były góry i góry, a na prawo jako rzekł on Niemiec, z lasu o milkę niewielką występowały szyki jak-kieś i szły ku traktowi do Radoszyc. Bronie ich, zbroje i hełmy błyskały pod słońce jak roztopione złoto, i z dala srodze wielkiem wydawało się być ono wojsko. Tedy Strasz popatrzywszy na nie i nie wiedząc ktoby to być mógł, a widząc że idą tą drogą, którą i jemu wypadało iść, acz miał zamiar ominąć Radoszyce i iść prosto na Żarnów, wszelako trudno byłoby uniknąć spotkania z onem wojskiem, przeto chcąc się dowiedzieć, przyjaciel li to czy nieprzyja-ciel, huknął na swoich, by stanęli.

Było to już koło południa i srodze było gorąco, konie i ludzie pod ciężką zbroją pieczeni od słońca ledwie dyszeli. Tedy pojrząwszy Strasz po swoich, milczał chwilę, poczem kazał ruszyć i zająć oną wieś Mnin i tam zsiadłszy z koni, odpocząć nieco

całemu rycerstwu. Potem zasie wezwawszy do siebie Gromadzkiego rzecze:

— Mój Jędrus, weźże ze dwa dziesiątki rajtarow i pojedźno, a obacz, co to są za rycerze pod onym lasem, a jeśliby to był Szwed, co być jednak nie może, bo skądżeby on się tu wziął, albo jaki inny nieprzyjaciel, to dostańże mi języka, jeno bądź ostrożny, bo wiedzieć nam trzeba jaka to tam jest potęga nim na co rezolwować się przyjdzie.

Tedy Gromadzki uczynił tak. Jakoż wybrał na ochotnika dwudziestu tegich rajtarów i ruszył. Strasz odprowadził go za wieś i stanawszy na wzgórzu, patrzył, ile że stamtąd wszystko było widać jako na dłoni. Ono wojsko szło wciąż pod lasem drogą na Radoszyce. Teraz kiedy pokazało się całe, nie było ono tak wielkie, na oko może ze dwieście koni, a za nim szły wozy i bryki i telegi rozmaite a naładowane srodze. Wleczono też na końcu dwie śmigownice, okrutnie jakieś długie.

Gromadzki ruszył bokiem, tak, by go nie widziało, zakrył się poza góry i może we dwa pacierze wypadł wielkim pędem na drogę, na zadnie szeregi onego wojska, tuż na one śmigownice. Leciał jak szalony a kurz wielki się wzbił, tak że nic nie było widać, jano na przodzie onego wojska zakotłowało się jakoś, tu i tam poczęli latać i wszystko stanęło. Tedy zaraz ozwał się huk, raz i drugi i trzeci. Potem już grzmiąły strzały i coraz większe było zamieszanie, przednie szeregi onego wojska poczęły się zwracać i wrzało wszystko jak w garnku. Kurzawa ogromna podniosła się w górę i nic nie było widać.

Przeto Strasz przekonał się, że to nieprzyjaciel — i zaraz nakazał trąbić, by siadano na koń i wychodzono za wieś, na pole. Co żywo skoczyło rycerstwo i rajtary. Aż też patrzy Strasz a z onego kurzu wymyka się gromadka i pędzi co koń wyskoczy, a za nią całe ono wojsko i wciąż pluja z rusznic aż strach. Tedy Strasz krzyknął, by się formowano i zaraz też pchnął pięćdziesiąt koni na pomoc Gromadzkiemu, który rwał ku niemu co sił.

Już też zaraz inaczej się zrobiło. Obaczywszy nieprzyjaciela ową husaryą Strasza i rajtarów, wstrzymał się i nie gnał już tak Gromadzkiego — owszem począł się kupić i popatrzywszy jeszcze czas jakiś, umknął w las co żywo.

Przypadł Gromadzki ze swoimi rajtarami, okrutnie zmęczony. Obstąpią go na wszystkie strony i dalej pytać: a kto to, a co to, jakżeś się wymknął, czy to Szwed i t. d.

Tedy Gromadzki, odsapnąwszy trochę, rzecze:

— Nie Szwed ci to jest, bo skądżeby tu był, ale to jest ona heretycka konfederacya z Oblegora, pod komendą Łosia.

— Patrzajże, to te niecnoty heretyki? — krzyknie Strasz.

— A onić, oni — rzeknie Gromadzki — nie wiele to tam tego i same tałatajstwo, we sto konibym to rozpędził. Ale mają oni trochę piechoty i też dwie armaty i to ta piechota mi się oponowała, bom na nią najprzód najechał. Zabili mi pogańskie syny dwóch rajtarów i zasie ranili kilku.

— Ano — rzeknie na to Strasz surowo — nie trzeba było na nich najeżdżać, inny był ordynans.

Kiedy to nie skoczy Gromadzki:

— Panie bracie, kazałeś przywieść języka, owo go masz. Inaczej nie mogłem zrobić, a nie jestem też żaden junak, bym po próżnicy szukał guza. Zrobiłem jakżeś kazał, owo jak płacisz moje usługi.

A na to Strasz:

— No, no, nie gniewaj się Jędrusiu, opowiedz jak to było.

— A cóż opowiadać, a tymczasem oni uciekną, jak ich przetrzepiemy, to opowiem. Każ panie poruczniku ruszać i basta!

— A kiedy my z niemi bić się nie będziemy — rzeknie na to Strasz.

Gromadzki wyłupił oczy i zawołał:

— Ejże panie poruczniku nie kpij, bo mi nie do żartów teraz.

— Ale proszę ja ciebie, mój Jędrusiu, ja wcale nie kpię, bić się nie będziemy.

— Jakże to, więc ich tak puścisz?

— A tak, opowiadaj coś zrobił!

Tedy Gromadzki obrócił się do towarzyszy i zalał rękę, a całe też rycerstwo poczęło szemrać.

Kiedy to Strasz usłyszy, zaczerwieniał się cały jak alkiermas i kiedy nie zepnie konia a przypadnie z buzdzyganem w rękę do szeregów i nie huknie:

— Milczcie! wara! Ja tu hetman, ja odpowiadam i rządę.

Srogie zapanowało milczenie, ale w dali jeszcze szemrano, osobliwie między rajtaryą niemiecką, ile że żał mi było zabitych towarzyszy. Więc skoczył tam wściekły Strasz, i jak nie wytnie buzdzyganem pierwszego Niemca, aż spadł z konia z łbem okrwawionym, tedy i drugiego tak poczęstował, aż mu trzasła ona buława, i strach wielki wziął onych Niemców i cicho było jak w grobie, jenoś wierszcze śpiewały po rżysku.

— Chamy, pludry! Wara wam tam mówić, gdzie szlachta rządzi — wrzeszczał Strasz i młotał się na koniu.

Aż przypadnie do niego ten i ów i dalejże go mitygować i Gromadzki też przyskoczył i dalejże prosić:

— Franusiu, mój bracie, mnie bij, bom ja winien.

— Ale proszę ja ciebie — mruknął Strasz jeszcze gniewny, ale już mitygując się — buntujesz mi wojsko!

— Bijesz mnie, bij za to, mój Franusiu — lamentował Gromadzki.

Tedy Strasz uspokoił się i rzekł, ale jeszcze z wielką alteracją w głosie:

— Tak czynisz, jakobyś nie wiedział, że ja mam ordynans królewski i hetmański wyraźny: iść, omijać wszystko, coby mnie zasie mogło zatrzymać i przywieść wojsko zdrowe. Owo straciłem już przez ciebie kilku ludzi, a wiesz, że przestąpić nakaz czasu wojny

gardłem pachnie, a wiesz też dobrze, że z Łosiem wojować ja wcale nie chcę.

Na te słowa przypadł do niego Gromadzki i obłapiwszy go za szyję, ryknął na pół z płaczem:

— Owo przebaczyć mi Franusiu, ja wiem, że ty masz wielce wspaniałą animusz, przebaczyć mi, proszę ciebie.

Uściskał go nawzajem Strasz, bo było u niego takie przyrodzenie, że zrazu wielkim zapalał się gniewem, ale też i prędko ostygł, więc tak było i teraz: Ale już nie odpoczywano w onym Mninie, jeno ruszono dalej, już nie drogą na Radoszyce, ale na Przedbórz, co czynił Strasz dlatego, żeby się znowu z oną konfederacją nie zdybać.

Uszedłszy ze dwie mile, stanęli we wsi Borowej i tu już nocować miano. Strasz acz się umitygował, przecież gniewny już był i nieswój cały dzień, owsem stał się srogi dla onych knechtów niemieckich. Owo obaczywszy jednego z nich, że jest pijany, kazał mu sto batów dać, aż Niemiec ziemię gryzł z bólu, a już nad samym wieczorem wysłał ich w pięćdziesiąt koni na podjazd ku Radoszycom z surowym przykazem, by języka dostali o onym konfederackim wojsku.

Jakoż późną już nocą powrócili oni rajterowie i przywieźli ze sobą niewolników kilku. Zaraz Strasza obudzono i taką oficer ich zdał ze swej wyprawy relacją:

— Że we wsi Jakimowie najechali na dwadzieścia koni onej konfederacji, która też podjazd wysłała, bo stanęła obozem w Radoszycach, że całkiem prawie wysiekli onych heretyckich szlachciców, jeno żywcem wzięli trzech a między niemi samego komendanta podjazdu.

Tedy Strasz pochwalił rycerski rajtarów animusz i kazał przywieść do siebie onego komendanta. Był to sobie szlachcic kusy a krępy, z okrutną gębą i pokiereszowaną szkaradnie. Miał na sobie kubrak jakiś brudny, co był niegdyś białym i buty haniebnie dziegiem wysmarowane. Wszedł buńczuczno i oatrzał srogo na Strasza.

— Jak się waść zowiesz? — pytał tenże.

— Koryciński, mości poruczniku.

Jakoż on to był i już w początku wojny tak mu się nieszczęśliwie powiodło. Najechali go rajtarowie z nienacka, kiedy sobie ze swą komendą zaszedł do żyda arendarza i golił śmierzdiuchę, a choć się bronił walecznie i niejednego rajtara naznaczył, aleć w końcu go wzięli i na łyczku przywieźli jako jeńca. Acz i teraz czuł, że go mogą obwiesić jako rebelizanta, nie tracił wcale jednak fantazyi i nosił się górnio.

Tedy Strasz tak dalej pytał:

— Czyś waść heretyk?

— Jako żywo nie, żaden Koryciński heretykiem nie był, pfuj! — i splunął.

Usłyszawszy to Strasz, zmarszczył srodze brwi i huknie:

— Jakto, taki a taki synu, toś ty katolik a u heretyków służysz? czekajże, dam ja tobie.

I krzyczał, by szukano drzewa z mocną gałęzią, bo ten pogański syn jest ciężki, jako widać.

Ale Koryciński widząc, że kuso, zmiękł i krzyknął:

— Mości panie, jestem szlachcic — a też wysłuchaj wprzód i nie sądz, bo zgubisz mi duszę na wieki.

I inni też szeptali Straszowi, by wysłuchał, co powie ten szlachcic.

— No to mów, psia jucho, co masz powiedzieć — mruknął Strasz.

Tedy Koryciński opowiedział dokumentnie, jako się dostał do onej konfederacyi, że jeno przypadkiem, że gdyby nie pojedynek ze Stapkowskim, toby tam wcale nie był, bo się brzydzi wszelaką herezyą, ale cóż miał robić, kiedy szlachta go chciała zasiekać.

— Toś ty tak okrutnie posiekił Stapkowskiego? — pytali wszyscy.

— Ano ja, alem temu nie winien, po co sobie kpił ze szlachcica.

Dziwowali się więc wszyscy, że taki kusy takiego olbrzyma pokonał i oglądali go ze wszęch stron ciekawie.

Gromadzki opatrzywszy go także, przystąpi do niego i rzeknie:

— Owo panie bracie, ja ci powiem, że ty musisz być rębacz, kiedyś posiekł takiego Stapkowskiego.

— Albo co?

— Bo on z nas wszystkich najlepiej szablą robi.

— O wa, nie takich ja obcinał jak Stapkowski.

— A dałeś się wziąć Niemcom na smycz — mruknie Strasz.

— Alem ich nasiekł dobrze, a też bestye pludry nie umieją po szlachecku się bić i w tem jest rzecz. Omotali mi szablę jakimś kubrakiem i tak wzięli.

Oglądali go jeszcze wszyscy i cicho było. Strasz usiadł sobie na ławie i rzeknie:

— Dużo tam tych konfederatów jest?

— Dwieście koni było, ale teraz niema, ale to tałałajstwo, nic się nie zna na wojnie, okrom mnie i jeszcze kilku szlachciców.

— Ja to mówiłem — wtrącił Gromadzki — że to tałałajstwo.

— A skąże ty wiesz o tem, byłeś tam, czy co?

— spytał Koryciński.

— A byłem, bom przecie wczoraj w południe was najechał we dwadzieścia koni.

— Toś to ty był? ano widzisz, żebyś miał więcej ludzi, byłbyś ich wcale rozegnał, takie to tchórzem podszyte. Owo i tak nam kilkunastu zaraz po twoim napadzie uciekło, a też, żebym był miał innych ludzi, nie tak łącznoby mnie te Niemcy pojady. Owo co to jest mieć komendę nad ludem nierycerskim.

Na to ozwie się Strasz, który oparłszy głowę na rękach, słuchał i dumał.

— Widzi mi się, że za tę komendę głowę zapłacisz.

Zbladł nieco Koryciński i spojrzawszy srodze na Strasza, rzeknie:

— Nie czyni tego panie, owo jam jest stary żołnierz i w niejednej byłem potrzebie, ano będę ci służył i Rzeczypospolitej wiernie.

Wstawili się też i inni za nim, a choć Strasz upierał się i chciał koniecznie w łańcuskach powiesić Korycińskiego do obozu królewskiego, jednakże zmiękł; darował mu życie, jeno kazał mieć pilne na niego oko.

Wziął go więc do swej kwatery Gromadzki i inna też starszyzna tam poszła i już sobie popijali winem całą noc i krotchwile różne czynili. Koryciński wesół, jakby się drugi raz narodził, pił jak gąbka, a prawil niestworzone rzeczy. Szlachta się zeń śmiała, a Gromadzki pytał, skądby on był rodem.

— Owa, jakiś ty ciekawy, a też nieuk jesteś wielki — ozwie się na to Koryciński — bo żebyś czytał stare kroniki i pisma, tobyś zasie wiedział, skąd idą Korycińscy. Ale ja ci to powiem.

I popiwszy wina, tak prawil:

— Otóż tak to jest. Korycińscy wywodzą swą nazwę od Koryta, wsi w województwie Mazowieckiem...

— Od Koryta? No, to wcale nie piękne pochodzenie — mruknął basem imćpan Hincz, towarzyszonej chorągwi.

Koryciński spojrział nań srodze i rzekł:

— Już ty sobie gęby mną nie wycieraj, proszę ja ciebie, kto tam jesteś, boć cię nie znam, a też wiedz, żebyś mi tu niewiem co gadał, to się z tobą bić nie będę, ani też z żadnym z was, jak tu jesteście, bo jak posiekam którego, to mnie wasz Strasz obwiesić każe. Owo co jest...

— Ano, ma rację — rzeknie Gromadzki — już go nie kasajcie. A ty zasie mospantie Koryciński nie bądź taki gorący, bo i u nas krew nie woda, a na krotchwili powinienes się znać.

— No, no, już ty mi nie gadaj, na czem ja się mam znać a na czem nie.

— A cóż to za bestya rogata! — wrzśnie Gromadzki i porwie się cały już gniewny.

Ale Koryciński spojrział nań, mruknął coś pod nosem i nasadziwszy czapkę na łeb, miał się ku drzwiom.

— A gdzież to wiesz? — spytał Gromadzki sro-
dze zdziwiony.

— A za drzwi, panie bracie, bo widzi mi się, że
mnie chcecie zjeść.

— Siadajno, siadaj, nikt cię tu nie zje — ozwie
się Gromadzki już spokojny — my tu nie żadne ludo-
jady, byśmy szlachciców jadali. Siadaj waść i gadaj;
no, napij się ze mną.

Lecz Koryciński zagłuszany już nie chciał opo-
wiadać.

Każden przeto poszedł do swych koni i czeladzi i
niebawem ruszono drogą na Przedbórz. Dzień był
mglisty i posepny, jesienny, niebo całe pokryte chmu-
rami i wkrótce zaczął kropić kapuśniaczek, z czego
widno było, że ta niepogoda co najmniej cały dzień
trwać będzie. Każden okrył się czem mógł, ten der-
ką, ten burką, ów kapuzę na łeb zadział i tak wlekło
się to wojsko powoli, ile że droga coraz gorsza się
stawiała, bo ziemia miękła od deszczu, aż wozy lgnę-
ły i trzeba było nieraz konie przyprzegać, by je z
błota wyciągnąć.

Kiedy tak jadą a deszczyk kropi aż miło, zbliży
się Strasz do Korycińskiego, który drzemał na szka-
pie i kiwał się, a deszcz mu po głowie ciurkiem się to-
czył i zbudziwszy go, rzeknie:

— Słuchajno waść, chcę z tobą pogadać.

Przetarł oczy Koryciński, ziewnął okropnie i rzekł:

— Ano słucham.

— Powiedzże mi, gdzie ten Łoś ciągnie ze swą
konfederacją?

— A do Szweda.

— To ja wiem, jeno którą drogą?

— Chciał iść na Opoczno do Drzewicy, ale jake-
ście go tak spłoszyli, a co gorsza podjazd jego dziś
w nocy znieśli, to już nie pójdzie na Opoczno, jeno
bokiem na Końskie i Przysuchę.

— No to my się z nim nie spotkamy?

— Ano oczywiście, kiedy idziesz na Przedbórz.

I ziewnął znowu okropnie i mruknął:

— Hm, u kąt z tym deszczem i zimno i mokro.

Strasz począł:

— A dlaczegożście wy się, panie bracie, tak wcześnie porwali do tej drogi?

— Ano dla tego, żeśmy się dowiedzieli o waści.

— Jakże to?

— A tak, że stoisz w Chęcinach i że chcesz najechać Oblegór, w nocy tedy zabraliśmy się i w drogę.

— A skądże wiedzieliście o tem? — pytał Strasz zdumiony.

— Tego to ja dokumentnie nie wiem, widziałem jeno, że przyjechał do Łosia w nocy jakiś żyd z Chęcin i list mu oddał. I zaraz po tym liście Łoś nakazał ruszać.

— Od kogo był ten list? — pytał Strasz czerwony cały.

— Czy ja wiem? Pracki...

— To i Pracki tam jest?

— A jest, owo Pracki odchodząc od Łosia przeszedł koło mnie i śmiał się a mówił: Ot Koryciński jaki ty głupi, żeś uciekł od bab, ot widzisz i podwika się na coś zda, owo widzisz, podwika nas dziś z wielkiej biedy wyratowała. Przeto ja go się pytam: jakże to? — Ano tak, odrzekł Pracki, bo ostrzegła Łosia, że dziś w nocy husarya Myszkowskich ma nas najechać. Cóż to za jedna? ja pytam. A tobie co do tego? odrzekł i poszedł. I zaraześmy potem siedli na koń i więcej nic nie wiem, ale ja rozumiem, że to musi być mądra niewiasta i jakieś ma konszachty z Łosiem a też i w Chęcinach coś znaczy, kiedy tak prędko nas ostrzegła. Ale co to białogłowy!...

I nie skończył, bo Strasz czerwony jakiś cały spał konia i w szalonych szczupakach pognał naprzód.

— Oszalał czy co! — mruknął Koryciński i znow począł się kiwać na swej szkapie.

XI.

B i t w a.

Srodze się ludzie i zwierzęta pomęczyli tym mar-
szem do Przedhorza po rozmięknietej gliniastej ziemi.

wśród ciągłego deszczu. Kiedy przeto koło południa stanęli w onym miasteczku, to już Strasz nie kazał ruszać dalej, jen^o rozkwaterować się po izbach żydowskich i tak czekać do jutra piękniejszej pogody. Skoro się tedy rycerstwo pokryło przed onym deszczem, Strasz wezwał do siebie imię pana Hincza i kazał mu ruszać samotrzeć do króla jegomości do Wolborza z wieścią, że chorągiew Myszkowskich już idzie i za dwa dni najdalej przystawi się do wojsk królewskich, a też zarazem, żeby doniósł o rebelii Oblegorskiej i o ich wojsku, które idzie do Szweda na Konskie.

Tak się ułatwiwszy ze sprawami publicznymi, został sam i zamknawszy drzwi swej kwatery, dziwnie sępnął i założywszy ręce za siebie, chodził tak po izbie wielkimi krokami. Owo głęboko nad czemś dumiał a z dumania tego wypadały widocznie coraz smutniejsze wnioski, bo coraz czarniejszą chmurą okrywała się twarz onego rycerza. Jakoż tak było, bo wkrótce buchnął wielkim płaczem a łzy mu po policzkach spływały strumieniem.

— Ani chybi — szeptał — że to ona ten list pisała, a w tę samą godziną przyrzekała mi swoją rękę. Tożem ja głupiec dopiero...

I rzucił się na ławę i oparłszy rękami na niej, obie pięście przyłożył do oczów i tak kilka pacierzy przesiedział. A już w tem cichem milczeniu przelatywały się w nim wszystkie boleści i cierpienia, bo wstał ze spokojem na twarzy acz z niezwykłą bladością i przetarłszy oczy, poszedł do drzwi i rozwarłszy je na oścież, kazał czeladnikowi prosić pana Gromadzkiego, by raczył do niego zajść na chwilę.

Jakoż niedługo wszedł Gromadzki i Strasz kołując nieco opowiedział mu, jako zaczawszy się Korycińskiego pytać o rzeczy publiczne dowiedział się innych, domowych i takich, które mu srodze dojadły a serce haniebnie zraniły. Wysłuchawszy tego wszystkiego Gromadzki, wsparł się na stole i dumiał, poczem rzekł:

— No, i cóż z tem zamyślasz czynić, panie bracie?

— Ba, w tem to rzecz, ja sam nie wiem, bom jest

srodze zmartwiony i wszystko mnie boli, ale widzi mi się najlepiej pono będzie odesłać słowo starości i swego zażądać.

— Otóż nie, toby było wcale głupio, bo najprzód jak się dało słowo, nieszlachecka rzecz jest je cofać, chyba żeby tam tego chcieli; powtóre nie wiesz jeszcze napewno, czy to wszystko prawda.

— Aleć oczywiście że prawda, Koryciński to ga-
dał...

— Koryciński, Koryciński! taki obieżyświat.

— No już cię tu nie zelgał, to ja wiem, bo jak sobie teraz kalkuluję różne rzeczy, to mi się to wydaje jasnym. A przytem Koryciński ani mnie ani jej nie zna, cóżby za interes miał tak haniebnie łgać.

— No, jak jest tak jest, a ja ci Franusiu powiadam, czekaj.

— Czekaj, czekaj! a tu mi serce pęka. Żebym mógł i żeby nie szło o tę Rzeczpospolitą, tobym dziś siadł na koń i poleciał do Chęcin i dowiedział się o wszystkim. Ale ty masz rację, trzeba czekać, jeno ja tego końca nie doczekam, ja sobie łeb gdzie o ścianę rozbiję, bom srodze rozmiłowany w tej dzieweczce. Owo co jest!

I załamawszy ręce, ryknął wielkim płaczem a zaraz mu też zaczął wtóżyć Gromadzki i tak sobie płakali ci dwaj przyjaciele.

Ale już nie na pociechę szło to wszystko Straszowi, owszem ogarnął go taki jakiś smutek, że kiedy na drugi dzień o świcie wyruszono dalej i choć dzień był po wczorajszym deszczu arcypiękny, to on jechał ze spuszczoną głową, jakby zasie jaki delikwent, w srogich dumach pogrążony. Tedy dziwowało się temu całe wojsko, ale że to, jak powiadam, dzień był piękny, jesienny a złoty cały, więc weseli byli wszyscy, a wiadomo, że kto wesół, to nie rad patrzeć na cudzy smutek.

Tak sobie postępując, zdybało ono wojsko na popasie przy karczmie jakiejś w lesie, wielką a pańską kalwakatę, która tu sobie także spoczywała. Gromadzki, który jechał na przodzie dopytał się u hajdu-

ków, że jadą z Sulejowa od króla Jegomości, że ich pan zwie się Stanisław z Brzezia Chrzastowski. Dał tedy znać o tem Straszowi, który włókł się przy końcu, jakoż Strasz zaraz przypadł, kazał wojsku stanąć, odpocząć, konie nakarmić i napoić, a sam z Gromadzkim ruszył do imię pana Chrzastowskiego, którego znał dobrze i miał dla niego wielkie poszanowanie, ile że pan Chrzastowski acz nie senator, przecież był powiatowym dygnitarzem, bo podsędkiem generalnym krakowskim.

Zastali go w wielkiej izbie karczmy, skąd bachurów żydowskich hajducy wygnali i okrywszy jako tako dywanami, zastawili podróżne śniadanie. Człek to był już nie młody, łysy całkiem, z okrutnemi wąsiskami i czarnemi oczyma. Twarz była surowa i nosił się po polsku, więc był w podróżnej kierezyi przy szabli i z obuszkim w rękę.

Zoczywszy Strasza poznał go zaraz, uściskał i prosił, by siadł do śniadania. Jakoż Strasz zaprezentowawszy Gromadzkiego, uczynił to. Poczęli dyskutować i owo co Strasz się dowiedział od Chrzastowskiego.

— Że król Jegomość już nie w Wolborzu, jeno w Sulejowie stoi, że jest okrutnie sfrasowany, bo przyszła dziś rano wieść, że Szwed zajął Warszawę bez wystrzału nawet, w sam dzień Narodzenia Najśw. Maryi Panny.

Usłyszawszy Strasz aż skoczył na ławie i rzekł:

— Jakto? Więc się nie bronili, przecież komendantem król ustanowił starostę Makowskiego?

— I cóż z tego? — odezwie się Chrzastowski — imię pan Wessel uciekł na trzy dni przed pojawieniem się Szweda. Owo jaki to jest rycerz, a mieszczańkowie bronić się nie chcieli i tak stolicę Rzeczypospolitej zajął nieprzyjaciel. Słyszę, że sto armat znalazł w cekhauzie, co to je król Władysław jeszcze ulał, i jak dotąd armat nie miał tak teraz je ma, aż zapłakał obaczywszy one armaty taki był wesół. Ale to jeszcze nie wszystko, co ja waszmościom powiem.

Tedy Strasz spuścił głowę i zafrasował się sro-
dze, a Gromadzki aż motał na palec wąsy z wielkiej
irytacji.

— Przyszła też do króla wiadomość — ciągnął
dalej pan Chrzastowski — że na Litwie hetman Ra-
dziwił jakieś konszachty ze Szwedem i Radziejowskim
czyni, że Lwów ledwie się trzyma, tak do murów
Chmielnicki zawzięcie strzela. Jakoż ja sobie myślę,
że to już przyszła ostateczna ruina i upadek tej na-
szej Rzeczypospolitej, ile że Szwed okrutnie nastaje na
króla, bo jakim dziś wyjeżdżał, to przyszła wiado-
mość, że Wittenberg z wielką siłą idzie na obóz kró-
lewski, i już do obrony się tam wojska sporządzały.

— Ano to i nam trzeba ruszać — porwał się
Strasz — i dziś jeszcze musimy być w Sulejowie choć-
by mi połowa koni paść miała.

Jakoż odpocząwszy nieco ruszono zaraz, lasami,
bo kraj tu był lesisty, stąd lżejsza droga, słońce tak
nie piekło. Ale nie uszli i dwóch mili, kiedy przy-
padł na spienionym bachmacie imć pan Hincz z or-
dynansem królewskim, by chorągwie pana Strasza
szły prosto na Opoczno i nie zatrzymując się tam,
stały obozem we wsi Straszowej Woli, dziedzictwie
pana Strasza, i żeby to dziś w nocy jeszcze się stało.

Usłyszawszy to Strasz rzeknie:

— Ano to tam będzie bitwa, i chudoba moja z
dymem pójdzie, ale niechże to będzie dla milej ojczy-
zny ofiara.

A obracając się do Hincza, spytał:

— Powiedźże mi waszmość, cóż tam słyhać wię-
cej?...

— A cóż? dziś rano była bitwa z Wittenbergiem
pod Opocznem.

— Była bitwa? gadajże mi, jakże to było, zwy-
ciężyli nasi?

— A jakże, pobili Szweda.

— Opowiedź jak to było?

— Owo tak. Dziś rano dano znać królowi, że
Wittenberg z samą jazdą, w ośm kolumn uszykowaną,
idzie na Opoczno. Tedy król wyprawił 12 chorągwi,
aby nad rzeką Drzewicą bronili przeprawy, dopóki

król nie zbierze wojska i nie będzie mógł oponować nieprzyjacielowi. Sprawili się dobrze nasi i nie spodzianie napadli nad rzeką pod Opoczmem miastem, na prawe skrzydło szwedzkie, które ile że zdrożałe legło tam spokojnie, wykielznawszy konie, na zboża je rozpuścili, nie spodziewając się nieprzyjaciela. Nasi razili ich potężnie, a gdyby do nich więcej wojska przybyło, mogliby znieść wszystkich. Lecz król umyślnie wstrzymywał naszych, bo mu dali znać, że za Wittenbergiem idzie sam Karol Gustaw z piechotą i armatami. Tedy jutro będzie wielka batalia, jak król szwedzki nadspieszy a nasi ściagną wszystkie chorągwie. Owo co jest, teraz nasi stoją w Opocznie, wygnawszy Wittenberga.

— Ano to i jest początek, będzie też i koniec z tym Szwedem niedługo — rzekł Strasz wesół okrutnie i zaraz kazał całe wojsko zawiadomić, że nasi Wittenberga nieco poznaczyli pod Opoczmem.

Radość była wielka z tej okazji i przyspiewywano sobie a bundiuczno i szumno, grożono Szwedowi. Marsz też dalej szedł prędko i ochotnie. Jakoż późną już nocą dobili się do Opoczna, gdzie Strasz zaraz poszedł do JW. Kasztelana Kijowskiego i meldował mu się. Tedy pan Kasztelan nakazał mu nieco odpocząć w mieście, konie nakarmić, broń obejrzyć i przed samym świtem ruszyć nad rzekę Drzewicę do Straszowej Woli.

— Jeno idź mi panie poruczniku ostrożnie, bo są posłuchy, że Wittenberg zajął twoją wieś. Jeżeli tak jest, dawaj zaraz znać, a sam miej go proszę na oku. Owo cały ordynans, niech cię Bóg prowadzi.

Robił się już szary, jesienny poranek, chłodnawy nieco, ale taki cichy, taki senny i spokojny, jakby zaś odbyć się miało jakie uroczyste weselisko a nie krwawa wojna, kiedy Strasz na czele swojej husaryi i rajtarów ujrzał, wyszedłszy z lasu, wieś swoją rozłożoną nad rzeką, czarną i obłąną purpurą od ognisk, jakie Szwedzi naokoło palili.

Nie czekając tedy, wysłał zaraz Hincza samoczwarę z relacją do JW. Kasztelana, że Szwedzi stoją w Straszowej Woli. To uczyniwszy kazał wyjść swoim

chorągwiom z lasu i poczał je sprawiać. Był to niezwykle piękny widok, kiedy ten rycerz w hełmie i zbroi, z lamparcia skórą na barkach i z gołą szablą w rękę, z okiem zaiskrzonym i groźnem przebiegi szeregi, uszykował je, poczem wystąpiwszy naprzód, huknął wielkim głosem pieśń: Boga Rodzico! Tedy całe rycerstwo poczęło mu wtórzyc i pieśń ta rosnąć ogromnie wśród cichego jesiennego poranku, biegła daleko po rosie i nappełniała świat sobą...

Szwedzi usłyszawszy to i obaczywszy one chorągwie pod lasem stojące, porwali się do koni i powoli a leniwo wychodzili chorągwiami i ustawiali się w szyki, ile że jeszcze ciemnawo było i niewiele rozpoznać można było. Zaraz też z obu stron wyszli harcownicy i ubijać się ze sobą poczęli po polu. Wyjechał też i imć pan Koryciński na harc w misiurce jakiejś starej na łbie i z mieczem swoim okrutnym, a był zasie pod dobrą fantazją, bo leciał na swej szkapie jak szalony. Jakoż nie wyszło i pacierza, kiedy wrócił prowadząc na smyczy jakiegoś srogiego Szveda i przywiódłszy go przed Strasz, rzeknie:

— Owo mam niewolnika.

Tedy Strasz:

— Ano dobry początek mości panie!

— Będzie taki i koniec. Ale ja coś waszmości powiem.

— No!

— Oto na lewem skrzydle, widzi mi się, stoi Łoś ze swą konfederacją, owoż gdybyś mi waszmość dał swych rajtarów, tobym nań poszedł i sparłszy wtrucił go w bagna i błota, co tam są za nim.

Ale Strasz nie odrzekł, bo w tejże chwili harcownicy wszyscy poczęli umykać się ku niemu. Zrobił się już dzień i widno było. Owo Szwedzi ruszyli się naprzód, a wysadziwszy kilka armat na przodek zaczęli raz po raz dawać ognia. Kule jak osy bzdykały wokoło i z poza dymu widać było, jak rajtary szwedzka gotowała się do bitwy.

Strasz obejrzał się na swoich. Ten i ów jęknąwszy, padał na ziemię postrzelony od kuli i konie też

— Ano to oni nas tu wystrzelają jak kaczki! — huknie Strasz — ej, mościpanowie!...

Lecz nie skończył, bo w tejże samej chwili z lasu poczęły się sypać wojska polskie i szykować do boju, a zaraz też przypadł do Strasza Kasztelan Kijowski na ognistym białym bachmacie, w rysiej burce czerwonym atembasem podbitej, z buzdyganem w rękę i rzekł:

— No, poczytajcież nam w imię Pańskie!

Huknął więc Strasz na swoich i odwaliwszy rękawy od kontusza tak po łokieć golusienką ręką dzierżył szablę i szedł naprzód. Szli sobie tak wolno, acz armaty szwedzkie były gęsto i raziły okrutnie, dopiero gdy już wojsko od wojska nie było nad czworo staję. Strasz kazał złożyć się kopijami i krzyknawszy: Jezus, Marya, Józef! z okrutną fantazyą i inpetem uderzył na nieprzyjaciela. Dopieroż bitwa tęga i trupa leci moc, ale Szwedzi trzymają się ostro i rzezanina straszna.

Widząc to kasztelan kijowski, posłał jeszcze dwie lekkie chorągwie na sukurs Straszowi i kiedy te z boku uderzyły, Szwed zaczął się umykać. Teraz dopiero cięto po staremu co się zmieści, że dwieście trupa szwedzkiego legło na polu i prawe skrzydło nieprzyjacielskie wcale było rozbite.

Ale w tejże chwili buchnęły płomienie we wsi i poczęła się długim, czarnym szeregiem walić piechota szwedzka i stanawszy zaraz za wsią, kiedy to nie po cznie palić z samopałów i z armat, tak, że Strasz nie wytrzymałszy, cofnął się do swoich.

Tu już ujrzał na białym koniu z ogonem czerwono pomalowanym samego króla Jana Kazimierza. W okrutnej peruce na głowie i kapeluszu z piórami, w ciemnej z aksamitu weneckiego sukni i ze szpadą u boku, siedział milezający i patrzył na bitwę.

Zaraz też przypadł do Strasza kasztelan gniewny i rozogniony i zawołał:

— Ruszaj waść ze swą chorągwią do boku królewskiego i pilnuj, a my tę piechotę poprzemy.

Staął tedy Strasz smutny i gniewny przy królu.

I widział Strasz wieś swoją całą w ogniu, swoją chudobę zniszczoną przez nieprzyjaciela i srodze był smutny.

A bitwa tymczasem grała ognisćcie. Całe wojsko polskie, wszystkie prawie chorągwie ruszyły do boju. A był to widok niezwykle piękny i wspaniały, jak wśród dymu migwały się jeno spisy i szable, błyskały helmy a nad tem wszystkim grzmiał okrutny ryk armat. Ale nie wyszło i dwóch pacierzy, jak trwała ona sroga bitwa, kiedy ta i owa chorągiew poczęła się umykać w tył; jedna kupą i jeszcze w szyku, a druga już całkiem rozbita. Owo widnem było, że Szwed bierze górę.

Tymczasem król jak posąg kamienny stał wciąż nieruchomy i niemy. Koło niego uwijało się kilkunastu dworzan suto wystrojonych i z bundiuczną miną, gwarząc między sobą, a za nim opylona kurzem i krwią zmazana chorągiew husarska Strasza.

Skoro tedy widocznem było, że Szwed naszych bije, król kilka razy obejrzał się na oną chorągiew i znowu patrzył przed siebie. A kiedy zobaczył, że całe pospolite ruszenie województw wielkopolskich na prawem skrzydle rozbite umyka ku niemu a Szwed gna i siecze co może, dobył cieńkiej swej szpady i spiąwszy onego bachmata białego, przypadł ognisty do Strasza i krzyknął:

— Mości panie poruczniku, spraw swoich i na przód, bo za miłą ojczyznę ostatnią kroplę krwi wylać należy.

Tedy Strasz skoczył z gołą szablą w garści i sprawił oną chorągiew do boju, a tu już wojsko całe umyka się jak chmura, jeno jeszcze niektóre chorągwie w środku uwijają się a rąbią. Zaraz też do króla przypadli dworzanie i dalejże go prosić a błagać, by nie kładł losów Rzeczypospolitej na ostrze szabli, już też pojawił się i imię pan hetman polny i pan Czarnecki i poczęli wstrzymywać króla.

Ale król rwał się wciąż do boju:

— Tu, tu — mówił — trzeba nam zwyciężać lub

Kiedy się tak certują z królem, Szwed już coraz bliżej i kule grają wokoło. Zoczywszy to kasztelan kijowski, skoczył do Strasza i krzyknął:

— No, mości panie, zasłońże majestat od Szweda i poprzęj ich nieco.

Ruszył się Strasz i poszedł jak huragan. Cała ta chorągiew wszyła się w one tłumy szwedzkie i znikła, jeno od czasu do czasu ponad kurzawę i dym błysnęły proporczyki i purpurowy sztandar... I w onej kupie kotłowało się ze dwa pacierze jak w garnku, a przez ten czas pan kasztelan uszykował jeszcze ze trzy chorągwie i słał je jedną po drugiej na sukurs Straszowi. Jakoż powstrzymało to wszystko silne następowanie Szweda, a król tymczasem dał się ubłagać i srodze pośepny pojechał wstecz. Za nim ciągnęły rozbite szeregi poprzez las i moczary do Opoczna.

Kiedy tu się tak cofają, pode wsią wre jeszcze sroga bitwa. Strasz wpadł ze swą garścią jak wichur, zmiotł wszystko przed sobą, rozbił na strzępki i dopadł tak do wsi, gdzie stał sam król szwedzki i Wittenberg. Zoczywszy ich tedy samoczwart, z szablą ruszył na onych dygnitarzy. Ale król szwedzki umknął się, jeno dopadł nasz rycerz Wittenberga i zaciął go w ramię. Zaraz też oskoczyła ich chmara Szwedów i wzięli się na szable. Strasz siekł na wsze strony i rum sobie robił i krzyczał na swoich, by się kupili i nazad szli. A wtem przypadnie doń Gromadzki z okrwawioną ręką i ze złamaną w garści szablą, a za nim gna trzech srogich Szwedów.

— Na rany Boga, Franusiu daj mi szablę, bo mnie te heretyki zajedzą.

Tedy Strasz sięgnął po koncerz i wyciągnawszy go, daje:

— Masz, masz! — a sam skoczył na onych trzech srogich rycerzy.

Zwarł się z nimi potężnie raz i drugi, już też i Gromadzki onym koncerzem rozplatał łeb jednemu a w te tropy dojeżdża Koryciński ze swym mieczem, cały krwią zlany, z gałym łbem, ze ślepiami wytrzeszczonemi i bierze się do trzeciego. Ale już na su-

rycińskiego, tak że jeno między nieprzyjacielem Gromadzki się uwija. Okrutnie go przyparli, a że koncerz on był ciężki i długi, więc mu źle było się bronić, i zacięli go już parę razy. Tedy widząc że kuso, cisnął onym koncerzem w jakiegoś Szweda, a potem złapawszy drugiego za łeb, ściągnął z konia i wywijając jak maczugą, a zasłaniając się od cięć, rum sobie czynił. Ale ciężka to była sprawa, ten i ów dojechał go z boku i zaciął, aż w końcu jakiś szpetny rozbójnik strzelił doń z samopatu i tak zwałił się z konia on rycerz polski.

Strasz tymczasem rwał się na pomoc swemu towarzyszowi, ale napróżno, bo Szwedów coraz więcej przybywało. Dopiero zebrawszy koło siebie z dziesięciu jeszcze husarzy, rozbił oną kupę i zoczył już tylko krwawego trupa Gromadzkiego. Cały był czerwony od krwi, posiekany okrutnie, leżał twarzą w niebiosą, i z oczów acz mgłą skonu zaszytych biło takie męstwo, taka groza olbrzymia, że jeno patrzeć na tego trupa... Leżał i dzierżył w garści jeszcze onego Szweda, który także posiekany dyszał jeszcze nieco. Owo cały krwi pełen dramat leżał tu na ziemi.

Zoczywszy to Strasz aż ryknął z płaczu i kazał wziąć trupa Gromadzkiego na konia jednemu z pacholców, co tym łacniej uczyniono, że one trzy chorągwie przez pana kasztelana z sukursem przysłane dotarły aż do Strasza.

Tedy już cofano się ku swoim, rznąc się przez Szwedów, którzy im zastępowali drogę. Bito się rozpaczliwie i w końcu dostał się Strasz i one chorągwie pod sam las, gdzie go zastąpiły w odpięciu Szwedów inne, jako to: chorągiew jego rajtarska i parę pospolitego ruszenia. Ale Szwedzi już niedługo ścigali i wojsko spokojnie weszło do Opoczna, a stąd tegoż jeszcze dnia ruszyło do Przedborza.

Tak się skończyła ta sroga batalia, w której ostatecznie rozstrzygały się losy tej Rzeczypospolitej polskiej i korony Bolesławów.

Z chorągwi Strasza jeno dziesięciu ocalało.

XII.

Na zamku chęcińskim.

Kiedy się pod Straszową Wolą rozgrywały losy Rzeczypospolitej i krwią spływały jej niwy, starosta Branicki dumał nad sobą na chęcińskim zamku i nad swoją córką. Był to mąż, który zasie co sobie postanowił, to dokonać musiał, a tu tym to było pilniejsze, ile że widzieliśmy jako się uskarżał, że mieszek miał pusty, co srodze go gryzło, ile że widział przed sobą ogromne potrzeby i wydatki. Nie dziw więc, że w takim cale smutnem położeniu, bogactwa Łosia wydały mu się jedyną deską zbawienia, jedyną drabiną, po której wejść może na wyżyny pańskiego splendoru Gryfów Branickich. Jakoż w tem położeniu postanowił bądź co bądź odzyskać je i podeprzeć walące się węgly rodzinnej możności.

Skoro mu się tedy nie udały pierwsze kroki przez Jonasza poczynione, przemyślał, jakby znowu dać znać Łosiowi, że mu już nie jest krzyw i że gotów zań córkę wydać. Srodze dumał i przemyślał, że spać i jeść nie mógł, aż w końcu wezwał do siebie Jonasza i nakazał mu jechać do obozu, by szukał Łosia i doniósł mu o wszystkim.

Ale żyd na taki rozkaz, aż się za łeb złapał srodze przerażony krzyczał:

— Ny, co to jest, ja mam jechać, gdzie jest taka sroga wojna, ny, żebyś mnie Jasny pan starosta piekł na ogniu, to ja nie pojadę, oni mnie tam obwieszają jeszcze, ja mam żonę i bachory.

Nie było rady. Tchórzem podszyty poseł gorszy jest od żadnego, więc starosta dał pokój, jeno począł przemyślać, jakby to uczynić.

Żyd mu dał jeden sposób:

— Ja jasnemu panu dam radę. Owo co jest. Dziś rano przyjechał pacholek pana z Chełmiec, Janek, jasny pan go zna. No, on chce jutro jechać do pana swego, obozu. Dać jemu pismo, a on odda, to ja wiem.

Starosta się zamyślił.

— Proszę ja ciebie — rzekł — to dobra rada. Aleć przecie ja pisać nie mogę, tybyś to powiedział i Łoś przystałby lub nie przystał, rzecz byłaby skończona. A tak nie...

— Ny, to ja jasnemu panu powiem, że niech jaś nie panna starościanka napisze.

— Ale to być nie może! — porwał się Starosta!
— co ty mi gadasz!

— Nu, dlaczego być nie może? co to jest złego? A to jest najlepsza rada i jasny pan ani nawet nie wie, co ten Łoś ma bogactw... Aj! waj! jaka to fortuna królewska!

I cmokał językiem po gębie z wielkiego smaku.

Starosta dreptał po komnacie i trząsał peruką na łbie i dumał. Pocił się srodze i ocierał gębę zamyślony. Żyd patrzył się nań i gładząc swoją brodę, uśmiechał krótkochwilnie. Upłynęła tak jakaś chwila i żyd rzeknie:

— Już niech się jasny pan na mnie spuści, już ja będę miał takie pismo.

Starosta stanął i patrzył na żyda:

— Uczynisz to?

— Uczynię.

— Ano to dobrze, bo widzisz, mnie to nie wypada. Rób więc, a ja o niczem nie wiem, rozumiesz mnie?

— Rozumiem, nie takie ja robił interesa a zrobił.

— Wiem ja, wiem. Ale powiedzże mi, kiedyż ten pacholek chce jechać?

— Ny, on chce jutro rano, ale ja pošlę do niego żydka, ny, to on się zatrzyma, już to będzie dobrze.

— Ano, czyńże więc tak, mój Jonaszu, a już ja cię ozłocę. Proszę ja ciebie, król Jegomość ma do mnie zjechać a tu w kalecie pustki. W tobie cała nadzieja.

— Ny! powiadam jasnemu panu, że to fortuna królewska, warto coś dla niej uczynić.

— Ano czyń jakieś rzekł, mój Jonaszu.
Ale starosta, zostawszy sam, obmyślił sobie tę rzecz jeszcze lepiej poprowadzić, bo polityk to był

wielki i łebski człek. Owoż tedy zdybawszy jeszcze tego samego dnia Kosowską, oną ochmistrzynię imć panny starościanki, rzekł jej:

— Proszę cię, moja Kosowska, jabym chciał z tobą pogadać.

— Jestem na rozkazy pana starosty.

— Ano chodźże do mojej kancelaryi.

Kosowska drżąc i schylona pokornie, podreptała za starostą z wielkim strachem, bo nie wiedziała, czego on od niej będzie chciał, ani też domyślić się mogła. Z wielkiego strachu aż zgubiła po drodze chustkę z głowy i kiedy starosta kazał jej usiąść, przycupnęła na rożku krzesła, co ciężko jej było nieco, bo baba była tłusta i szeroka.

Starosta usadziwszy się w swem krześle, rzecze:

— Moja droga Kososiu — bo tak ją zwał, gdy był w różowym humorze, co sobie Kosowska za dobry znak wzięła i siadła nieco lepiej; owoż ciągnie starosta: — moja droga Kososiu, powiedźże mi, dlaczego Zochna taka mizerna i blada, czy czasem nie słabuje?

— Broń Boże, jaśnie wielmożny panie, zdrowa jest jako ryba.

— Zdrowa mówisz, a przecież ja widzę, że co dnia jest bledsza i mnie to okrutnie frasuje, powiedźże mi, co jej jest?

— Ale kiedy ja tego nie widzę.

— Ba! ale ja widzę i domyślam się, o co tu idzie. Owo afekt ma wielki ku temu Łosiowi i to ją gryzie... ale proszę ja ciebie, nie zapieraj, bo ja wiem...

Kosowska spuściła oczy i nic nie rzekła, a starosta ciągnął dalej:

— Ano, i mnie to srodze gryzie. Bo jakże, jużclł trudno, żebym ja tego Łosia prosił, weźże mi córkę, a też proszę ja ciebie, jakże tu dać dziecko heretykowi i takiemu biedakowi, że dachu prawie nad głową nie ma.

— O! to nie prawda, jaśnie wielmożny panie, pan Łoś jest teraz bardzo bogaty.

— Co też ty mówisz, moja Kososiu, skądże mu te bogactwa tak nagle? — udął starosta, że nic nie wie.

— A jakże, to jasnie pan nie nie słyszał? przecie całe województwo o tem gada. Skarby tam w swym zamku znalazł Łoś.

— Ej! babskie plotki — machnął ręką starosta — funta kłaków nie warte. Ale choćby ten Łoś był nawet jako on król Krezus bogaty i choćby w złocie a bisiorze chadzał, to ja mu córki nie dam, bo on jest paskudny heretyk. Owo co jest.

Kosowska westchnęła głęboko i nic nie rzekła. Starosta tymczasem nie wysiedział na krześle, jeno się porwał i począł swe zwyczajne po komnacie przechadzkę.

— Ale z drugiej strony — mówił dalej — mnie srodze żal dziecka, przecieżem ja nie żaden tyran, ani też kat na moją krew, jestem ojciec i serce mnie boli, kiedy patrzę, jak ona niknie. Powiedzże mi, boć ja tak miłujesz jak ja sam, powiedzże mi, co tu czynić żeby się tak nie mizerowała?

A na to Kosowska porwała się prędko na nogi i jeszcze prędzej wyrecytowała:

— Wydać ją za Łosia!

Ale spostrzegłszy się, że głupstwo rzekła i że starosta może wpaść w furję, padła na krzesło, aż jakto pod nią, i klapnawszy się ręką w usta, spuściła oczy jak winowajca, czekając z głową na dół burzy.

Ale cicho było w komnacie, jeno wielka mucha bzdykała koło ścian. Tedy Kosowska wyczekawszy się dość długo, podniosła ostrożnie oczy i patrzy a starosta stoi na środku komnaty nieruchomy. Więc znówu głowę spuściła i znówu czeka końca tego milczenia, aż się spociła ze strachu, ale w komnacie wciąż cisza, jeno mucha ona coraz bardziej bzdyka.

Upłynęło kawałek czasu i ośmieliwszy się nieco, podniosła ochmistrzyni głowę i patrzy, a starosta wciąż stoi srodze zamyślony. Aż i on się ruszył i drepcząc po komnacie, mówił spokojnie na wielkie zdziwienie babiny:

— Owo coś rzekła, wydać ją za Łosia. Ja o tem dawno myślę i głowę sobie łamię, bo mi żal dziecka, aleć trudno duszę i sobie i jej zatracić, wydając ją za

heretyka. Żeby to on był katolik, no, to jeszcze, ale tak nie może...

— A gdyby się nawrócił? — wtrąciła nieśmiało.

— Ha! żeby się nawrócił a dobrze mi się zastęgiwał, żeby zaraz porzucił tę rebelię heretycką, no... tobyśmy może zobaczyli, ale nie inaczej, nie inaczej, jakem Branicki.

Nie trzeba było babie więcej mówić, porwała się i z wielkim płaczem przypadła staroście do kolan:

— A mój dobrodzieju, niechże ci Bóg zapłaci, uratowałeś dziecko!

Starosta uciekał z kolanami i chciał podnieść kobicinę.

— Ale proszę ja ciebie, moja Kososiu, co też ty robisz, przecież jeszcze niewiadomo, bo ten Łoś może nie będzie chciał się nawrócić.

— Ale nawróci się, nawróci! Idę, lecę... pocieszę ją...

I zbierając klucze i różne fatalaszki, wyleciała jak szalona.

Po jej odejściu starosta stał na środku komnaty i patrzył długo na drzwi, które wyleciała. A napa-trzywszy się tak, rzekł:

— Owo głupia baba!

I ruszywszy się, począł chadzać po komnacie, za-fożywszy ręce w tyle:

— Ano dobrze się zrobiło. Jak jest tak jest, ale tu będzie dla mnie zawsze victoria (zwycięstwo), bo jeśli ten Szwed weźmie górę i siądzie u nas na tronie, bo taka mi się widzi być konstelacya (położenie) polityczna, to ja będę miał w tym Łosiu plecy i dla tego też nie bardzo go będę odciągał od tej heretyckiej konfederacyi.

Jakoż wszystko się dobrze ułożyło. Wieczorem jeszcze tego samego dnia leciał Jonasz do Chełmiec z małym liścikiem panny starościanki do Łosia. Sługa ów, który miał nazajutrz jechać do obozu do swego pana, był to chłop kusi a nabity, młody jeszcze i pstro temu z oczów patrzyło, ale był tam u niego spryt osobliwszy i psie przywiązanie do pana.

Owo kiedy mu Jonasz przyniósł i oddał on liścik, chłopak aż podskoczył z radości i przyrzekł, że pismo odda do rąk samemu panu, bo wiedział, jak ukontentuje tem Łosia.

— Tylko, mój Jaśku — mówił Jonasz — bądź ostrożny, choć tobie tego nie trzeba mówić, ale zawsze, by zasie kto nie obaczył tego pisma, bo stąd byłaby sroga konfuzya i starościanka miałaby dopiero od swego ojca.

— No, no, już ty mnie panie Jonasz nie gadaj. Nie z takiemi ja poselstwami chadzał a zrobiłem zawsze dobrze. Wiemcić ja, co to jest list od panny.

I włożył ono pachnące pismo w mieszek, co go nosił na sznurku na szyi, i mówił:

— Już go tu nikt nie obaczy, chyba szyje zdejmą.

— Ano i o to teraz łatwo, pilnujże się dobrze.

Nazajutrz szarym świtem chłopak już był w drodze. A jechał zasie na dobrym podjezdku, na tatarskiej terlicy z szablą przy boku, zbrojno i bundiuczno. Dzień robił się piękny, jesienny ale ciepły, ten sam, w którym u Straszowej Woli krwawą stoczono potrzebę. Wypadku żadnego nie miał i nocą już samą stanął na nocleg w karczmie za Radoszycami, gdzie miał znajomego arendarza a miód był u niego smaczny. Konia rozkulbaczył, rozkielznał i nasypawszy mu w żłób obroku, poszedł do karczmy, gdzie na przypiecku rozciągnawszy burkę, układał się spać spokojny i ufny. Zasnął twardo snem młodości, kiedy obudziły go szturchańce i głośne krzyki.

Zerwał się z ławy, przetarł oczy, chwycił za szablę i patrzy, a tu koło niego stoi kupa szlachty zbrojnej i patrzą nań, jakby go zjeść chcieli.

— Co to jest? — wrzaśnie chłopak — czego waszmość chcecie?

A wtem przystąpi do niego jeden z onej kupy i rzeknie:

— Wstawaj, pogański synu i gadaj zaraz, coś zacz?

Jasiek stał już na nogach z gołą szablą w garści i patrzył srodze na owych szlachciców.

— Co to, rozbój, gwałt, najazd czy co! Czego chcecie odemnie?

A on szlachcic na to:

— Zaraz się tu dowiesz hultaju, skurczybucie, czego chcemy.

— Ejże, stul waszmość gębę, bo ci ją zatkam! — wrzaśnie chłopak.

— To ty tu będziesz jeszcze groził, to ty pogański synu na przespīgi chodzisz i grozisz, damy ci tu. Ejże, związać go!

Chłopak widzi że źle, więc utnie w łeb jednego, co się zbliżył doń, utnie i drugiego, aż mu krew całą gębę zalała i ma się ku drzwiom. Ale nie dali mu, kiedy to wsiadą nań z szablami, a krzyczą:

— A ty szpiegu heretycki, sługusie Łosia, hultaju, obwiesiu, zasiękać go, spalić, powiesić!

— Ano, zdrada! — wrzaśnie chłopak i skoczy do karczmarza, co stał pod piecem i dalejże go szablą po łbie, aż karczmarz rznął się na ziemię z rozplataną okrutnie gębą. Co uczyniwszy skoczy w kąt i tu dobywszy prędko ono pismo starościanki, wsadził w gębę i połknął. Ale szlachta to widziała:

— Połknął jakieś pismo, zjadł, rozpruć mu żywot, szpieg! szpieg! zasiękać, obwiesić hultaja.

I dalejże wszyscy na niego. Chłopak rozparł się pod ścianą i bronił jak lew. Ale szlachty była moc, same pospólitaki, co rano tak haniebnie z pod Straszowej Woli uciekli, a teraz srodzy rycerze na jednego, więc trudna była sprawa. Ten i ów go zaciął, osłabił, krew mu lała się z ran ciurkiem, nogi i ręce mdlały, a rycerze oni coraz zajadlej się nań ciskali. Nasiekił ich wprawdzie kupę, ale widział, że będzie zły koniec i westchnął sobie w duszy do Boga, pomyślał o Marysi z Chęcin i rąbał nąokoło.

Aż wtem jeden hultaj porwawszy własną jego burkę, cisnął nań i spiętał tak, że ręką ruszyć nie mógł. Tedy ten i ów ciął go przez łeb, aż padł na ziemię, a potem, kiedy to nie poczną go rąbać, ledwie duszy trochę w nim zostało.

Potem poczęli oni rycerze krzyczeć:

— Powiesić go, powiesić za przespiegę!

Jakoż chwycili go napół nieżywego, czerwonego od krwi, wywlekli za nogi tłukąc poranioną głowę po ziemi i założywszy mu pętlę na szyję, powiesili na starej wierzbie tuż pod karczmą. Trup to już był prawie, trup straszny, posiekany, cały krwią zlany i zewsząd żywe wyglądało mięso. A sami wytoczywszy z piwnic karczmy beczki z miodem i gorzalką, pili całą noc koło trupa, którym wietrzna jesienna noc chwiała na gałęzi. Tak skończył sługa Łosłowy, nie-szczęśliwa ofiara burzy, która miotła wówczas nawą Rzeczypospolitej, wierny aż do skonu swojemu panu.

Podczas kiedy i ta próba wcale nie udała się starości i zdawałoby się mogło, że nad losami jego córki złowrogie jakieś przeznaczenie zawisło, otóż podczas kiedy się to działo, w zamku chęcińskim ruch był wielki i gotowano się na przyjęcie majestatu królewskiego.

Jakoż zaraz na drugi dzień po onej potrzebie pod Straszową Wolą przysłała wieść o srogiej klęsce a zarazem, że król stanąwszy we Włoszczowy, wkrótce zajędzie na zamek chęciński, by tu odpocząć nieco i skołataną uspokoić głowę. Więc starosta wezwał zaraz przez umyślnych kursorów szlachtę całego województwa a przynajmniej bliższych powiatów, by stanęli witąć w swej ziemi majestat korony polskiej, a sam zajął się co żywo wszelkimi przygotowaniami. Więc biło woły, barany, cielęta i pieczono na wielkich ogniach na górze zamkowej, beczki smołą napelnione ustawiono wzdłuż drogi, którą król miał jechać, i na samych basztach a murach zamkowych. Z piwnic wytaczano beczki z winem, z przedniemi petercymentami, z miodem, piwem. Od wojewody sandomierskiego wzięto kucharza Francuza, przybył też i sam pan Wojski Gagatnicki i wziął pod swą komendę kuchnię, jako znawca wielki, słowem wszystko miało być po pańsku, bo starosta pewny już prawie skarbów Łosłowych, resztki wyciskał, by zajaśnić splendorem magnackim.

Dzień on, w którym król Jegomość miał zjechać, był srodze gorący i parny. Niebo bez najmniejszej zasie chmurki piekło jak rozpalone żelazo. Już od południa poczęła się na zamek zjeżdżać szlachta konno i w landarach, a z niemi żony i córki wystrojone i wyfiokowane, by zobaczyć choć raz w życiu króla. Starosta ubrany w morderową kuśa suknię z wielkimi guzami brylantowymi, wszędzie był obecny, wszystkich bawił, wszystkim się zajmował. Szlachty coraz więcej przybywało i gwar a huczek był nielada na zamku.

Aliści nad wieczorem samym on czysty całodzienny błękit niebieski nad zamkiem począł się chmurzyć i ciemnieć. Szlachta siadła na koń i z urzędnikami swego województwa wyjechała na drogę ku Włoszczowie. Ale niebo było coraz czarniejsze, coraz groźniejsze. Od czasu do czasu zrywał się wichur i tumanami kurzu miotał w górę. Wśród onych chmur czarnych, co bałwanily się teraz po niebie, słyhać już było posępne ryki zbliżającej się burzy. Przedwczśnie poczęło ciemnieć, i noc się zrobiła srodze czarna i srodze posępna, kiedy wysłany na zwiady pacholek dał znać, że król jedzie.

Tedy starosta nakazał zapalić one smolne beczki koło drogi, na murach i basztach i trysła z nich krwawa łuna w niebiosy, czerwieniąc sobą czarne chmur otchłanie. Jakoż widok to był niezwykle wspaniały, ale i smutny a złowieszczy jakiś, te purpurowe ognie pod niebem bez gwiazd i bez światła, w przedchwili straszliwej burzy. Ale jeszcze było cicho w niebiosach, dopiero kiedy landara królewska po godzinnych przeszło mowach i oracyach na drodze oblanej łuną palących się ognisk, poczęła się windować pod górę zamkową, łunął deszcz jak z cebra a zaraz też grać poczęły armaty z baszt. I jak gdyby w odzew onym gromom ziemskim huknęły w też pędy gromy niebieskie, ale z tak niezwykłą siłą i trzaskiem, że zdawało się, jakoby łamał się w swych posadach świat cały. I wśród onych ognisk purpurowych gasnących od deszczu, wśród onych gromów straszliwych, wjeż-

ciężał nieszczęśliwy król polski na zamek, ale załedwie zbliżył się do bram, kiedy wypadł piorun i strzaskał wielką chorągiew na baszcie z herbami Rzeczypospolitej. Z łoskotem padło drzewce na mury, a proporce wiatr podarł na szmaty i rozniósł po świecie. I jak gdyby niedość było tej grozy, nagle pod deszczem ulewnym pogasły wszystkie one ogniska i zrobiła się ciemność straszliwa.

Tedy król, który już wjechał pod sklepienie bramy, nakazał stanąć i wysiadłszy z landary, blady jak ściana przy zapalanej hajduka pochodni, patrzył na strzaskane drzewce proporca i szeptał Zdrowaś Marya. A pomodliwszy się nieco wśród strasznego trzasku piorunów, poświstu wichru, łamiących się drzew, krzyku ludzi, kobiet i zwierząt, obrócił się do otaczającej go a drżącej szlachty i rzekł:

— Owo mości panowie, gdzieś ja, tam burza i niedola.

Takim był wjazd króla polskiego na zamek chęciński.



CZEŚĆ DRUGA.

1.

„Bóg największy mocarz”.

Owego wieczoru, kiedy nieszczęśliwy król Jan Kazimierz stanął na zamku chęcińskim, już wcale wesela nie było. Wściekła ona burza, co szalała jakoby stado furyi piekielnych po ziemi, ono strząskanie przez piorun proporca z herbami Rzeczypospolitej na baszcie, w chwili, gdy król w zamek wjeżdżał, uważane było przez wszystkich, choćby też i najmądrzejszych, za omen jakiś, za złowieszczy znak. Jakoż nie było to dziwne, ile że zważyć należy, jaki to szereg klęsk zwał się w one czasy na Rzeczpospolitą, jako codziennie gorzej się działo, owszem zanosilo się na zupełną ruinę tego państwa. A dodać też należy, że one pioruny i chmury czarne uderzyły piekielnym swym tańcem w Bożego pomazańca, prawie w sam dzień świętej, a nad wyraz krwawej klęski pod Straszową Wolą. Przeto srodze smutno zrobiło się wszystkim na sercu a już może najsmutniej samemu królowi.

Tedy krótko siedział przy wieczerzy i zwykle matomówny, tym razem osobiwie był milczący; jeno wlepiwszy swe wielkie czarne oczy w jeden punkt sali, tak trwał nieruchomy, jakoby posąg jaki w kamieniu wykowany. Szlachta też powarzona oną burzą, która wciąż jeszcze ryczała po ziemi, acz gotowa była krwi z sereą utoczyć swemu królowi, przecież patrząc na jego dziwny a ponury taki smutek, sama w coraz czarniejszą zapadała fantazję. Jaki taki szeptał do sąsiada:

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

1899 S



001-001899-00-0

ZBIORY ŚLĄSKIE

Syg.: